Wstępniak

Jakub Radziejowski

Za nami kolejny rok. Rok, który pomimo wielu sukcesów alpejskich, a które stały się udziałem Polaków, pamiętać będziemy z powodu zgoła odmiennego.

Musze przyznać, że dla mnie osobiście, jak i chyba dla całego zarządu UKA, był to rok najtrudniejszy z dotychczasowych. Mam oczywiście na myśli „aferę", jaka wybuchła po publikacji „literackiego dzieła" o życiu owadów i której zasięg wykroczył poza nasze środowisko, odbijając się szerokim echem, także w mediach ogólnopolskich.

Dla zarządu było to o tyle trudne, że jednymi z bohaterów tak zwanej „afery GL" jest dwójka naszych klubowiczów. W ciągu półtora miesiąca, po wakacjach, zostaliśmy (wszyscy jako środowisko) zarzuceni ogromną liczbą zmiennych, informacji, emocji i wreszcie zarzutów wobec Elizy i Dawida – niektórych do pewnego stopnia uzasadnionych, innych zupełnie niepoważnych. Wszystkich podszytych ogromnymi emocjami.

Nasze środowisko spolaryzowało się, jak nigdy dotąd, nie dając sobie jednocześnie szans i czasu na spokojną analizę, rozmowy i wyjaśnienie wątpliwości. Także i Zarząd UKA dwukrotnie wypowiedział się publicznie – oczekując uszanowania prawa do obrony naszych klubowiczów oraz sprzeciwiając się czemuś, co nie tylko my, określiliśmy jako nagonka. Z drugiej strony od Dawida i Elizy oczekiwaliśmy wyjaśnień. Zainteresowani znają pewnie nasze stanowisko, inni mogą je przeczytać na stronie www.uka.pl.

Po kilku miesiącach, niespotykanych dotąd w naszym środowisku emocji, między innymi na skutek wniosku współzgłoszonego przez delegatów UKA na WZD PZA, powstała Komisja Ekspercka, która zająć się ma wątpliwościami wokół drogi ***Golden Lunacy***. Nie wiem, jaki będzie jej werdykt, nie wiem czy zarzuty, które ona przeanalizuje okażą się na tyle uzasadnione, by można było podważyć istnienie drogi i jej klasę. Jak zawsze w takich wypadkach chcę wierzyć i wierzę, że droga istnieje i odpowiada temu, co mówią o niej autorzy.

fot. Krzysztof Goździewicz

Wierzę, że powstała przy Komisji Wypraw Wysokogórskich PZA Komisja Ekspercka, przeanalizuje problem na serio, dotrze do wszystkich, do których powinna dotrzeć i rozwieje wątpliwości. A jeśli okaże się, że zarzuty są poważne – spokojnie i merytorycznie je uzasadni, nie idąc, jak to niestety miało miejsce tej jesieni, na skróty.

Wierzę w to, że ta droga istnieje, a Eliza i Dawid nie kłamali - mimo, że wiem, iż mogę się mylić. Wiem jednak, że wielu znacznie mądrzejszych przede mną mawiało, że zaufanie w naszej dziedzinie, to rzecz kluczowa, i gdybyśmy mieli podważać przejścia na podstawie braku bezspornych dowodów na ich dokonanie – podważyć byśmy musieli znacznie więcej.

* * *

Przy okazji „afery" pojawiły się uzasadnione pytania o sposób relacjonowania i weryfikację deklarowanych dokonań, o odpowiedzialność mediów, odpowiedzialność samych wspinaczy za swoje relacje, czy wpływy sponsorów na alpinizm. Jest to temat, który niewątpliwie budzi emocje nie tylko u nas. I jest to temat ważny. Dlatego też, zdecydowaliśmy, że w tym roku, głównym tematem będzie „kurba slava", o której pisał jeden z najlepszych alpinistów światowych – Marko Prezelj. O tym możecie przeczytać w pierwszej części BUKI.

A co dalej? Tradycyjnie już ciekawie – oprócz podsumowań wspinaczkowych naszych klubowiczów i dziesięciolecia AGAMY, znajdziecie opisy ciekawych i nieznanych w Polsce rejonów: czeskiego, chorwackiego i bułgarskiego. Jak zwykle przeczytać będziecie mogli parę ciekawych historyjek – tym razem o tym jak się szuka pracy, dowodzi statkiem, podróżuje we dwoje czy też jeździ na WZD. Znajdziecie też tekst historyczny o zimowych przełomach tatrzańskich, a dla fascynatów innych dyscyplin – nieco o bieganiu i trochę o eksploracji highlinerskiej. Wreszcie jest też tekst, który niewątpliwie wzoruje się w formie na entomologicznych opowiastkach z krainy mchu i paproci – a do tego zgodnie z najlepszymi wzorcami zaczerpniętymi z forum internetowego – napisany przez najprawdziwszego anonima (choć znanego redakcji).

Zachęcam wszystkich do lektury, a kończąc życzę wszystkim, jak zwykle szczęśliwych powrotów z gór i wielu sukcesów sportowych.

spis treści

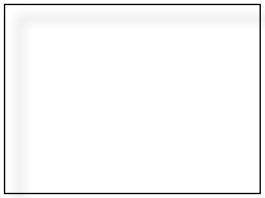

Biuletyn Uniwersyteckiego Klubu Alpinistycznego „BUKA” nr 13, luty 2011; ISSN 1730-0754
Nakład 1000 egz.
Redakcja: **Mariusz Gładysz** (grafika), **Mikołaj Albrycht**, **Wojciech Bajak**, **Ryszard J. Burek**, **Jakub Karp** (redakcja tekstów), **Jakub Radziejowski** (naczelnictwo). Do wydania numeru 13 (poza autorami tekstów, zdjęć i opracowań) wydatnie przyczynili się **Anna Radziejowska**, **Krzysztof Banasik**, **Maciej Ciesielski**, **Marcin Wernik**, **Marek Wierzbowski**.
Okładka: fot. **Artur Hojny** (patrz str. 30-31)

Stanowiska wyrażone w artykułach oddają poglądy ich autorów, a niekoniecznie poglądy Redakcji lub Zarządu UKA.
Wspinanie jest sportem niebezpiecznym, którego uprawianie wymaga specjalistycznego przeszkolenia i przestrzegania zasad bezpieczeństwa. Redakcja ani UKA nie ponoszą odpowiedzialności za

O klubie

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny jest stowarzyszeniem o ponad czterdziestoletniej już historii, skupiającym ludzi czynnie uprawiających wspinanie we wszystkich jego postaciach. **UKA** jest jednym z większych klubów w Polsce, liczy sobie ponad 330 członków; zrzeszony jest w **Polskim Związku Alpinizmu**.

Chcesz do nas wstąpić?
Do Klubu zapraszamy wszystkie osoby, które posiadają już pewne umiejętności wspinaczkowe, czyli ukończyły kurs wspinaczkowy lub w inny sposób zdobyły wspinaczkowe doświadczenie. Jeżeli jesteś dopiero początkujący to oferujemy odpowiednie kursy. Pełna informacja o zasadach przyjmowania, kursach oraz o zaletach przynależności do UKA dostępna jest na naszej stronie **www.uka.pl**
Możesz też do nas napisać:
uka@uka.pl

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny
– związ się z właściwym środowiskiem

Uniwersytecki Klub Alpinistyczny
Stowarzyszenie kultury fizycznej
Organizacja pożytku publicznego
ul. Srebrna 16, 00-810 Warszawa
www.uka.pl **uka@uka.pl**

KRS 0000108308
Konto bankowe
Nordea Bank Polska S.A.
16 1440 1299 0000 0000 0187 7801

Zarząd: **Jakub Radziejowski** (prezes), **Marek Wierzbowski** (vice-prezes), **Marek Kaliciński** (skarbnik), **Krzysztof Banasik**, **Bartosz Jarosiewicz,**
Marcin Wernik
Komisja Rewizyjna: **Tomasz Chudy, Jacek Czabański, Roman Główka**

Czy „slava je kurba”?

Jakub Radziejowski

W Słowenii słowo sława to również imię żeńskie „Slava”. Starzy ludzie mówią: „Slava je kurba” („Sława to dziwka”) jednego dnia śpi z jednym, następnego z innym. Sława to tania pułapka zastawiana przez media, w którą zostają złapani i wykorzystani Ci wszyscy, którzy żyjąc beztrosko, zbyt późno zdali sobie sprawę, że zaufanie i honor nie mieszkają w tym samym domu, co rozgłos.

(Marko Prezelj o Piolet d'Or, III 2007, cyt. za wspinanie.pl)

Powyższy cytat jest fragmentem złożonej i kompleksowej wypowiedzi jednego z najwybitniejszych alpinistów w historii. Pełną wypowiedź można odnaleźć we wszystkich ważniejszych serwisach wspinaczkowych, jest też przetłumaczona na polski i znajduje się na stronach wspinania.pl.

Czy wypowiedź ta jest kontrowersyjna? Tak. Jest jednoznaczna, bezkompromisowa, etyczna. Została też opublikowana w kontekście przyznanej i odebranej osobiście przez Marko nagrody Złotego Czekana, przyznanej mu za jego kolejny sukces. Marko odebrał nagrodę, a jednocześnie skrytykował ją podczas ceremonii, a następnie, by być dobrze zrozumianym – opublikował w światowych serwisach swój... niech będzie: manifest. Jest w nim także o tym, że przyznawanie nagród we wspinaniu to spektakl, w którym są i zwycięzcy i przegrani (czy oni są rzeczywiście przegranymi, pyta Marko), a przecież nagrody te są w pełni uznaniowe, i jak to pisze Marko: *porównywanie wspinaczek (także wspinaczy i głoszonych przez nich poglądów) to nonsens*. Trudno się z nim nie zgodzić.*

Jednak ten tekst to tylko jeden z punktów wyjścia dla rozważań i refleksji o sławie i mediach, do których zaprosiłem kilku znakomitych autorów, uznanych wspinaczy i alpinistów średniego pokolenia, a jednocześnie ludzi, którzy pojawiają się regularnie w mediach, współpracują lub współpracowali ze sponsorami i *last but not least* – byli nagradzani. Punktem wyjścia ich tekstów miały być wypowiedź Marko Prezelja, sprawy GL i Malupathanu (ale bez bezpośrednich odniesień) oraz

...przyznawanie nagród we wspinaniu to spektakl, w którym są i zwycięzcy i przegrani...

refleksja na temat sposobu relacjonowania przez wspinaczy swoich osiągnięć i porażek, miejsca nagród we wspinaniu, roli mediów wspinaczkowych i publiki wspinaczkowej (w tym forów internetowych), sposobu uprawiania dyskusji wokół wspinania i medialnego zaangażowania wspinaczy, a także zależności wspinaczy od sponsorów i mediów. Temat rzeka, miejsca niewiele.

Poprosiłem też przedstawicieli mediów wspinaczkowych w Polsce o odpowiedź na pytanie o odpowiedzialność mediów za publikowane relacje i sprawozdania. Jak wiemy, właśnie relacje, sprawozdania i kontrowersje wokół nich zaprzątały nasze umysły przez ostatnie 2 lata.

* * *

Oczywiście, już słyszę głosy, że to przecież zupełnie inna sprawa – rzetelność relacji, prawda, a medialna sława, nawet jeśli tę ostatnią oceniamy krytycznie. I rzeczywiście, nie ma wątpliwości, że jakkolwiek osoby medialne, gwiazdorstwo i inne formy aspiracji „ku sławie” oceniać można krytycznie, to póki zainteresowani piszą prawdę i relacjonują swoje dokonania rzetelnie – nie ma sprawy, możemy jedynie się zdystansować.

Ale prawdą jest też – jak piszą obok Adam i Marcin – że istnieje cienka granica między tym, jak chcielibyśmy opisać swoje przygody, a tym jak było naprawdę, czy też by użyć innego, robiącego karierę porównania – istnieje bardzo delikatna różnica między relacją, a narracją. To fakt.

Z drugiej strony – w tym samym tekście, cytowanego już Marko Prezelja możemy przeczytać: *W alpinizmie nawet najbardziej osobiste sądy są ekstremalnie subiektywne. Kiedy wracamy z gór pamiętamy zdarzenia inaczej niż były w rzeczywistości – tam i wtedy – w momencie kiedy musieliśmy podjąć decyzję pod naciskiem wielu czynników.*

Czy więc, stojąc w kaskadach wody, kiedy naprawdę się boimy i mamy wrażenie, że zaraz się utopimy – jesteśmy obiektywni? Czy idąc w ryzykownym śniegu, mając świadomość przekroczenia granicy zdrowego rozsądku – możemy napisać, że warunki lawinowe były bardzo niebezpieczne i bardzo ryzykowaliśmy? Przecież, ani się nie utopiliśmy, ani nie wyjechaliśmy z lawiną. W dodatku, trzy zjazdy później byliśmy bezpieczni nad Czarnym Stawem, a do przejścia w ryzykownym śniegu mieliśmy zaledwie kilkanaście metrów, w dodatku, patrzył na nas partner, wyposażony podobnie, jak i my – w zestaw ABC.

Czy mokra skała, którą musieliśmy przejść była rzeczywiście taka mokra, skoro ją przeszliśmy – i to w dodatku czysto klasycznie? A trudności naszego odhaczenia, przecenione przez powtarzających o stopień w dół – czy zawsze świadczą o naszej złej woli?

Czy mamy prawo, czy też nie – na odrobinę egzaltacji?

Czy więc nasza relacja była zawsze celowym podkręceniem – by zyskać sławę i uznanie odbiorców, czy też czasem, po prostu nie oddawała naszych odczuć w danym momencie? Czy mam obowiązek zawsze bagatelizować, trywializować swoje odczucia i wrażenia? Co jest jeszcze relacją, a co już jest narracją?

O tym pisze trochę Bodzio, a właściwie cytowany przez niego Zbigniew Jurkowski – przyznam, że jest to mój ulubiony fragment i dobrze pokazuje nas, odbiorców wspinaczkowych relacji. Nie to, że jesteśmy zazdrośni, nie to, że życzymy źle koledze, ale oczekujemy, że będzie skromny, aż do przesady.

* * *

O tym też pisze Maciek, pokazując przykłady tego, że punkt widzenia, także w naszym środowisku, zależy często od punktu siedzenia. Sam pamiętam nierzadkie sytuacje, kiedy jeszcze pisałem różnego rodzaju podsumowania, dostawałem (nie ja jeden) maile takiej mniej więcej treści: *Mnie co prawda nie zależy i sam o sobie nie piszę, ale jeśli będziesz robił jakieś podsumowanie, to zrobiłem takie przejścia...* co nie przeszkadzało głosić autorowi, iż jest on ponad chwalenie się swoimi przejściami. Nie są to przypadkowe osoby.

A czy dążeniem do sławy jest tylko i wyłącznie podkręcanie i koloryzowanie relacji?

Wreszcie, jeszcze żeby dokręcić śrubkę, czy narracja, podkręcanie, a nawet niedopowiedzenia – to tylko domena osób, które znalazły się w ostatnich latach na tarczy strzelniczej? Czy dążenie do sławy zawsze musi iść w parze z narracją? Czy nie było w polskim wspinaniu sytuacji, w których ekstra wspinaczki były przedstawiane jako wspinaczki ekstra

* Żeby było jasne, piszę to jako członek kapituły Nagrody UKA...

plus, a niewygodne lub urealniające informacje – były pomijane? Były, zapewniam.

A czy dążeniem do sławy jest tylko i wyłącznie podkręcanie i koloryzowanie relacji? Czy nie jest nim aktywne kreowanie wizerunku własnej osoby na różne sposoby – od tworzenia wirtualnego bytu zarządzającego wspinaczkowym Internetem, przez częste przypominanie środowisku, jak to bardzo się dystansujemy od swoich osiągnięć, wreszcie przez przyjmowanie pozy autorytetu, który wypowiada się zawsze i na każdy temat, wskazując innym, co jest właściwe, a co nie. O aktywnym uczestniczeniu w produkcji filmowej o sobie samym, czy też wydawaniu książki, której celem jest narobienie szumu wspominać nie będę.

Po doświadczeniach ostatnich lat wiemy, że nie wolno grzeszyć brakiem skromności. Co prawda, jak teraz już wiemy dotyczy to tylko niektórych.

Sława to dziwka? Zapewne, tylko czy nie jest przypadkiem tak, że znacznie więcej z nas korzysta z jej usług?

* * *

I jeszcze dwa zdania o odpowiedzialności mediów. Trudno mi się nie zgodzić z tym, co napisali redaktorzy wspinania.pl. Zaufanie to jeden z elementów konstytutywnych naszego środowiska, stąd bierzemy za dobrą monetę to, co dostajemy od autorów relacji. Zakładamy, że jest tak, jak napisali. Opiera się to na kilku założeniach. Po pierwsze – każdy zarzut stawiany autorowi kwestionowanej relacji musi być sto razy lepiej udowodniony i uargumentowany niż wątpliwa relacja. Tak jak w życiu codziennym – jesteśmy niewinni dopóki nie udowodni nam się winy. Po drugie – nie sadzę, żeby jakąkolwiek redakcję w Polsce (podejrzewam, że dotyczy to większości serwisów internetowych piszących o wspinaniu, a także magazynów o tej tematyce) stać było na redaktora śledczego, który każde przejście będzie weryfikował i upewniał się, że relacja odpowiada prawdzie. Pieniądze, które stoją za pisaniem o wspinaniu – nie dają fizycznie takiej możliwości. Stąd więc redaktorzy muszą ryzykować, że zostaną nabrani. Można raz i drugi pewne rzeczy sprawdzić, ale nie da się weryfikować każdego newsa.

Trudno też nie zgodzić się z redaktorką „Taternika" – rzetelne sprawozdanie to podstawa, szczególnie kiedy musimy złożyć je w instytucji, czy firmie, od której dostaliśmy pieniądze na wyprawę. Wiemy jednak, że rzeczywistość jest często inna i nie dotyczy wyłącznie naszego środowiska. Mieliśmy w ostatnich latach do czynienia z kilkoma wspaniałymi przejściami światowej klasy (nie Polaków rzecz jasna). Jakoś często brakowało wrysowanych linii przejścia, albo przynajmniej nie były one łatwo dostępne. A jak już się poszperało w sieci, to często okazywało się, że zdjęcia obrazujące sukces pokazywały zupełnie inną, bardziej spektakularną ścianę niż tę, na której faktycznie się wspinano. O schematach nie wspominam – tych nie ma prawie nigdy. Wspaniałym przykładem są tu próby wyciągnięcia schematu drogi Laffaile'a na Dru przed wielu laty i powtórzenie robione na podstawie kreski wrysowanej w słabej jakości zdjęcie. Nie wiem czy redaktorzy zagranicznych portali pytali autorów o takie nieścisłości... Czy też wystarczyło im, że relacja jest kolorowa a cyfra wysoka.

Sława to dziwka? Zapewne, tylko czy nie jest przypadkiem tak, że znacznie więcej z nas korzysta z jej usług?

U nas w gruncie rzeczy jest to temat nowy, a może nowością jest to, że przestało się o tym mówić wyłącznie w kuluarach. Czy wyciągniemy z tego jakieś wnioski na przyszłość? Ja jestem pesymistą. Raz że natura ludzka jest egoistyczna, dwa, że współczesność sprzyja lansowi i naszego środowiska nie ominie. Wreszcie sposób, w jaki „rozmawiano" o tym publicznie w ostatnim półroczu nie sprzyja temu, by szczerze i uczciwie rozmawiać o problemie.

Bardzo chciałbym się mylić i wierzyć, że wyciągniemy wnioski zarówno z kontrowersji ostatnich lat, jak i z pyskówki, która zdominowała ostatnie pół roku.

* * *

Niewielu z nas potrafi opowiadać o swoich przejściach tak, jak to robi Adam Pustelnik, który był ostatnio u nas w klubie ze swoim pokazem zdjęć – ze swadą, dowcipnie, bez fałszywej skromności i fałszywej autoironii, a jednocześnie tak, że nikomu nie przychodzi do głowy, iż w jakikolwiek sposób podkreśla on swoją wyjątkowość. Adam pokazując zdjęcia i opowiadając o swoich przygodach jest jednym z nas. A przecież to co robi jest wyjątkowe.

„Slava je kurba", czyli wszystko nie jest chyba takie jednoznaczne

Maciek Ciesielski

Człowiek ma taką naturę, że jak coś ciekawego zrobi, to chce o tym poinformować innych. I jest to coś normalnego. I fajnego. Jest kluczem do rozwoju we wszystkich dziedzinach.

Ze wspinaczami jest podobnie. Co więcej, w naszej działalności jest to tym bardziej ważne, że te informacje bardzo często przydają się innym, którzy chcą iść naszymi śladami – na tę samą drogę, ścianę czy pojechać w te same góry.

* * *

Więc w czym leży problem? Dlaczego mówi się, że media i informacje w nich pojawiające się niszczą alpinizm? O co chodzi z tą sławą, do której dąży się ponad miarę? Robimy to dla samych siebie, czy też własnej pychy, a może tylko dla sponsorów? A może wręcz przeciwnie – nie robimy czegoś, **bo tego oczekuje od nas nasze środowisko**?

* * *

Wydaje mi się, że jest to zagadnienie bardziej złożone. Sięgnijmy trochę do historii.

Jeden z najlepszych naszych eksploratorów tamtych lat – **Jan Fijałkowski**, każdą ze swych nowych dróg na alpejskich ścianach opisywał jako łatwą i wrysowywał w ściany linie z, czasami kosmicznie, zaniżonymi trudnościami wyciągów. Skończyło się na tym, że zachodni wspinacze przestali dawać wiarę, iż w danym miejscu może istnieć tak łatwa droga i zaczęto pomijać fakt istnienia tych linii. Brak medialności aż do przesady – czy to było dobre?

Trochę później, gdy nasz **Dream Team** atakował najtrudniejsze drogi, prawdopodobnie był jednym z pięciu najlepszych big-wallowych zespołów świata. Jednak brak artykułów, poza krótkimi i skromnymi sprawozdaniami corocznymi do AAJ sprawił, że klasę tych przejść można docenić dopiero z pewnej perspektywy czasu. A przecież jest to pokolenie sponsorowanych przez TNF Marka Synnott'a, czy przez Patagonie – Steve'a Housa. Czy to coś niemoralnego, że opisując rzetelnie i obszernie swoje dokonania, ci dwaj panowie po dzień dzisiejszy żyją i wspinają się za pieniądze sponsora?

Wojtek Kurtyka. Jest on niewątpliwym guru światowego alpinizmu. Wynika to z dwóch powodów – po pierwsze, co jest niepodważalne, ma w dorobku niesamowite przejścia. Po drugie, o czym czasami się zapomina, z bardziej prozaicznego powodu – świat wspinaczkowy o tych przejściach po prostu wiedział. Wojtek znał bardzo dobrze języki obce (opisywane przez Kukuczkę uczenie się języka w namiocie, na wyprawach), wspinał się z wspinaczami z Zachodu, pisał, notabene świetne, artykuły także do prasy zachodniej. Jestem w stu procentach pewny, że niejedna osoba

z naszego środowiska w tamtych czasach zawistnie mówiła o nim – ten to się lansuje...

Wanda Rutkiewicz – czy to nie w jej przypadku PZA powołała specjalną komisję w sprawie wyjaśnienia niedomówień dotyczących jej wejścia na Annapurnę? Chyba jednak tak, tego już prawie nikt nie pamięta, ale to była afera – pierwsza dama polskiego himalaizmu oskarżona o kłamstwo... W kuluarach mówiono, że zasłużyła sobie, bo za bardzo lansuje się na Zachodzie i jest taka „do przodu" - wszędzie jej pełno... Jej obrońcy np. Arek Gąsienica mówił wprost, że kilku facetom nie podobało się, że kobieta im dowalała...

* * *

Myślę, że nasze środowisko lubi skromność. Nawet tę udawaną. Nie lubi jak ktoś za dużo pisze o sobie. – *Nie chodzi o to, że pisze źle, czy nieprawdę, nie chodzi nawet o to, że się źle wspina, albo, że nie warto o tym pisać, chodzi po prostu o to, że jest go za dużo*.

* * *

Moim zdaniem u genezy całego omawianego przez nas problemu, w szczególności w naszym polskim środowisku, leży też właśnie to – **nasza historia i nasza mentalność**.

Historia. Skupię się tylko na tym, co nas dotyczy. Nastąpiły u nas wielkie zmiany. Wcześniej nie było praktycznie niczego, nasze środowisko działało na zasadzie chorych układów z władzami i przedziwnej koniunktury na prace wysokościowe. I nagle wszystko się zmieniło. Układy i prace wysokościowe się skończyły, a za to pojawiły się u nas praktycznie wszystkie znane firmy outdoorowe. Niestety, ich polscy przedstawicie nie dorobili się w ciągu kilku lat „milionów" (w Polsce wspina się jednak nie tak wiele osób), więc chcąc nie chcąc, nie mogą prowadzić działalności dobroczynnej (patrz sponsoring) na taką skalę, jak

Myślę, że nasze środowisko lubi skromność. Nawet tę udawaną.

to robią ich koledzy z Zachodu, gdzie interes kręci się nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat.

A utrzymać w Polsce rodzinę i realizować tak drogą pasję, jaką jest wspinanie – nie jest łatwo.

Co za tym idzie?

Sam dostałem propozycję współpracy, gdzie za parę ciuchów miałem się zobowiązać do zamieszczania co miesiąc w trzech różnych mediach, przynajmniej 3 informacji o tych ciuchach. Lub inną ciekawą – zapytałem kiedyś o zniżkę – rzecz warta była bodaj 200 złotych, dostałem odpowiedź, że tak, dostanę 30%, ale jak coś o tym napisze tu i tam. Obie pojawiły się ostatnio, uśmiechnąłem się tylko, ale kilka lat temu, kiedy byłem na studiach, gdy za 500 złotych żyłem cały miesiąc – myślę, że miałbym niezły orzech do zgryzienia, w końcu te ciuchy miały być fajnej firmy J.

Po co o tym piszę? Bo czasami mogą nas wkurzać sprawozdania, w których lista sponsorów jest dłuższa od listy dokonań, ale zanim to skrytykujemy, postarajmy się postawić w sytuacji tych osób – może nie mają wystarczająco dużo pieniędzy, a chcą się wspinać. A ten sponsor, za kurtkę której oni tak potrzebowali, wymagał od nich tych wszystkich podziękowań? Naprawdę nie oceniajmy czyjegoś zachowania, jeśli nie wiemy wszystkiego.

Z autopsji. Pamiętam jak kiedyś usłyszałem coś, co mnie bardzo zdziwiło, bo usłyszałem to po drugiej wspólnej zimowej wspinaczce – *A ja po tym, ile ty piszesz o swoich wyjazdach myślałem, że buc jesteś*... – naprawdę nie oceniajmy ludzi, których nie znamy.

* * *

Wydaje mi się, że naprawdę wiem, o czym piszę. Czas, od 2002 do 2008 roku, spędzałem na wspinaniu średnio po 250 dni w roku, w tym większość za granicą (sam rok 2008 to pięć takich miesięcy). Wielokrotnie słyszałem: *temu to dobrze* J. Ale był to mój własny i trudny wybór. Z jednej strony wspinałem się w miejscach moich marzeń, z drugiej rzuciłem studia, mimo, że mi bardzo dobrze szło J. A potem nie miałem dobrej pracy, którą dostali koledzy ze studiów. Ale o tym wiedzieli tylko najbliżsi.

Spotykałem się krytyką, że opisuję swoje przejścia i wyprawy, że to nic specjalnego. Że za dużo podziękowań dla sponsorów. Ale ja byłem im naprawdę wdzięczny, bo bez ich pomocy nie byłbym w stanie przeżyć tych kilku lat marzeń. Co więcej, uważam, że lepiej ciekawie opisać wyprawę bez sukcesu i podziękować tym, co nam pomogli, niż zakończoną sukcesem wyprawę przedstawić pobieżnie i nie podziękować tym, dzięki którym wyjazd doszedł do skutku – raz to niegrzeczne, dwa ten sam sponsor już nikomu w naszym środowisku nie pomoże. W ostatnich 20 latach było kilka takich niechlubnych historii.

* * *

Nasza mentalność.

Czyli punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Wracając kiedyś z Kubą z Tatr, podwoziliśmy kolegę. W burzliwej dyskusji zaatakował nas, że informujemy o każdym swoim przejściu, że mu się to nie podoba i że on tak nigdy by nie robił. Jakiś czas później kolega, zresztą świetny wspinacz, założył swoją szkołę wspinaczkową, ma swoją stronę i zaczął informować o swoich wspinaczkach przynajmniej raz w miesiącu. I jak dla mnie - to bardzo dobrze, bo ma o czym pisać. Ale wspominając tamtą sytuację, znów się uśmiecham J.

* * *

Rzetelność. Wydaje mi się, że najważniejsze dla kogoś, kto upublicznia swoje przejścia, a zatem jeśli można to tak określić, staje się wspinaczem medialnym, jest rzetelność. Nie chodzi o to, żeby pisać prawdę, bo to jest coś, o czym przecież nie dyskutujemy. Chodzi mi o to, żeby relacja była pisana w taki sposób, że jej interpretacja może być tylko jedna i w dodatku klarowna.

* * *

Internet. O tym powiedziano i napisano już wiele. Dla nas, wspinaczy jest to niesamowita kopalnia wiedzy na temat przejść i rejonów. Jest też niesamowitą platformą do przeróżnych dyskusji i wymiany uwag. Niestety, pewna anonimowość (niekoniecznie dosłowna) sprawia, że pomijając niską kulturę dyskusji (i tak dla mnie niezrozumiałą, chęć „przypierdolenia się" do wszystkiego), często mamy do czynienia z „ekspertami", którzy w mądry sposób piszą głupoty na tematy zupełnie im obce.

Jest dla mnie niepojęte, że w naszym środowisku, chodzi mi oczywiście o to wirtualne - na forach - doszło do sytuacji, że najgłośniej krzyczą i najczęściej się wypowiadają osoby, które nie są autorytetami wspinaczkowymi, a forma ich wypowiedzi też pozostawia wiele do życzenia.

A niektórym autorytetom czasami niestety brakuje odwagi, by przyznać się do błędów, a tych ostatnio w naszym środowisku popełniono naprawdę sporo.

* * *

Kończąc. Media są alpinizmowi potrzebne. Po to przecież powstała nagroda Złotego Czekana. Media napędzają zainteresowanie alpinizmem, więcej ludzi się wspina, jest szansa, że ktoś z nich okaże się wybitnym wspinaczem, który dokona kolejnego przełomowego przejścia. Nakręca się również popyt na sprzęt, odzież, to sprawia, że producenci mogą pracować nad nowymi lepszymi, ułatwiającymi nam działanie rozwiązaniami. To także umożliwia firmom sponsorowanie zawodników, którzy podnoszą poprzeczkę coraz wyżej. Chyba nikt nie ma wątpliwości, czy Ueli Steck lub Simone Moro chodzą do normalnej pracy...

* * *

Podczas tygodniowego pobytu w Szwajcarii widziałem Stecka dwa razy w „dzienniku" w telewizji, oraz nieustająco w witrynach sklepowych, w reklamach lin, okularów, dziab, kurtek, łyżew i kijów hokejowych. Jednym słowem bardzo medialny wspinacz, i ja to akceptuję.

Długo zastanawiałem się nad tematem poruszonym w BUCE. Od dawna obserwuję pewne niepokojące zjawisko wśród ludzi zarówno objętych sławą, jak i tych, dla których jest ona upragnionym - lub też nie - pojęciem. Wbrew pozorom dotyczy bowiem wszystkich.

Władca pierścieni

Marcin Tomaszewski

Moim pierwszym skojarzeniem, na którym chciałbym się oprzeć, jest książka „Władca Pierścieni" Johna R. R. Tolkiena. „Obroża" sławy nie jest dla każdego, jednak każdy w różnym stopniu może być pod jej wpływem. U niektórych obserwatorów, widok takiego pierścienia w posiadaniu drugiej osoby, może obudzić najciemniejsze cechy charakteru. Zawiść, niechęć, zazdrość i chęć zniszczenia. Są jednak tacy, na których nie robi większego wrażenia - jest dla nich zwyczajnym kawałkiem metalu. Nie wszyscy posiadacze „pierścienia" są odporni na jego działanie, nie wszyscy mają w sobie pokorę i samokrytykę, bez których łatwo jest odlecieć w wyimaginowany świat własnej wielkości. Cechy te wynikają z naszego charakteru i poczucia spełnienia. Wierzę, że osoba pewna własnych wartości doskonale sobie radzi z popularnością, zachowując przy tym odrębność i normalność. Głównym błędem ludzi, którzy doświadczyli sławy jest stawanie na palcach, brak samokrytyki i wiara w to, co dobrego o sobie usłyszą. Nic bardziej błędnego. Nikt nie zna nas i naszych wad i tajemnic lepiej niż my sami.

Marcin Tomaszewski,
fot. Jakub Radziejowski

Nie można nikogo winić za to, że stał się sławny bądź popularny. Proces ten niejednokrotnie rozwija się poza naszym zasięgiem. Jest ubocznym efektem naszych osiągnięć. Wielu wybitnych alpinistów, jak również przedstawicieli innych dziedzin sportów i życia, walczy ze swoimi wyzwaniami. Gdy osiągną w końcu sukces, na początku zostają dostrzeżeni przez środowisko i media. Tak rodzi się popularność. Dzielenie się swoimi przeżyciami oraz przygodami to przecież nic złego. Tak samo jak artykuły w czasopismach, czy podziękowania dla sponsorów finansujących i wspierających wyprawy.

Gdy popularność staje się nie do zniesienia, przechodzimy na poziom sławy, która wprowadza w dość nieciekawy, czasem samotny i fałszywy świat. Czy można postrzegać ją jako coś złego? To zależy jakie mamy intencje, bo przecież bywają one próżne i narcystyczne, co nie jest zbyt fajne. Mogą również ewoluować i przybrać inną, ciekawszą i pożyteczną, nie tylko dla nas, ale również dla innych, formę. Można z niej skorzystać, by na szerszą skalę propagować sport, pomagać młodym itp. Tak jest już ciut lepiej. Minęły czasy, w których alpinizm był sportem dla wybranych - od dawna staram się obalać ten mit. Aby przekonać do niego ludzi spoza środowiska, należy promować wspinanie w mądry, nie nachalny sposób, który odda ducha i specyfikę naszego „sportu". Tylko wtedy powstawać będą nowe ścianki wspinaczkowe, Parki Narodowe zdecydują się na większe ustępstwa, pojawi się więcej dobrze zapowiadających się wspinaczy, państwo zwiększy dotacje itp. Jeśli tego „unikniemy", w dalszym ciągu będziemy poza wspinaczkową mapą świata.

Afery, które trawią nasze środowisko - podzieliły je i skłóciły. Wiem, że to nie jest proste, jednak jako alpiniści nie powinniśmy iść na łatwiznę, należy panować nad słowem i emocjami. Pokazać wszystkim, jakich wartości nauczyły nas góry. Przepraszam za mocne słowa, ale moim zdaniem gorszą od kurwy-sławy, może być tylko kurwa-nienawiść i kurwa-zemsta. Partnerstwo liny również nie może stracić swojej wartości.

Konkurencja. Nie unikniemy oceniania naszych osiągnięć i stawiania ich w świetle innych przejść. Nagród, festiwali, wyróżnień, a nawet zawodów, w których przecież wielu z nas startuje. W górach, skałkach czy na sztucznej ściance. Konkurencja od zawsze była motorem rozwoju, podejmowania wielkich wyzwań i osiągnięć. Według mnie nieważne jest mierzenie się lub zwycięstwo nad wyimaginowanym przeciwnikiem, lecz wzbudzenie jego szacunku. Zawiść jest niczym innym, jak tylko świadectwem obu stron. Nad tym jednak należy pracować również na nizinach. Każdy patrzy na góry własnymi oczami, dla jednych są bieżnią, strzelnicą, a dla innych ogrodem, który starają się pielęgnować najlepiej jak potrafią. Ja w swoim ogrodzie nie mam trofeów, hoduję unikalne rośliny i próbuję o nie dbać najlepiej, jak umiem.

Sponsorzy. Obawiam się, że w świetle ostatnich wydarzeń związanych ze sprawą GL młode pokolenie będzie bało się pozyskiwać sponsorów, odważnie eksponować i relacjonować swoje dokonania. Strach przed atakami na forum może ostudzić zapał wielu młodych wspinaczy. Z drugiej jednak strony jest szansa, że podwyższy się standard relacji z wypraw, rzetelności wniosków składanych do PZA itp. Media oczekują od nas możliwie najlepszych tekstów i zdjęć. To nic dziwnego - chcą przyciągnąć uwagę czytelnika, zainteresować go lekturą i nakłonić do zakupu kolejnego magazynu. To jest również pokusa dla wspinaczy, którym zależy na rozgłosie. Każdą wyprawę można przedstawić na wiele sposobów. Każdą rzeczywistość można nagiąć, przemilczeć, przekręcić lub zniekształcić. Chwała temu, kto oprze się urokom pierścienia. Z drugiej jednak strony okazuje się, że niektóre, poważne nawet czasopisma, nie respektują bądź ignorują prawo do autoryzacji materiału. Zjawisko to w przypadku, choćby niefortunnej interpretacji lub złego tłumaczenia oryginalnego tekstu czy wywiadu, może być czasem bardzo krzywdzące dla samych wspinaczy. Każdy z nas musi wiedzieć kiedy powiedzieć stop mediom, odwrócić się i podejść pod kolejną ścianę.

www.geronimo.civ.pl
www.4zywioly.net
Sponsorzy: Himountain, Edelrid, Timex

„Czy ja nic nie rozumiem, czy oni zwariowali..." *

Adam Pustelnik

Zanim zabrałem się za ten temat minęło dużo czasu. Nie bałem się go, ale dalej nie jestem pewien, jak powinienem próbować go ugryźć. To kolos z wieloma kończynami. Każdy jego aspekt śmiało nadawałby się na osobną debatę. Nie jest on jednak niczym nowym w świecie wspinaczkowym.

Pamiętam jak w Eurosporcie regularnie relacjonowane były zawody wspinaczkowe. Startowały Lynn Hill, Robyn Erbesfield, Isabelle Patisier. U panów wygrywali Hirayama, Legrand a wszystko komentował Jerry Moffat. W tamtych czasach wspinanie sportowe przeżywało prawdziwy rozkwit. Filmy takie jak „Życie na koniuszkach palców" czy „Bambus" puszczane były w telewizji. Na RTLu albo jakimś innym niemieckojęzycznym kanale leciał film o tym, jak Gullich z Albertem „rozrabiają" w dolinie Yosemite. Pamiętam z jakim zaangażowaniem oglądaliśmy pierwsze filmy z serii „Masters of Stone", nie mówiąc o szkoleniowej serii pt: „Moving over stone". Ci, których obserwowałem w tych filmach, na zawodach, w czasopismach byli „bohaterami". Po części pewnie dlatego, że ich historie relacjonowały media, i mogłem w ogóle o nich usłyszeć. Ale w dużej mierze również dlatego, że w tych filmach, w przygodach tych wspinaczy widziałem osobowości, które były wyjątkowe i szczere.

Co zmieniło się od tamtych czasów? Wspinanie nadal polega na tym samym. Tylko, że świat poszedł do przodu i nasza pasja musi za nim nadążać. Ważne, żeby nie zagubić się w tym i nie zapomnieć, po co się wspinamy.

Nasza pasja jest niebezpieczna. Niezależnie czy wspinamy się na ścianie, czy w skałach albo górach. Wszędzie tam, gdzie wychodzimy na wysokość jest szansa, że spadniemy i to nie zawsze w kontrolowany sposób. Oczywiście można powiedzieć, że życie jest niebezpieczne, ale wybierając taką pasję większość z nas uczy się tego, jakie ryzyko podejmuje. Przy działalności takiej, jak wspinanie w górach, na własnej asekuracji, nie mówiąc już o solowaniu, czyli wszędzie tam gdzie podejmowane ryzyko jest większe niż przy wspinaczce sportowej (ściana, skały, bouldering), wydaje mi się, że myślenie w kategoriach „sławy" jest niezwykle ryzykowne. Tam gdzie błąd, nawet w postaci źle wybranego celu, może kosztować zdrowie lub życie, nie wyobrażam sobie, żeby motywacją do działania mógł być splendor, nagrody, wywiady itd. Rozumiem natomiast, że chęć sławy może prowokować do takiego przedstawiania swoich wspinaczek, przygód. Ryzyko jest czymś „innym" „nietypowym", i może stanowić o tym, że historia przejścia będzie wyjątkowa i atrakcyjna dla mediów. Tylko czy warto? Wspinanie wydaje się wystarczająco złożone, żeby nie trzeba było go dodatkowo koloryzować. Nie zawsze kończy się sukcesem, wielkim wyczynem. Ale niepowodzenia często przeradzają się w niezwykłe przy-

* Fisz, „Jesteście Gotowi", „Piątek 13" Asfalt Records.

gody, które pozostają w pamięci na długo. Sukcesy natomiast potrafią być banalne, proste, choć też piękne i pełne emocji.

Wspinacze oprócz działania w skale, lodzie i śniegu muszą również nauczyć się poruszania w rzeczywistości medialnej. Mieć świadomość tego, w jakie role wchodzą publikując lub nawet mówiąc o swoim wspinaniu. Nowe technologie i rozwój Internetu powodują że przepływ informacji jest błyskawiczny. Do każdej informacji zamieszczonej w sieci można się dostać bardzo łatwo i szybko. Portale społecznościowe jak Facebook, tylko ułatwiają dostęp do nich. Nie trzeba szukać informacji wystarczy, że zainteresuje się nimi ktoś z naszych znajomych. To my zostaniemy powiadomieni o tym, że coś się zdarzyło. Coś co potencjalnie może nas zainteresować trafia pod sam nos, nawet bez naszego udziału. Poza tym informacje w sieci nie giną. Wręcz odwrotnie. Można się do nich dostać łatwiej niż do relacji publikowanych w prasie drukowanej.

W tym dość zwariowanym świecie niełatwo się odnaleźć i utrzymać dystans. Równie trudno nie dać się zwariować i przypadkiem nie wejść w rolę, w której nigdy się nie chciało znaleźć. Ważne jak „sprzedajemy" swoje przygody. Granica między tym, co zdarzyło się naprawdę a tym, jak chcielibyśmy, żeby było

Czy warto być szczerym ze sobą samym, to chyba każdy sam sobie odpowie

to postrzegane, jest cienka. Często może rodzić pokusę ominięcia „niekorzystnych" faktów, albo właśnie nagięcia ich pod potrzeby „sprzedania" się w mediach. Czy warto być szczerym ze sobą samym, to chyba każdy sam sobie odpowie .

Rozumiem dobrze, że trudno mieć do tego dystans , kiedy z pasji chce się utrzymać, albo kiedy zostaje się postawionym w szeregu nominowanych do nagrody. W góry/skały nie jeździ się po to, żeby rywalizować – tak mi się przynajmniej wydaje. Do tego służą zawody. Tam warunki są maksymalnie obiektywne i można wyraźnie określić, kto ze startujących jest w nich lepszy, a kto gorszy. W innym przypadku rozdawanie nagród za najlepsze przejście, drogę, przygodę jest ekstremalnie subiektywne. Bo tak naprawdę, kto wie czyja droga jest trudniejsza, albo czyja wyprawa była bardziej ryzykowna? Nawet ich uczestnicy często nie są w stanie dokonać tego typu porównań. Tym bardziej, jeśli w jednym worku miesza się wiele dyscyplin wspinaczkowych. Przy czym trzeba pamiętać, że każdy konkurs, oprócz zwycięzców ma też przegranych. Oceniani są wszyscy biorący w nim udział. Dlatego też przy organizacji takich konkursów trzeba się wyjątkowo postarać, żeby ze wspinaczy nie zrobić wspominanych przez Marko Prezelja „pocisków". Warto zaznaczać odpowiedzialność, jaka wiąże się z przyznawaniem nagród. Pamiętać o tym, że oprócz „eventu" takie wydarzenia stawiają w szeregu ludzi, którzy w góry jeżdżą przede wszystkim dla siebie. Nie dla sławy.

Nie chciałbym, żeby wspinanie stało się działalnością, w której będziemy mieli do czynienia z celebrytami. Znanymi z tego, że są znani. Tak samo, jak nie lubię oceniać innych na podstawie tego, jak się wspinają. Pozytywnie, czy negatywnie. Mam nadzieję, że sami sobie nie powchodzimy na głowy i zachowamy dystans do tego co robimy. W końcu, jakby spojrzeć na to z boku, to nasze wspinanie często sprowadza się do włażenia na skały, które można normalnie obejść od tyłu, a my tylko bawimy się w utrudnianie sobie sprawy.

A sława... Tak nazywają się delikatesy w Pabianicach.

Black Diamond ATEST FIVE TEN

Poradnik dla wspinaczy. Jak zdobyć sławę?

Bogusław Kowalski

Czego może pragnąć wspinacz, gdy udało mu się wspiąć na najwyższą, najtrudniejszą, najbardziej pionową i najbardziej niedostępną górę? Co ma dalej począć? Przecież nikt go w tych przepaściastych zerwach nie widział. Nikt nie ma pojęcia o odwadze, jaką się wykazał. Nikt tak naprawdę go nie podziwia, a jeśli już to nie wiadomo, co jest warte uznania. Cóż więc z tym fantem zrobić? Spróbuję znaleźć odpowiedź na to niezwykle ważkie pytanie.

Przede wszystkim w czasie wyprawy należy więc zrobić zdjęcia. Warto zainwestować w aparat pozwalający na publikowanie w czasopis-

Bogusław Kowalski, fot. arch. autora

Przepraszam, czy mogę sobie zrobić zdjęcie z Panem. Ja i koleżanka, niedźwiedź, Zakopane.

- Kazik, Artyści

mach. Jeśli ktoś ma możliwość, to nie od rzeczy jest nakręcenie filmu. Tu porada techniczna – zdecydowanie należy materiał filmowy wzbogacić o wypowiedzi uczestników wyprawy, na przykład na temat egzystencji albo kobiet jako czynnika ograniczającego/motywującego (niepotrzebne skreślić) wspinanie. Wzmocnimy w ten sposób arsenał środków przybliżających nas do bycia bardzo znanym alpinistą. Następnie musimy napisać opowieść, którą później trzeba sprzedać mediom. Należy przygotować kilka wersji, bo być może uda się je sprzedać nie tylko do prasy wspinaczkowej, ale także pism kobiecych. Jedno z nich kierowane jest przez dwumetrowego mężczyznę, można więc po cichu liczyć na solidarność plemników. Warto też celować w męskie pisma typu „Hustler", czy „CKM", bo jak wiadomo alpinizm jest sexy. W przypadku posiadania zdolności fotograficznych lub odpowiednio dużej karty pamięci aparatu można szukać szczęścia w miesięczniku z żółtą ramką. Trzeba jednak pamiętać, że same publikacje w czasopismach nie zagwarantują kariery celebryty, więc oprócz pisania należy też bywać. Może nie od razu w komercyjnych telewizjach, ale od czegoś należy zacząć. Dobrym sposobem na rozpoczęcie kariery są prelekcje. Tu mogą pojawić się wątpliwości, bo zamiast gadać do publiki, która nie ma pojęcia o wspinaniu człowiek woli zrobić kolejny interwał. Ażeby wskazać właściwą drogę, odkrytą blisko 50 lat temu pozwolę sobie zacytować wieloletniego redaktora naczelnego Taternika:

Publiczne odczyty na tematy taternickie stały się ostatnio nie tylko powszechną formą popularyzacji naszego sportu, ale również dla wielu – wcale dobrą profesją. Znamy kilku, którzy przekroczyli już dwie lub trzy setki odczytów w domach kultury, klubach robotniczych i świetlicach wiejskich. Kwitnie też coraz bujniej życie odczytowe w kołach Klubu Wysokogórskiego. Wstęp do artykułu Taternik przed audytorium, Józef Nyka, Taternik 1966 (3-4)

Zawsze taka prelekcja jest okazją do otrzaskania się z tremą, swoim głosem, no i z publicznością. Mnie zdarzały się prelekcje i w przedszkolach, i w domach starców, a gdy wspomnę swoje początki, to włos mi się jeży na głowie. Z pierwszej publicznej prezentacji nie pamiętam pierwszych trzydziestu minut. A po jej zakończeniu jeszcze kilkanaście godzin trzymała mnie febra. Trzeba jednak umieć sobie poradzić z przeciwnościami wynikającymi z publicznej prelekcji. Zatrwożonych perspektywą występów publicznych pocieszę, że podobnie jak we wspinaniu trening czyni mistrza. Należy jednak pamiętać, że pod żadnym pozorem nie wolno występować charytatywnie. Dlaczego? O tym bliżej Zbigniew Jurkowski w cytowanym już Taterniku:

Wygłaszanie odczytów o alpinizmie jest pracą dostatecznie ciężką, by traktować ją najzupełniej poważnie. Ponieważ praca ta jest w dodatku niewdzięczna, przed przystąpieniem do odczytu należy koniecznie ustalić wysokość honorarium. Mówienie za darmo mija się z celem, nie tylko z punktu widzenia korzyści prelegenta. Słuchacze bowiem lekceważą mówcę, który męczy się dla nich, nic w zamian, oprócz wdzięczności nie żądając. (Z.J.)

Trzeba przy tym wiedzieć, żeby poza fotkami ze wspinania wrzucić kilka zdjęć z buziami małych dzieci, z zabytkami napotkanymi w drodze pod ścianę, no i może jakieś małe zwierzątko – najlepiej futrzaka. Do pokazu można dobrać adekwatną do tematu muzykę i efekt jest zagwarantowany. Słusznie możemy się spodziewać, że po prelekcji ustawi się kolejka fanek po autografy. Może się jednak zdarzyć, że nasze osiągnięcia są tak mało znane, iż jedynymi odbiorcami mogą

być koledzy z macierzystego i z zaprzyjaźnionych klubów. Tu trzeba bardzo uważać, bo jest to wyższa szkoła jazdy. Kładę na to nacisk, gdyż byłem świadkiem jak pustoszała sala w czasie prelekcji bardzo znanego alpinisty. Słuchacze – w większości wspinacze z uznanym dorobkiem - nie byli w stanie słuchać opowieści o największych trudnościach, których nikt inny nie byłby w stanie pokonać. Ażeby zapobiec podobnemu zgrzytowi radzę skorzystać z kolejnej instrukcji Zbigniewa Jurkowskiego:

Zupełnie osobny problem stanowią odczyty dla taterników. Jeżeli chcemy, ażeby pochlebnie wyrażano się o naszej prelekcji, powinniśmy w ciągu jej trwania wpoić we wszystkich zgromadzonych na Sali wspinaczy, iż w odróżnieniu od nich – pojęcie o wspinaczce mamy raczej mętne, i tylko dzięki godnemu pożałowania nieporozumieniu my, a nie oni, atakowaliśmy wielkie ściany zagranicznych gór.

Warto wiedzieć, że gdy osiągniemy perfekcję w prelekcjach dla znajomych i zdobędziemy sławę sprawnych spikerów to możemy liczyć na zaproszenie na jeden z licznych w naszym nizinnym kraju festiwali górskich. A stąd już prosta droga do wielkiej kariery. Na festiwalach czają się dziennikarze, bywa że również telewizja. Prędzej, czy później – zgodnie z regułą, iż najbardziej lubimy piosenki, które już słyszeliśmy – uda nam się wychodzić znajomości na salonach. Jeśli tylko wysławiamy się w miarę poprawnie i mamy odpowiednią motywację to prędzej czy później wypijemy *kawę, czy herbatę*.

Na koniec pragnę zastrzec, że nie odpowiadam za skutki uboczne niniejszego poradnika. Zwłaszcza za niezamierzoną rezygnację z kariery wspinacza, na rzecz bycia celebrytą, który jak wiadomo znany jest z tego, że jest znany. Gdyż po zdobyciu sławy dyżurnego alpinisty Rzeczypospolitej będą z nas się śmiali koledzy (byli?) ze środowiska wspinaczkowego. Czego Wam szczerze nie życzę.

Bogusław Kowalski
Instruktor Alpinizmu PZA

W opinii mediów I

Piotr Turkot (wspinanie.pl)
Wojtek Słowakiewicz (wspinanie.pl)

W grudniu 2005 roku gościem KFG był Marko Prezelj, wybitny słoweński alpinista, znany ze swego jednoznacznego podejścia do kwestii etyki, stylu oraz co równie ważne nagród w świecie alpinistycznym. Wszak to do niego należy autorstwo słów o „kurwie sławie". Podczas jednego z knajpianych wieczorów rozmowa zeszła na rolę mediów wspinaczkowych, jaką odgrywają w przekazywaniu informacji o kolejnych mniej lub bardziej wybitnych przejściach. Marko dość twardo wskazywał na obowiązek mediów w dochodzeniu do prawdy, tam gdzie pojawiają się wątpliwości. Jednak zapytany o swoje zdanie na temat historii Tomo Česena, szybko odpowiedział – to mój dobry znajomy, przyjaciel – ja wierzę w to co mówi... To zdarzenie dobrze opisuje sytuację, w jakiej znajdują się często branżowe media – wszak w większości przypadków dotyczących rodzimych wspinaczek informują o wydarzeniach, których autorami są dalsi lub bliżsi znajomi, a często również dobrzy koledzy i przyjaciele. Trudno oddzielić sympatie, dobrą wolę, koleżeńską solidarność i przekształcić się w nieczułe na te związki media...

W 12-letniej historii wspinanie.pl podobne dylematy nie zdarzały się na szczęście zbyt często. Pierwszy znaczący i obarczony dużymi reperkusjami moment nastąpił przy sprawie Malunphalan, kiedy to staraliśmy się oddzielić koleżeńskie relacje od rzeczywistego problemu związanego z tym przejściem. Drugi ma miejsce od wielu miesięcy przy aferze Golden Lunacy i paradoksalnie mimo, że bazujemy na podobnym założeniu sprawia nam o wiele więcej kłopotów i to paradoksalnie nie tylko w relacji redakcja - zespół.

Jednak „sympatie" nie mogą tłumaczyć większych i mniejszych nieścisłości, błędów czy niedopowiedzeń, które pojawią się w różnych relacjach. Wydaje nam się, że wszelkie braki dotyczące właściwego opisu stylu, zastosowanej asekuracji etc., wynikają z dwóch najważniejszych przyczyn – ogólnie niskiego poziomu wspinaczkowego środowiska oraz, co oczywiście nie przychodzi nam łatwo przyznać, słabości mediów wspinaczkowych.

Obie te przyczyny mają jeden wspólny mianownik – często po prostu cieszymy się z wyczynów naszych kolegów i koleżanek, co usypia czasem zdrowy rozsądek i odsuwa na dalszy plan pytania o wspinaczkowe szczegóły. Oczywiście to się zmienia, wszyscy wyciągamy wnioski, i relacje wspinaczy oraz ich prasowe publikacje stają się coraz dokładniejsze.

Trzeba jednak pamiętać, że branżowe media na całym świecie działają mniej więcej podobnie – tzn. bazują na nadesłanych przez wspinaczy materiałach. Nie stosują szczególnych weryfikujących formatek, nie konfrontują w dwóch czy trzech kolejnych źródłach informacji dostarczanych przez znanych w środowisku wspinaczy. Cały czas wszędzie przeważa zasada zaufania - tak jest po prostu w naszej wspinaczkowej społeczności sympatyczniej..

...często po prostu cieszymy się z wyczynów naszych kolegów i koleżanek, co usypia czasem zdrowy rozsądek i odsuwa na dalszy plan pytania o wspinaczkowe szczegóły.

W opinii mediów II „Taternik"

Czytając sprawozdania można odnieść wrażenie, że wiele osób myli relację z luźnymi i bardzo osobistymi obrazkami z wyprawy. Zabawne opisy pod hasłem „a to mieliśmy przygody" może i dobrze się czyta, gorzej, jeśli autor uznaje je za sprawozdanie z dokonań.

Rzetelna relacja to musi być konkretny dokument, w którym przede wszystkim skupiamy się na informacji: kto, co, gdzie, kiedy, jak – i to powinniśmy zawrzeć już we wstępie. Przekazując dane o drodze, szczycie, rejonie, historii eksploracji posiłkujemy się sprawdzonymi źródłami – encyklopediami, opracowaniami, relacjami uczestników wcześniejszych wypraw. Ze względu na to, że w wielu publikacjach można znaleźć różne wysokości szczytów, zwyczajowo przyjęło się, że dane te podajemy za Wielką Encyklopedią Gór i Alpinizmu Małgorzaty i Jana Kiełkowskich.

Co jeszcze powinno się znaleźć w sprawozdaniu? Na pewno charakterystyka drogi, jej przebieg, z dokładnie wyrysowanym i czytelnym topo, wiadomościami o problemach występujących na drodze i sposobie ich rozwiązania. I oczywiście - opis rejonu, jeśli jest mało znany lub eksplorowany po raz pierwszy (tu również ważne będą zdjęcia). Dobrze jest też w relacji zawrzeć cenne uwagi, porady dla osób, które po nas wybiorą się w opisywany rejon czy zdecydują się przejść tę samą drogę.

Konkretna relacja jest najważniejsza. Reszta to tylko dopełnienie.

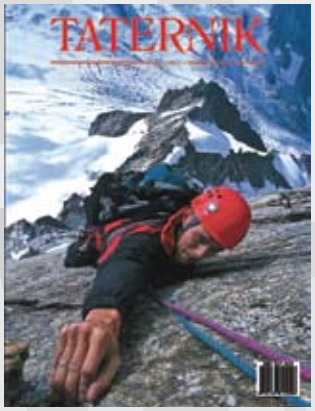

Nie namawiam do pisania tylko suchych, lakonicznych sprawozdań i całkowitej rezygnacji z tekstów opowiadających o przeżyciach i przygodach podczas wyprawy. Te dwie formy prezentacji naszych wyczynów mogą współistnieć, jednak wyraźnie od siebie oddzielone (np. jako dwa teksty).

Renata Wcisło („Taternik")

Podsumowanie tatrzańskie AD 2011

Maciej Kowalczyk

„Zima, zima, polska zima – kampus, drążek, kreatyna”!

Jarek Mazur na *Żlebie Drege'a*
fot. Jakub Radziejowski

Legenda
KWW – KW Warszawa
KGJ – KG Jelonki
ŚKA – Świętokrzyski Klub Alpinistyczny
K – Karateświnia
KWT – Klub Wysokogórski Trójmiasto
GM – Grupa Młodzieżowa
n – niezrzeszony

Niestety w tym sezonie większość klubowiczów wzięła sobie chyba do serca to staropolskie porzekadło. Zimowych przejść mogło być na pewno więcej, jeśli będziemy pamiętać (a na pewno kilka osób będzie :), jak łaskawa była dla taterników Królowa Śniegu 2010/11. Doskonałe warunki towarzyszyły przez większą część zimowych miesięcy, pozwalając na działanie w ścianach tatrzańskich Zerw i Bul niemal każdego dnia. Jak na prezesa przystało, sygnał do działania dał Jakub Radziejowski przechodząc z Krzyśkiem Goździewiczem i Wojtkiem Romanem prawie klasycznie (1xAF) kombinację *Trzech Pór Roku* i *Starego Środka* ściany Kazalnicy Cubryńskiej, a kilka dni później z Maćkiem Ciesielskim *Prawego Dorawskiego* na Świnicy – tym razem w najczystszym stylu. Wojtek i Krzysiek podczas klubowego weekendu integracyjnego odbywającego się w Morskim Oku próbowali Filara MSW, z którego niestety musieli się wycofać ze względu na bardzo ciężkie warunki pogodowe, jakie zastały ich po spędzeniu nocy w jednym z ekskluzywnych mięguszowieckich hoteli. Przygoda skończyła się szczęśliwie i była to na pewno najciekawsza próba, jaka została podjęta podczas kilkudniowego spotkania. Na przełomie lutego i marca na Słowacji działał aktywnie Robert Nejman w masywie Gierlachu, przechodząc z różnymi partnerami kilka dróg, o których szczegółowo przeczytać można w wykazie. 13 marca do polskiego oblężenia Rumanowego i Ganku przyłączył się również Prezes z Wojtkiem Romanem przechodząc *Koryto Rumanowego*.

Latem działaliśmy w Tatrach znacznie więcej – za to pogoda jak kobieta – raz była piękna i uprzejma, a innym razem dawała dotkliwie odczuć swoje humory. Podejścia są różne – jedni cierpliwie czekają na to, aby zasłużyć na jakiś przelotny uśmiech, inni – mają na tyle uroku, że od razu potrafią wkupić się w łaski naszej kapryśnej Aury. Szkołę cierpliwości obrał, po przeczytaniu kilku książek na temat Zen, Bartek Kurowski. Na szczęście w jego lekturach znalazł się również *Komin Pokutników*, dzięki czemu Bartek może pochwalić się zdecydowanie największą ilością przebytych w tym sezonie dróg. Warto zaznaczyć, że był to jego pierwszy tatrzański sezon. Drugi klubowicz, który z pewnością zasługuje na wyróżnienie obrał drugą metodę i swym urokiem osobistym zbałamucił pogodę, co pozwoliło na poprowadzenie kilku pięknych dróg. Maciuś Korzeniak, bo o nim oczywiście mowa, działał z Mateuszem Zabłockim m.in. na Kazalnicy Mięguszowieckiej (*Kant Filara, Małolat*), na Mnichu (*Baryła*) i kilku innych ścianach. Był również kierownikiem pierwszego tatrzańskiego zgrupowania „Karateświni”, które niestety nie przyniosło spektakularnych odhaczeń.

Z lepszym skutkiem odbyło się za to zgrupowanie Grupy Młodzieżowej, do której należy trzech klubowiczów. Pod czujnym okiem kadry (między innymi również naszego Prezesa) udało się przejść kilka dróg po polskiej stronie Tatr.

Działo się również u naszych sąsiadów Słowaków, co potwierdzają przejścia klasyków na ścianie Kieżmarskiego Szczytu (*Wielkie Zacięcie, Krissak*), Galerii Gankowej (*Orłowski, Łapiński*) i kilku innych pięknych szczytów. Przełom lata i jesieni przyniósł fenomenalne warunki – brak opadów pozwolił na gruntowne osuszenie naszej morskookocznej królowej, co z kolei umożliwiło szereg bardzo interesujących powtórzeń. Niestety ponownie nie udało nam się wykorzystać tego słonecznego uśmiechu losu (z chlubnym wyjątkiem Maćka Korzeniaka) – miejmy nadzieję, że wszyscy tym razem ostrzyli już dziaby na nadchodzącą zimę ;

Wykaz przejść tatrzańskich 2011

ZIMA

CISOWA CZUBA (DOLINA BIAŁEJ WODY)
Oči plné l'adu (II/WI4+)
Kuba Radziejowski, Rafał Burczyński, OS

GRANATY
Żleb Drege'a (6+)
Jakub Radziejowski, Jarek Mazur, OS

KAZALNICA
Korosadowicz (5)
Michał Dziedzic, Rafał Burczyński, OS
Maciek Kowalczyk, Tomek Markiewicz, OS
Popko-Sałyga (5)
Jędrek Kluziński, Maciek Kowalczyk, OS
Cień Wielkiej Góry (6)
Maciek Kowalczyk, Agnieszka Tarasińska (KWW), OS

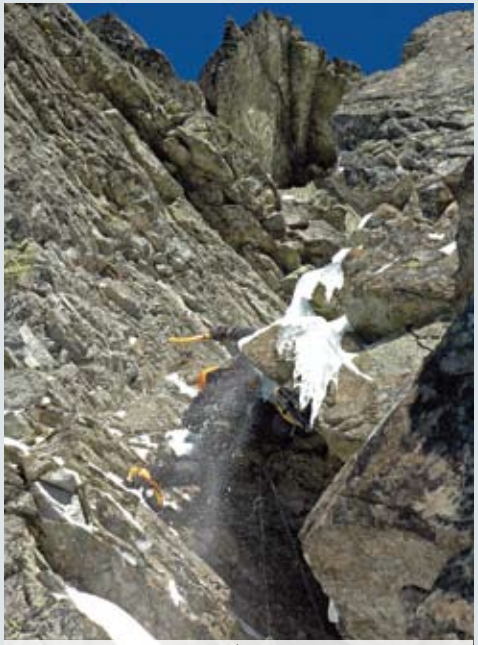

Jakub Radziejowski na *Żlebie Drege'a*
fot. Jarek Mazur

Wojtek Roman na Rumanowym Szczycie
fot. Jakub Radziejowski

KAZALNICA CUBRYŃSKA
Trzy Pory Roku + ***Stary Środek*** (6+)
Jakub Radziejowski, Krzysztof Goździewicz, Wojtek Roman, 1xAF
Jagiełło-Roj (5)
Maciek Kowalczyk, Agnieszka Tarasińska (KWW),
Bartek Sobieszczański OS

MNICHOWE PLECY
Wesołej Zabawy (4+)
Maciek Kowalczyk, Agnieszka Tarasińska (KWW), OS

ŚWINICA
Prawy Dorawski (5+)
Jakub Radziejowski, Maciek Ciesielski, OS

TURNIA ZWORNIKOWA
Siekierezada (5)
Jędrek Kluziński, Maciek Kowalczyk, OS

SŁOWACJA
GIERLACH
Stanisławski (4)
Robert Nejman, Piotr Wolski, OS
Komin Sawickiego (5)
Robert Nejman, Piotr Wolski, OS

POŚREDNI GIERLACH
Galfy-Urbanovic (5)
Robert Nejman, Piotr Wolski, OS
Filar Stanisławskiego (4+)
Robert Nejman, Piotr Bucki (KWW), OS

RUMANOWY SZCZYT
Rumanowe Koryto, wyjście Prawym Filarem (6)
Jakub Radziejowski, Wojtek Roman, OS

WIELKA WIELICKA STRAŻNICA
Droga Mączki (5)
Robert Nejman, Piotr Bucki (KWW), OS

LATO
CZOŁÓWKA MSW
Szare Zacięcie (VI+)
Bartek Kurowski, Adam Kaczmarek, AF
Kombinacja Zacięcie Muskata + ***Szare Zacięcie*** + ***Starek-Uchmański*** (VI+)
Jakub Radziejowski, Mateusz Szmajda, Janek Sołyga (GM) OS
Miękkie Ruchy (VII+)
Krzysiek Banasik, Janek Sołyga, (GM) OS

Krzysiek Banasik na Chrobaku na Wołowej Turni **fot. Jakub Radziejowski**

KAZALNICA
Kant Filara (VII+)
Maciek Korzeniak, Mateusz Zabłocki (KWW), OS
Warianty Małolata (VI+)
Maciek Korzeniak, Mateusz Zabłocki (KWW), OS
Schody do nieba (VI)
Maciek Kowalczyk, Bartek Kurowski, OS

KOPA SPADOWA
Misio (VII)
Maciek Kowalczyk, Olga Niemiec, (GM) OS

MNICH
Sprężyna (VII-)
Maciek Kowalczyk, Krzysiek Korn, (GM) OS
Bartek Kurowski, Piotr Xieski (KW Katowice), RP
Sprężyna (VII-) ***wariantem Nyki***
Maciek Korzeniak, Mateusz Zabłocki (KWW), RP
Stanisławki (VI-)
Bartek Kurowski, Jędrek Kluziński, OS
Kant Klasyczny (V+)
Bartek Kurowski, Jędrek Kluziński, OS
Kant Klasyczny + ***Florecistka*** + ***Rysa Kopczyńskich*** (VII+)
Bartek Kurowski, Krzysztof Miler (KWT), AF
Fereński (VII)
Maciek Korzeniak, Mateusz Zabłocki (KWW), OS
Baryła-Stonawski (VIII)
Maciek Korzeniak, Mateusz Zabłocki (KWW), FL
Kant Hakowy (VII)
Maciek Kowalczyk, Bartek Kurowski, OS
Międzykancie (VII-)
Maciek Kowalczyk, Bartek Kurowski, OS
Wachowicz (VIII)
Maciek Kowalczyk, Janek Sołyga (n), OS
Międzymiastowa + ***Kosiński*** (VII)
Maciek Korzeniak, NN, RP
Bartek Kurowski, Krzysztof Miler (KWT), AF
Hobrzański (VII-)
Maciek Korzeniak, Robert Subdysiak (K), OS
Hobrzański + ***Kosiński*** (VII)
Jakub Radziejowski, Mateusz Szmajda, Janek Sołyga, (GM) OS
Superkancie (VII-)
Jakub Radziejowski, Mateusz Szmajda, Janek Sołyga, (GM) OS

MNISZEK
Skośna Rysa (VI+)
Jakub Radziejowski, Mateusz Szmajda, (GM) OS
Diretissima (VI)
Krzysiek Banasik, Maciek Kowalczyk, Janek Sołyga, (GM) OS

Mateusz Szmajda prowadzi na *Rysie Marcisza* na Mnichu **fot. Jakub Radziejowski**

Maciek Kowalczyk na Zamarłej Turni **fot. Jakub Radziejowski**

WOŁOWA TURNIA PN.

Chrobak (VII)
Jakub Radziejowski, Mateusz Szmajda, (GM) 1xAF
Krzysiek Banasik, Maciek Kowalczyk, Janek Sołyga, (GM) 1xAF

ZADNI MNICH

Wakacje w Tybecie (VII)
Bartek Kurowski, Krzysztof Miler (KWT), OS
Mróz-Heinrich (VI+)
Bartek Kurowski, Krzysztof Miler (KWT), OS
Wariant obok Mroza-Heinricha (VI)
Bartek Kurowski, Krzysztof Miler (KWT), OS
Uznański (V)
Bartek Kurowski, Krzysztof Miler (KWT), OS

ZAMARŁA TURNIA

Prawe Wrześniaki (VI+)
Rafał Nawrot, Agnieszka Borecka, OS
Maciek Korzeniak, Kamila NN, RP
Kant Zacięcia Komarnickich (V+)
Maciek Korzeniak, Kamila NN, RP
Jargiłło-Paćkowski (VI+)
Michał Dziedzic, Michał Kasprowicz, OS
Kant Heinricha (VII-)
Michał Dziedzic, Michał Kasprowicz, OS
Prawy Heinrich (VI+/VII-)
Wojtek Ryczer, Marcin Nowogródzki, OS
Kombinacja Tarnawski-Hodur + ***Kant Pietscha*** (VII+)
Michał Dziedzic, Michał Kasprowicz, AF
Motyka
Maciek Korzeniak, Solo RP
Asia i Jarek Kramer, Styl Małżeński
Klasyczna
Maciek Korzeniak, Solo RP
Festiwal Granitu (V)
Bartek Kurowski, Adam Kaczmarek, OS
Lewa Pilchówka (V+)
Jakub Radziejowski, Mateusz Szmajda, (GM) OS
Prostowanie Lewej Pilchówki (VII)
Krzysiek Banasik, Janek Sołyga, (GM) OS
Maciek Kowalczyk, Adam Pieprzycki, (GM) OS

ŻABI KOŃ

Grań (IV)
Bartek Kurowski, Krzysztof Miler (KWT), OS

SŁOWACJA

BATYŻOWIECKI

Crnobiele sokoliky (VI+)
Waldemar Żyliński, Paweł Fidryk, OS
Zbigniew Warakomski, Zygmunt Stankiewicz, OS
Cihulov Pilier (V+)
Zbigniew Warakomski, Zygmunt Stankiewicz, OS

Galeria Gankowa

Orłowski (VI)
Waldemar Żyliński, Michał Rajski, OS
Final Cut (VI+)
Zbigniew Warakomski, Michał Dziedzic, OS
Łapiński-Paszucha (VI+)
Robert Nejman, Zbigniew Krośkiewicz, OS

Galeria Osterwy

Zacięcie Dieski (VII-)
Maciek Kowalczyk, Bartek Kurowski, OS

Kieżmarski Szczyt

Wielkie Zacięcie (VI+)
Rafał Nawrot, Małgorzata Jurewicz, Marek Pawłowski, OS
Maciek Korzeniak, Marcin Wernik, RP
Płyty Krissaka (VI+)
Maciek Korzeniak, Marcin Wernik, OS

Mały Lodowy Szczyt

Vsetko v poriadku (VI+/VII-)
Piotr Sochacki, Leszek Szymański (ŚKA), OS
Droga Motyki (V)
Piotr Sochacki, Leszek Szymański (ŚKA), OS
Klasyczna (IV)
Piotr Sochacki, Leszek Szymański (ŚKA), OS

Łomnica

Hokejka (VII-)
Rafał Nawrot, Małgorzata Jurewicz, Marek Pawłowski, 2xA0

WOŁOWA TURNIA PD.

Hvezdova Cesta (VI)
Michał Dziedzic, Zygmunt Stankiewicz (KGJ), RP
Stupid Wall (VII)
Michał Dziedzic, Zygmunt Stankiewicz (KGJ), RP
Moribundus (VII-)
Michał Dziedzic, Zygmunt Stankiewicz (KGJ), FL

ŻÓŁTA ŚCIANA

Cagasik + ***300m Filarem do szczytu Pośredniej Grani*** (VII)
Jakub Radziejowski, Jarek Mazur, OS
Kombinacja ***Bakos-Petrik/Diretissima*** (VI+/VII-)
Jakub Radziejowski, Jarek Mazur, OS

Jakub Radziejowski na drodze *Bakos Petrik* na Żółtej Turni **fot. Jarek Mazur**

Jarek Mazur na ostatnim wyciągu *Direttissimy* Żółtej Turni **fot. Jakub Radziejowski**

Wielka zima wielkiej dwójki

Wojciech Bajak

Na początku lat trzydziestych Alpy dla Polaków znajdowały się nie tylko poza zasięgiem wzroku, ale nawet myśli i planów. Brak sukcesów zimowych w Tatrach utwierdzał bowiem działaczy w przekonaniu, że wbrew słynnemu hasłu Romana Kordysa najbliższa przyszłość naszych wspinaczy leży jeszcze w rodzimych górach, a nie na śnieżnych olbrzymach. Dopiero pionierskie wejścia o tej porze roku na dwie wielkie ściany – północne Jaworowego i Małego Kieżmarskiego Szczytu – dokonane w jednym roku przez Zbigniewa Korosadowicza i Jana Staszla otworzyły nowe horyzonty i coraz śmielej zaczęto spoglądać w kierunku alpejskich stoków.

Artyści i juhasi

Aż strach sobie wyobrazić, o ile ubożej wyglądałaby kronika taternicka lat trzydziestych, gdyby nie właśnie ci dwaj? Choć różniło ich chyba wszystko. Pierwszy, przez kolegów zwany „Korkiem" lub „Korosadem", rodowity Krakus, syn znanego rzeźbiarza – cyzelera i nauczycielki. Student Wydziału Filozoficzno-Przyrodniczego na Uniwersytecie Jagiellońskim, który w 1933 r. sposobił się do obrony magisterium z geografii. W głębi duszy, po ojcu, artysta - malarz, co dowiódł wiele lat później tworząc wspaniałe mapy panoramiczne. Drugi zaś nazywany „Jano", z dziada pradziada góral podhalański, którego przodkowie chadzali na zbój i pasali na tatrzańskich halach owce. Zapewnie po nich odziedziczył odważną naturę, pomagającą podczas tatrzańskich wypraw. W chwili pierwszej wspólnej wspinaczki ukończył zaledwie 18 lat, a na horyzoncie rysowała się dopiero matura.

Szefem w tym dwuosobowym zespole został Korosadowicz. Wspinaczkę uprawiał od 1925 r., ale dopiero przez dwa ostatnie sezony jego gwiazda mocniej błyszczała na tatrzańskim firmamencie. W tym czasie konto „Korka" wzbogaciło się o wiele nowych, trudnych przejść m.in. południowo-wschodnią ścianę Kołowego Szczytu, uskok Wschodniego Szczytu Żelaznych Wrót, północną ścianę Pośredniej Grani czy środek północnego urwiska Żabiej Turni Mięguszowieckiej. W zimie zaś samotnie dokonał pierwszego w historii wejścia zimowego na wierzchołek Ciężkiej Turni. Pomimo tych osiągnięć, jak cień podążała za nim pamięć środowiska o wspinaczce z Wiesławem Stanisławskim, gdy przed laty zostali uwięzieni na północnej ścianie Zamarłej Turni i konieczna była pomoc TOPR-u.

Co innego Staszel. On z kolei był nadzieją polskiego taternictwa. W ciągu dwóch lat, terminując u boku choćby wspomnianego Stanisławskiego, zrobił bowiem wiele dróg, zaskakująco trudnych jak na jego wiek.

Na głodzie

Pierwszym wspólnym celem Korosadowicza i Staszla stała się północna ściana Jaworowego Szczytu. wielka i ważna część historii taternictwa, pełna – niczym przepastna księga – dramatycznych zdarzeń, wspinaczkowych opowieści, środowiskowych legend oraz anegdot. Korosadowicz ze Staszlem byli tymi, którzy chcieli dopisać do niej jeszcze jeden rozdział - pierwsze wejście zimą. Choć cel wcale nie wydawał się łatwy. Pionowe krzesanice wznoszące się nad Doliną Jaworową już samym wyglądem przyprawiły niejednego wspinacza o dreszcze. Sam Jan A. Szczepański („Jaszcz") w swym artykule dla „Przeglądu Sportowego" tak pisał o wyzwaniu czekającym dwójkę wspinaczy: - *Potężny mur skalny, który zimą nastręcza maksymalne trudności*.

Jan Staszel (drugi od lewej) fot. J.Hajdukiewicz, arch. J.Nyka

Zbigniew Korosadowicz

Pomimo ogromu przedsięwzięcia, taternicy postanowili nie zabierać na wyprawę ze sobą śpiworów, a także znacznie ograniczyć zapasy żywności. Wszystko po to, aby zbytni balast plecaków nie utrudniał im pokonywania trudniejszych miejsc. Przed wyruszeniem zakładali bowiem, że przy odpowiednim tempie na przejście ściany drogą Martina wystarczą dwa dni i zaledwie jeden biwak. Z tym przeświadczeniem 5 stycznia 1933 r. stanęli u stóp ściany.

O ile jednak pierwszej doby, pomimo zwałów śniegu zalegających w żlebach i rynnach, wszystko poszło w miarę sprawnie, o tyle drugiej po przejściu skalistego żebra, wspinacze na długi czas ugrzęźli pod kilkumetrowym uskokiem. Korosadowicz przez lata treningów lekkoatletycznych w Wiśle Kraków wyrobił sobie naprawdę imponującą muskulaturę, dzięki czemu niestraszne były mu nawet najtrudniejsze „korby", wymagające użycia wielkiej siły, jednak w tych warunkach pokonanie tego spiętrzenia na trwało kilka godzin aż do zapadnięcia zmroku. W dodatku podczas przejścia tego miejsca ich rękawiczki doszczętnie porozrywały się na ostrych krawędziach chwytów. Pogoda, która do tej pory sprzyjała, zaczęła się całkowicie psuć. Ściana spowiła się gęstą mgłą, z nieba zaś zaczął sypać drobny śnieg. Stopniowo zaczynał im dokuczać także narastający głód. Ostatnie zapasy zjedli bowiem już kilka godzin przed drugim biwakiem. Dość szybko więc taternicy poznali smak zemsty za zbytnie zlekceważenie Jaworowego Szczytu.

Poranek nie przyniósł żadnej poprawy, a temperatura obniżyła się tego dnia do około -8 stopni. Mimo tych przeciwności Korosadowicz ze Staszlem postanowili kontynuować wspinaczkę i w górę wyruszyli już o 8 rano. Sukces jednak nie przyszedł łatwo. Zanim dotarli na grań szczytową, długo jeszcze męczyli się z zagradzającym drogę oblodzonym głazem. Jego obejście kosztowało ich sporo czasu oraz sił także ze względu na głód i zmęczenie. Dopiero po pokonaniu tej przeszkody stanęli na wierzchołku Jaworowego Szczytu i tym samym, 7 stycznia 1933 r. o 12:25, zostali pierwszymi zdobywcami zimą liczącej przeszło 400 metrów północnej ściany tego dumnego wierchu. Przez całą drogę jako pierwszy na linie szedł Korosadowicz.

O wydarzeniu tym doniosła nawet Polska Agencja Telegraficzna, która rozesłała depesze do niemal wszystkich redakcji. Wiele z nich zamieściło informację na temat tego wyczynu. „Ilustrowany Kuryer Codzienny", napisał: - *Niedawno dokonano w Tatrach jednego z najpoważniejszych zimowych wyjść taternickich w wielkim stylu. (...) Zimowe wejście północną ścianą Jaworowego Szczytu jest poważnym wyczynem alpinistycznym i wzbudziło w kołach taterników wielkie zainteresowanie. „Branżowy" periodyk, czyli „Taternik" zatytułował swą relację: Nowy wielki sukces taternictwa zimowego*. Natomiast „Jaszcz", podsumowując dla „Przeglądu Sportowego" zimowy sezon 1932/33 stwierdził, że było to podniesienie rekordu taternictwa zimowego. Echa tego sukcesu, dotarły nawet za granicę. O wyczynie Korosadowicza i Staszla wiadomość opublikował bowiem bratysławski magazyn „Sport".

Kilometr śniegu i lodu

W góry Korosadowicz i Staszel wrócili w połowie kwietnia tuż przed Świętami Wielkanocnymi. Kolejnym celem tego zespołu stało się niezdobyte dotąd zimą największe urwisko całych Tatr – licząca ponad 1000 metrów północna ściana Małego Kieżmarskiego Szczytu. Nauczeni doświadczeniem z poprzedniej wyprawy tym razem zabrali śpiwory, a także nieco więcej żywności.

Swą wyprawę rozpoczęli 13 kwietnia o 5:40 rano. Było jeszcze ciemno, gdy znaleźli się u stóp ponad kilometrowych zlodowaciałych zerw, które zamierzali pokonać drogą A. i J.A. Szczepańskich oraz J.K. Dorawskiego z 1929 r. – *Od razu na wstępie spotkało nas wielkie ośnieżenie i olodzenie. Wskutek tego posuwaliśmy się bardzo wolno.* – zanotowali później w relacji. Wiedzieli jednak, że największe trudności będą na nich czekać już w dolnych partiach ściany, a ich sprawne przejście może przesądzić o powodzeniu całej wyprawy. Ewentualne problemy mogą zaś pogrzebać plany wejścia na wierzchołek. Dlatego bez wytchnienia, uparcie posuwali się ku górze.

Na pierwszą poważną przeszkodę taternicy natknęli się po kilku godzinach podejścia, gdy dotarli do miejsca, gdzie ścieżkę na wskroś przecina pionowa rynna, po której latem stromymi progami opada w dół rwący potok, wówczas przejście tego miejsca to kwestia zaledwie kilku sekund, zimą jednak mróz zamienił okazałe kaskady w wielki, zagradzający ścieżkę lodospad. Ukształtowanie terenu uniemożliwiało obejście go z innej strony, dlatego Korosadowicz ze Staszlem zdecydowali się na ryzykowny trawers. Niemal przyklejeni do zmarzniętej, wiszącej pionowo bryły, wolno, krok za krokiem, przez 2,5 godziny posuwali się w kierunku litej skały, aż wydostali się na wiodącą skośnie ku górze trzymetrową wąziutką półkę skalną. Przejście po niej okazało się jednak równie wymagające, co wcześniejszy fragment. - *Były to najtrudniejsze miejsca, jakie kiedykolwiek w zimie pokonaliśmy*. - przyznali w „Taterniku". Do łatwiejszego terenu znajdującego się ledwie 50 metrów od żłobiska potoku dotarli o 16:10, po 6 godzinach bardzo trudnej wspinaczki. Dopiero wtedy mogli spokojnie odetchnąć i spojrzeć na te kilkadziesiąt metrów lodu oraz skał, których pokonanie oznaczało nowy rekord w skali tatrzańskich trudności.

Północna ściana Jaworowego Szczytu fot. Tomasz Michalski

Rozemocjonowani sukcesem dalej parli do góry, póki o 19.00 nie zatrzymał ich zapadający zmierzch. Miejsce biwaku – piarżysta płasienka – było niestety za wąskie aby rozstawić tam namiot, dlatego nakryli się samą płachtą i wleźli pod śpiwory, które dawały im dodatkową ochronę przed wiatrem.

Następnego dnia od samego rana trzeba było maksymalnie się zmobilizować, aby „wydrzeć" ze ściany, jak najwięcej się da. Pod zachodnią połać urwiska taternicy przedostali się słynnym żlebem *Niemiecką Drabiną,* a następnie śmiało ruszyli w kierunku wierzchołka. Jednak po siedmiu godzinach wspinaczki drogę do wyższych partii zamknął im urwisty 20-metrowy skalny próg. Dodatkowo właśnie wtedy ostatecznie zepsuła się pogoda. Zanim taternicy wydostali się ponad wspomniany uskok, przez sto dwadzieścia minut musieli walczyć z pionową skałą wśród mgły, wiatru i niewielkich lawinek pyłowych. Później zresztą zakwestionowali wysokość tego spiętrzenia, twierdząc, że jest nieco wyższe niż sugerował to autor pierwszego przejścia drogi – „Jaszcz".

Mimo wciąż pogarszającej się aury, taternicy na biwak zdecydowali się dopiero półtorej godziny później. Prawdopodobnie przez cały ten czas mieli nadzieję, że ściana „puści" już tego dnia. Do grani, z miejsca gdzie rozbili swój namiot, brakowało bowiem zaledwie około 2 godzin drogi, zaś

Maly Kieżmarski fot. Jakub Radziejowski

zmierzch w kwietniowe dni przychodzi około 20. Mieli więc jeszcze chwilę zapasu. Ostatecznie jednak, zapewne mając na uwadze powrót w trudnych warunkach, dali za wygraną i postanowili odpocząć przed jutrem. - *Noc spędziliśmy bezsennie, przemoczeni do nitki, leżąc w schronieniu pełnem wody i śniegu, gdyż na dworze szalała potworna kurniawa, a namiot, jaki posiadaliśmy, był zupełnie nieszczelny*. Dodatkowym utrudnieniem był fakt, że przy takim wietrze nie dało się rozpalić maszynki spirytusowej i zagrzać ciepłej wody. Chwilami taternicy bali się nawet, żeby któryś z podmuchów nie strącił ich w przepaść! Pełni obaw wyczekiwali świtu, a gdy tylko zaczęło się rozwidniać o 5:15 rano, wyruszyli w dalszą drogę. Wichura nie zelżała jednak ani trochę, lecz zaciekle walczyła z nimi o każdy metr drogi.

W tej zaciętej bitwie z żywiołem górą tym razem okazał się człowiek. Pierwsze zimowe przejście północnej ściany Małego Kieżmarskiego Szczytu zakończyło się sukcesem 15 kwietnia o 7:40 rano. Korosadowicz i Staszel po wydostaniu się na grań zrezygnowali jednak z wejścia na sam wierzchołek, od którego dzieliło ich zaledwie 30 metrów. Przeszkodził im w tym huraganowy wiatr, który na otwartej przestrzeni był jeszcze mocniejszy niż podczas wspinaczki skalistymi urwiskami, stanowiącymi naturalną ochronę przed podmuchami. Dlatego też po całkowitym przejściu samego urwiska, zdecydowali się na pośpieszny powrót do schroniska. Nijak nie umniejsza to jednak osiągnięcia Korosadowicza i Staszla, którzy po pięknej, wymagającej walce zostali pierwszymi zimowymi zdobywcami największej tatrzańskiej ściany. Sukces był tym większy, że dzięki temu mogli na swoje konto zapisać zaledwie trzecie przejście jej w ogóle.

Podczas zejścia znów kłopoty sprawił im ten sam próg, na którym poprzedniego dnia stracili tak wiele czasu. Tym razem problem stanowiło założenie zjazdów. Ostatecznie jednak udało się go przebrnąć i o 14:30 po 7 godzinach schodzenia zmęczeni taternicy stanęli u podnóża ściany. Tak więc na swoim koncie zapisali także pierwsze zimowe zejście tą drogą.

Na dole Korosadowicz powiedział do swego partnera, że nieprędko znajdą w Tatrach równie wspaniałą drogę co na Małym Kieżmarskim. Jak na tatrzańskie warunki była to bowiem wyprawa o nieznanym dotąd rozmachu, zarówno jeśli chodzi o trudności jak i wielkość ściany. Kazimierz Saysse-Tobiczyk, historyk taternictwa, w książce pt. „Od Andów po Hindukusz" napisał o obu tegorocznych przejściach tego zespołu: *Pokonanie zimą tych wielkich ścian tatrzańskich, otwarło drogę do międzynarodowego współzawodnictwa.* Pierwsze zimowe wejście północną ścianą Małego Kieżmarskiego Szczytu zyskało zresztą jeszcze większy rozgłos niż osiągnięcie sprzed trzech miesięcy na Jaworowym Szczycie. Redakcja Taternika stwierdziła o nim: *Opinia zaś ogółu taternickiego skłonna jest przyznać, że pokonanie dolnych urwisk pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu (...) otwarło przed taternictwem zimowym nowe możliwości sportowe.* Krótko skwitował to, podsumowujący dla „Przeglądu Sportowego" cały zimowy sezon taternicki J.A. Szczepański: *Nowy rekord sportowy wpisał się do kronik taternictwa*.

Dwa pionierskie zimowe wyjścia na trudne, tatrzańskie ściany zdecydowanie uczyniły z Korosadowicza i Staszla główne gwiazdy pierwszej połowy sezonu taternickiego. Władysław Krygowski w „Wierchach" oceniał, że te przejścia stanowią: *wyczyny najwyższej klasy, najtrudniejsze z dokonanych dotąd w Tatrach i można widzieć w nich nową erę zimowego taternictwa, stanowiącego doskonałą zaprawę alpejską.* O sukcesie tym doniósł także i to trzykrotnie „Ilustrowany Kurier Codzienny", opisując dość obszernie kulisy przejścia ściany. Wzmianki zamieściły również inne dzienniki: „Kurier Lwowski", „ABC" oraz „Kurier Poranny". Polscy taternicy znaleźli też uznanie w oczach kieżmarskiego tygodnika „Karpathen-post", który pogratulował im znakomitego wyczynu, zaś majowy „Turistasag es Alpinizmus" z Wiednia donosił o obu wielkich przejściach tego zespołu podczas tamtej zimy. Ryszard W. Schramm fakt zainteresowania gazet codziennych dokonaniami Korosadowicza i Staszla uznał za *rzecz niezwykłą w tamtych czasach*. Można więc powiedzieć, że to ci dwaj wprowadzili taternictwo na salony prasy popularnej i rozsławili je wśród zwykłych czytelników.

J

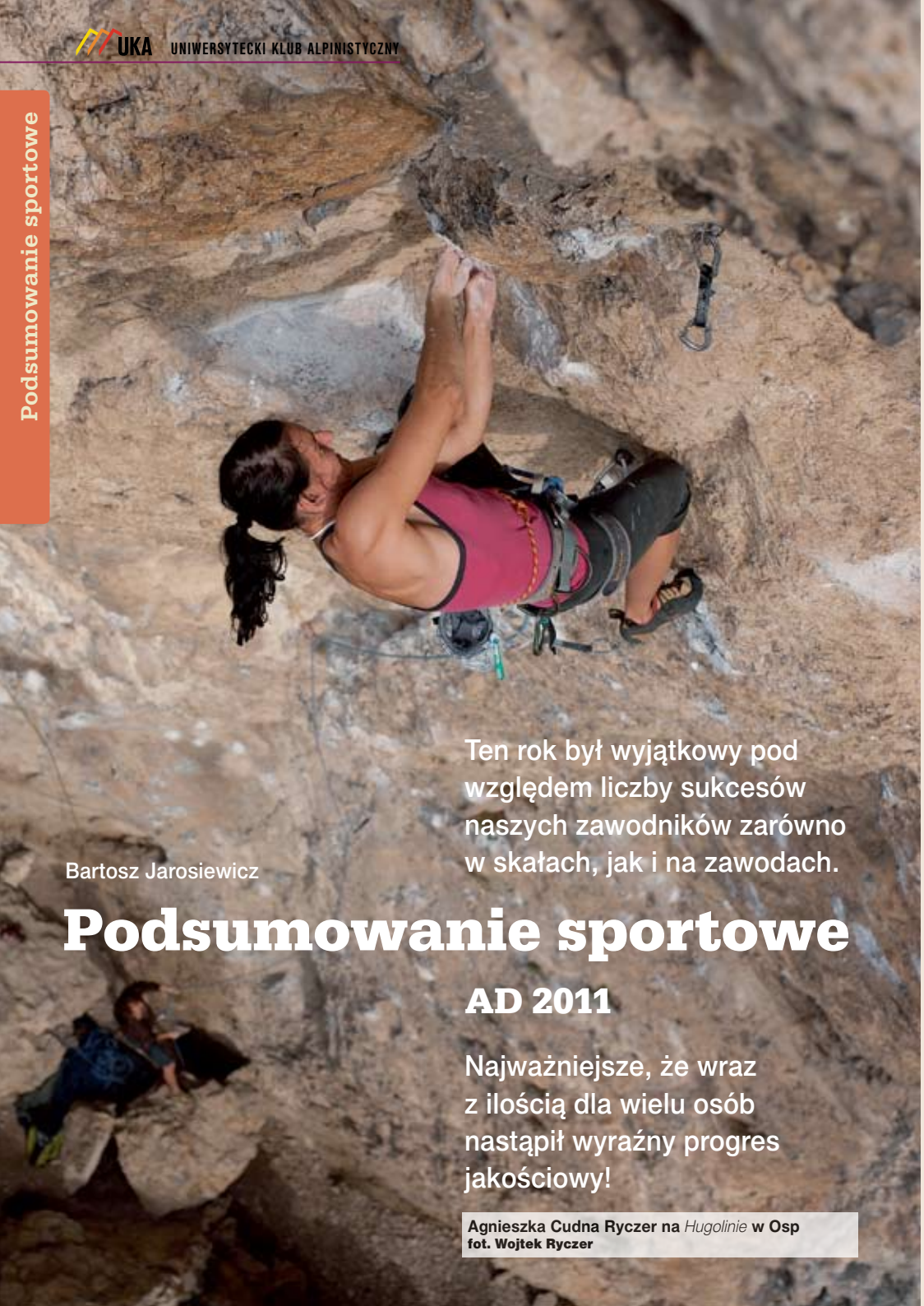

Ten rok był wyjątkowy pod względem liczby sukcesów naszych zawodników zarówno w skałach, jak i na zawodach.

Bartosz Jarosiewicz

Podsumowanie sportowe

AD 2011

Najważniejsze, że wraz z ilością dla wielu osób nastąpił wyraźny progres jakościowy!

Agnieszka Cudna Ryczer na *Hugolinie* w Osp
fot. Wojtek Ryczer

Podsumowanie sportowe

Nasi zawodnicy zapisali na konto klubu zwycięstwo w zawodach Pucharu Polski oraz zwycięstwo w całym cyklu Pucharu, także Mistrzostwo Polski młodzieżowców, wicemistrzostwo Seniorów oraz brązowy medal Mistrzostw Polski kobiet. Do tego padły pierwsza klubowa 8c, kobiece 8a+ i 7c+ OS oraz młodzieżowe 8b. I jeszcze kilka VI.6+, a także VI.5 flashem!

Tak dobrze jeszcze nie było. :-)

Świetny sezon zaliczył **Kuba Jodłowski**, który najpierw w wakacje poprowadził swoją pierwszą **8c** *Welcome to Tijuana* w Rodellarze. Na jesieni Jodłoś pięknie zawalczył na bulderach w Zakopanem, stając po raz pierwszy w swojej karierze na najwyższym podium zawodów pucharowych. Po małym potknięciu w Tarnowie, Jodła na mistrzostwach polski w Krakowie był czwarty i wygrał cały cykl Pucharu Polski w boulderingu. W tej chwili Kuba należy do polskiej czołówki!

Przełomowy sezon zaliczyła również **Nina Gmiter**. Podczas wakacji w Rodellarze, podniosła swój poziom RP do 8a+, kończąc aż dwie drogi w tym stopniu. To na pewno pierwsze klubowe i warszawskie przejście takich trudności. Po wakacjach Nina skoncentrowała się na przygotowaniu do Mistrzostw Polski w prowadzeniu, kończąc je z brązowym medalem. Te wyniki stawiają ją wśród najmocniejszych polskich zawodniczek!

Żelazną konsekwencją, a także szponem wykazał się w tym roku **Stefan Madej**. Ponad 20 wyjazdów na Jurę w sezonie, a każdy to zaliczone VI.5 i więcej. Zaczęło się jeszcze zimą od bulderowania w Sadku (kilka 7C i urwany troczek). Przyszła wiosna, a Stefan z kolejnymi wyjazdami przesuwał poprzeczkę, kończąc sezon z VI.6+ na koncie. Do tego zrobił 4 „sześćszóstki", VI.5 flashem i masę dróg powyżej tego stopnia w szybkim RP. Gdzieś w międzyczasie, w ramach odpoczynku od małych chwytów był wyjazd „na west" i dwie 8b.

Kuba Główka rozpoczął rok od rehabilitacji po kontuzji palca, na szczęście w trakcie sezonu nieźle się rozkręcił. Jesienny wypad do Fontainebleau, gdzie Kuba zrobił swoją pierwszą bulderową 8A. Później uczestniczył w Boulderowych Mistrzostwach Polski w Krakowie, gdzie do ostatniego bulderu walczył o „srebro" z Olkiem Romanowskim. Udało się i tym samym Kuba zaliczył swój najlepszy start w zawodach Pucharu Polski.

Rafał Pawiński poprzedni sezon zakończył kontuzją palca na *Mrtvalskim Plesie*. Na szczęście już w kwietniu wraca pod drogę i po krótkiej walce może cieszyć się swoim pierwszym 8b RP.

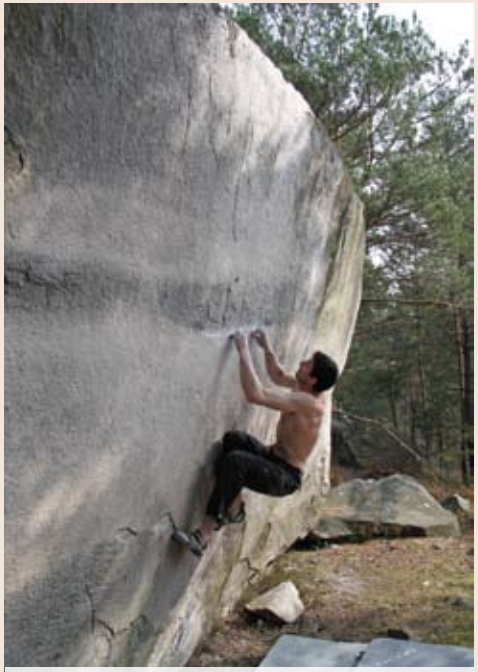

HaleBopp02, fot. Michał Marines Łodziński

Swój poziom do VI.5 podniosła **Agnieszka Cudna-Ryczer,** przechodząc *Ommadawna* na Jurze. Dobrym OS'em popisała się **Gosia Kusztelak** robiąc w Tarnie *Tennesee* 7c+.

Nie można nie wspomnieć o klubowej młodzieży: **Michał Wojewódzki, Filip Chrapowicki** czy **Jerzy Laskowski** mają po 13-14 lat, a na koncie przejścia do VI.5+. Do tego **Szymon Łodziński i Maciek Bukowski**, jeszcze nie seniorzy, a już porobili 8b i VI.5/6. To naprawdę dobrze rokuje na przyszłość.

Chyba trzeba będzie podnieść poprzeczkę w przyszłym roku, bo się rubryka rozrosła.

Nina Gmiter
OS
7b+ *Hugolina*, Osp
7b+ *Aquest any si*, Rodellar
7b+ *Pince sans Rire*, Rodellar
RP
8a+ *The Kings of Metal*, Rodellar
8a+ *Sierra de guarras*, Rodellar
8a *Corto*, Osp
8a *Samsara*, Osp
8a *Gracias fina*, Rodellar

Jakub Jodłowski na *Tijuana* **8c**
fot. Marta Skomorucha

8a *Lola*, Rodellar
8a *El corridor de La muerte*, Rodellar
7c+ *No limit*, Rodellar (3 próba)
7c+ *Tragaldabas*, Rodellar
7c+ *Preobrazba*, Osp
7c+ *Rock'n Roll*, Osp

Małgorzata Kusztelak
OS
7c+ *Tennessee*, Tarn
7c *Falso in bilianca*, Sycylia
7c *L'oasif*, Tarn
RP
7c+ *Auver gnique*, Tarn
Zawody
2. miejsce Boulderfest, Lublin

Marta Czajkowska
RP
7c+ *Manana*, Osp
7c *VR6*, Osp
7b+ *Runo*, Osp
VI.4/4+ *Sny o potędze*, Podzamcze
Zawody
5. miejsce Boulderfest, Lublin

Ania Thiele Wieczorek na *Niemytych Duszach*
fot Jakub Thiele Wieczorek

Agnieszka Cudna-Ryczer
OS
7a+ *Jaja City*, Geyikbayiri
7a+ *Downpour*, Geyikbayiri
7a *Le retour du printemps dans la praire*, Saint Leger
7a *Bartabas*, Geyikbayiri
7a *Big Blind*, Geyikbayiri
RP
VI.5 *Ommadown direct*, Podzamcze
VI.4+ *Niemyte dusze*, Podzamcze
7b+ *Hugolina*, Osp
7b+ *Pusht Bush*, Geyikbayiri
7b *Tortuga*, Osp
7b *Nina*, Osp

Eliza Kubarska
OS
7b bez nazwy, Grotta Weber, Sycylia
RP
7b+/c *Dracula*, Ceredo

Ania Thiele-Wieczorek
RP
VI.4+ *Niemyte dusze*, Podzamcze
VI.4 *Lekcja Tańca*, Podlesice

VI.4 *Kubanka*, Podlesice
VI.4 *Strzał w dziesiątkę*, Podlesice
VI.4 *Primadonna*, Dol. Będkowska
VI.4 *Krakowski Spleen*, Podzamcze
VI.3+/4 *Prostowanie Wariantów Klasycznych*, Podlesice
7a+/b *Reksi*, Osp

Ania Radziejowska
RP
VI.3 + *Telewizor*, Rzędkowice

Jakub Jodłowski
OS:
7c + *Maldita codicia*, Rodellar
7c *Ca va couiner*, Orpierre
7c *Egocentrismo*, Rodellar
7c *El pequeno bravo*, Rodellar
7c *El team fumeta*, Rodellar
7c *Maldita orgullo*, Rodellar
7c *El Lucho*, Rodellar
RP:
8c *Wellcome to Tijuana*, Rodellar
8b+ *Missink Link*, Osp
8b *Mrtvalski Ples*, Osp (2 próba)
8a+ *Hurlement*, Orpierre
Zawody:
1 miejsce w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski w boulderingu 2011
1 miejsce Puchar Polski w boulderingu, Zakopane
4 miejsce Mistrzostwa Polski w boulderingu, Kraków
5 miejsce Mistrzostwa Polski na czas, Tarnów
4 miejsce Puchar Polski na trudność, Warszawa
2 miejsce Trafo Boulder Szpil, Katowice
2 miejsce BoulderRes, Rzeszów

Stefan Madej
OS
7c *L'any que ve tambe*, Rodellar
7c *Arachnide*, Tarn
Flash
VI.5 *Drwal Anonim*, Jastrzębnik
RP
VI.6+ *Potęga Trójkątów*, Podzamcze
VI.6 *Chomeini*, Jaskinia Mamutowa
VI.6 *Dyskopatia*, Jastrzębnik
VI.6 *Wakacje Z Dupami*, Podlesice
VI.6 *Droga Między Dziupelkami*, Podzamcze
8b *Le Spectre De l'Ottokar*, Tarn
8b *Les Chacals*, Rodellar
VI.5+/6 *Aleja Zasłużonych*, Jastrzębnik
VI.5+/6 *Gloria Victis*, Okiennik Wielki
8a+ *Priez Pour Nous*, Tarn
8a+ *Familia Manson*, Rodellar

Małgorzata Kusztelak, *Auver gnique***, 7c+, Tarn,**
fot. Przemysław Kusztelak

Anna Radziejowska na *Telewizorze*
fot. J.Radziejowski.

Megawatt **fot jakub Główka**

Michał Kulpiński *3615 biceps*, **Tarn, fot. Jakub Borkowski**

VI.5+ *Udręka i Ekstaza*, Podzamcze
VI.5+ *Snowbird Hero*, Podzamcze
VI.5+ *Koniec Wyścigu*, Okiennik Wielki
8a *Les Nouvelles Plantations Du Christ*, Tarn
8a *Little Big Boss*, Tarn

Szymon Łodziński
RP
VI.6 *Czekając na Godoffa*, Mamutowa (3 próba)
10 *Master Blaster*, Frankenjura
VI.5+/6 ***Aleja Zasłużonych***, Jastrzębnik
10- *Elkrischer sturm in der holle*, Frankejura (3 próba)
OS
9/9+ *Fall Out*, Frankenjura
Zawody
1.miejsce Mistrzostwa Polski - Młodzieżowcy, bouldering Kraków
1. miejsce Mistrzostwa Polski — Młodzieżowcy, prowadzenie, Wrocław
1. miejsce Puchar Polski — Młodzieżowcy, prowadzenie, Bielsko Biała
1. miejsce Puchar Polski — Młodzieżowcy, prowadzenie, Warszawa
4. miejsce Puchar Polski — Mężczyźni, prowadzenie, Bielsko Biała
6. miejsce Puchar Polski — Mężczyźni, prowadzenie, Warszawa
8. miejsce Mistrzostwa Polski — Mężczyźni, bouldering, Kraków
2. miejsce Gorączka Sobotniej Mocy, Lublin

Jakub Główka
OS
7c ***Hobit***, Osp - Misja Pec
RP
8a ***Samsara***, Osp
8A ***Neverland***, Fontainebleau
7C ***Big Boss***, Fontainebleau
7C ***Fourmis Rouges***, Fontainebleau
Zawody
2 miejsce, Mistrzostwa Polski w Bulderingu, Kraków
6 miejsce, Puchar Polski w Bulderingu, Tarnów (wrzesień)

Rafał Pawiński
OS
7c *La Piton*, Rodellar
7c *Egocentrismo*, Rodellar
Flash
7c *Hobit*, Osp
RP
8b *Mrtvaski ples*, Osp
8a *Iglu*, Osp
8a *Giljotina*, Osp
8a *Gracias Fina*, Rodellar
8a *Pollastre de granja*, Margalef
8a *Chiquita*, Osp

Ola Jarosiewicz w Fontainbleau fot. Bartek Jarosiewicz

Jacek Wacławczyk
OS
7c *Ironman*, Rodellar
Flash
7c+ *Manana*, Osp
7b+*Runo*, Osp
RP
8a+ *Sonce v ocech*, Osp
8a *Iglu*, Osp
8a *Gracias Fina*, Rodellar
VI.5 *Kuchar z La Manchy*, Mirów

Bartosz Jarosiewicz
RP
8A *Saut de Puce*, Fontainebleau
7C+ *Hale Bopp*, Fontainebleau
7C *Eclipse*, Fontainebleau
7C *Big Boss*, Fontainebleau
7C *Fourmis Rouges*, Fontainebleau
7C *Megawatt*, Fontainebleau
7C *Salle Gosse*, Fontainebleau
7C *Phobos Moon*, Fontainebleau
Flash
7B+ *Funny Chippie*, Fontainebleau
7B *Une explosion de bonheur*, Fontainebleau
Zawody
6. miejsce Puchar Polski w Boulderingu, Tarnów (maj)
8. miejsce Puchar Polski w Boulderingu, Zakopane

Maciek Bukowski
RP
8a *Salto di qualità*, Sardynia
7c *Scaldaia*, Sardynia (3 próba)
VI.5+/6 *Aleja zasłużonych*, Jastrzębnik
VI.5+ *Kaprys Bogów*, Podlesice
VI.5+ *Idą Łysi*, Podlesice
VI.5+ *Dewastator Getta*, Rzędkowice
VI.5 *Obrany ze skórki*, Rzędkowice
VI.5 *Pała Kardynała*, Rzędkowice
VI.5 *Grek Korba*, Podlesice

Michał Wojewódzki
OS
VI.3+ *Obywatel Scurvy*, Dolina Będkowska
VI.3+ *Los Alcazares*, Rzędkowice
Flash
9- *Jump*, Frankenjura
RP
V.5+ *Pała Kardynała*, Rzędkowice
7c+/8a *Hurrikan*, Frankenjura
VI.5 *Będkowski Playboy*, Dolina Będkowska

Paweł Wiącek, *Auver gnique,* **7c+, Tarn,**
fot. Przemysław Kusztelak

Eclipse01 fot. Słowik

Krzysztof Banasik
OS
VI.3+/VI.4, *Landrynkowa Miłość*, Mirów
VI.3+ *Skowyt*, Podzamcze
VI.2 trad *Czarci Grajdołek*, Wykień
Flash
7b+/c *Speedy*, Menaggio
RP
7c *Mira che pelo*, Sasso Giallo
7c/c+ *Shadow*, Carate Urio
7b+ *Megahommu*, Finale Ligure
VI.2+/3 trad, *RysaPełna Połamanych Paznokci*, Tumlin

Romek Główka
Zawody
3. miejsce Gorączka Sobotniej Mocy, Lublin
4. miejsce BoulderFest, Lublin
7. miejsce Puchar Polski w Boulderingu, Zakopane

Michał Łodziński
RP
7B+ *Rubis sur l'Ongle*, Fontainebleau
7B *Marginal Droite*, Fontainebleau
7B *Frogy Dick*, Fontainebleau
Flash
7A *36.15*, Fontainebleau

Wojtek Ryczer
OS
7a+ *Zalia*, Geyikbayiri
7a+ *Ahtapot*, Geyikbayiri
RP
VI.5 *Ommadown direct*, Podzamcze
VI.4+ *Niemyte dusze*, Podzamcze
7b+ *Hugolina*, Osp
7b+ *Pusht Bush*, Geyikbayiri

Filip Chrapowicki
RP
VI.5 *Raz do Turcji się wybrałem wprost*, Podlesice
VI.4 *Mandolina ogiera*, Rzędkowice (2 próba)
VI.4 *Igły i szpilki*, Okiennik Wielki
Zawody
2. miejsce Puchar Polski UKS młodzików
Mistrzostwo Dolnego Śląska w kategorii młodzików, Strzegom

Paweł Wiącek
RP
7c+ *Auver gnique*, Tarn
VI.4+ *Pi-Ching*, Rzędkowice

Jakub Radziejowski
RP
VI.4+ *Rynna Biernackiego*, Olsztyn
kilka dróg do VI.4/4+

Michał Kulpiński
OS
7b *Supreme dimension*, Tarn
RP
7b+ *Halloween*, Tarn (2. próba)

Jerzy Laskowski
OS
VI.2+/3 *Prawy Meningitis*, Dol. Będkowska
RP
VI.4 *Prostowanie Henia*, Rzędkowice

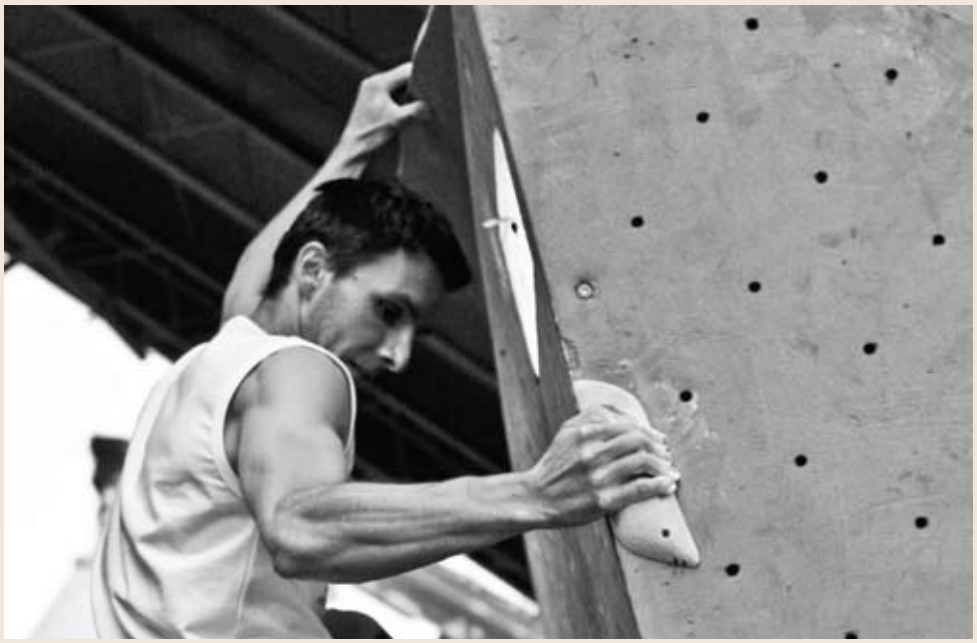

Tarnow: – Puchar Polski w Tarnowie fot Marta Lewandowska

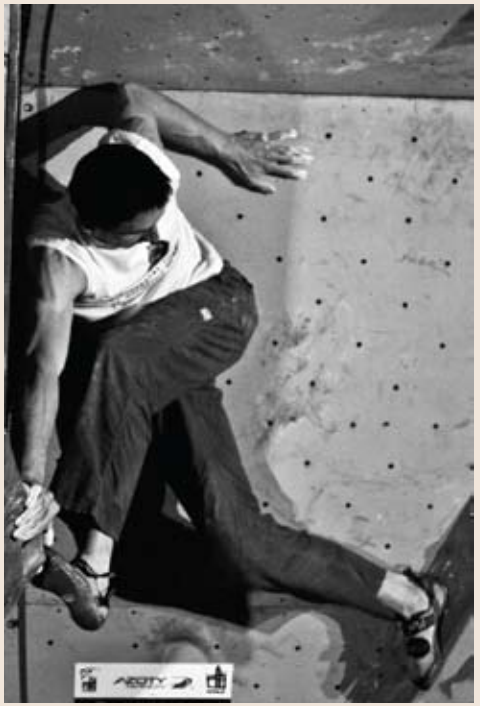

Agama AD 2011
to już 10 lat

Małgorzata Kusztelak

Agama ma już 10 lat! Nie chce się wierzyć jak to szybko minęło. Tylko po dzieciakach to widać!

O sukcesach zarówno tych najstarszych członków Agamy, jak i tych obecnych, można przeczytać w rubryce „Podsumowanie sportowe". Ich wyniki należą do najlepszych Polsce! Nagrodę główną UKA im. Łukasza Wajsa, i aż trzy z pięciu wyróżnień za wybitne wyniki sportowe w 2011 roku, otrzymali wychowankowie Agamy.

Dlatego w tegorocznym podsumowaniu chciałabym krótko przypomnieć historię sekcji oraz jej członków. Poniższe zdjęcia przedstawiają czołowych zawodników UKA dla przypomnienia, jak wyglądali kiedyś.

Sekcja powstała w listopadzie 2001r. Założyliśmy ją razem z Przemkiem Kusztelakiem. Wkrótce dołączył się do nas Przemek Klimek. Pierwsze zajęcia odbyły się jeszcze na Diamirze - prawdziwie kultowej ścianie. Od samego początku byli z nami Marines (Michał) i Szymon Łodzińscy. Właściwie sekcja powstała specjalnie dla nich. Marines zawsze był świetny, ale dużo za silny, żeby się wspinać technicznie. Szymek był wtedy małą, okrągłą kulką, ale kulką bardzo dynamiczną i wysportowaną.

Trochę później dołączyli do sekcji Kuba Jodłowski, Czajna (Paweł Brzozowski), Maciek Korzeniak, Jeżyk (Jerzy Amsterdamski), a zaraz potem Mateusz Szmajda, Emilka Szczepańczyk, Klon (Daniel Sławiński), Stefan Madej i Nina Gmiter.

Chociaż w przypadku każdego z nich kariera potoczyła się inaczej, wszyscy się wspinają! I to jak! Warto przypomnieć również ich sukcesy, gdy byli jeszcze juniorami. Jakub Jodłowski, Katarzyna Jurek, Janina Gmiter, Szymon Łodziński, byli lub są przedstawicielami kadry narodowej, wielokrotnymi Mistrzami Polski lub/i zwycięzcami Pucharów Polski. Jakub Jodłowski zdobył też tytuł Wicemistrza Europy Juniorów. W tym roku dołączył do kadry również Michał Wojewódzki.

Obecnie nasi najbardziej utytułowani zawodnicy to: Filip Chrapowicki, Michał Gałecki, Michał Wojewódzki, Olga Lewicka. Wielokrotnie wywalczyli dla naszej sekcji najwyższe miejsca na podium. Mają też osiągnięcia międzynarodowe. Michał Wojewódzki wygrał zawody *Spiderkids* we włoskim Daone, a Michał Gałecki zajął we Włoszech drugie miejsce.

Airefroide 2005

Szymek Łodziński wykonuje swoje pierwsze operacje sprzętowe, Rzędkowice 2003

Kuba Jodłowski, *Płonąca Żyrafa*, **VI.2+/VI.3, asekuruje Michał Łodziński, Rzędkowice 2003**

Maciek Korzeniak, Lechwor, Rzędkowice 2003

Jerzy Amsterdamski, *Skorek-Wach*, **Rzędkowice 2003**

Paweł Brzozowski, *Skorek-Wach*, **Rzędkowice 2003**

Stefan Madej, *Skorek-Wach*, **Rzędkowice 2003**

Kubę i Ninę od początku typowaliśmy na przyszłych Mistrzów Polski, nasze przypuszczenia spełniły się znacznie szybciej, niż przypuszczaliśmy. Również Czajna, Jeżyk, Emi, Marines i Stefan już w pierwszym sezonie stanęli na podium. Stefan po dwóch miesiącach treningu zajął trzecie miejsce w Pucharach Polski! Ze starej ekipy już dawno wszyscy, oprócz Szymona, są seniorami. Szymon jest jeszcze młodzieżowcem, ale i tak startuje w kategorii seniorów z ogromnymi sukcesami.

Kuba, Stefan, Marines i Kasia Jurek są instruktorami wspinaczki sportowej. Godzą pracę instruktora ze studiami i z treningami, wszyscy startują w zawodach.

Dla Czajny, Maćka i Mateusza zawsze najważniejsze były góry i to one stanowią dla nich motywację do treningu. Tak już zostało. Mateusz, oprócz tego, że jest trenerem dzieciaków z Agamy, jest obecnie w młodzieżowej grupie wysokogórskiej PZA, do której bardzo trudno się dostać.

Nina Gmiter, Emilka Szczepańczyk, Kuba Dominowski, Jeżyk Amsterdamski, Adam Skoczkowski i Aga Kęcka nadal trenują w Agamie, chociaż już dawno nie są juniorami. Nawet ci, którzy mieli długą przerwę we wspinaniu (w przypadku Jeżyka chyba 4-letnią!) szybko wracają do formy. Już po pierwszych kilku przechwytach zrobionych na ścianie widać, że wspinania się nie zapomina i, że mają je już we krwi. Na wiosnę powinni pokazać na co ich stać.

Pozostali członkowie Agamy: Rej (Marcin Tradowski), Daniel Kamiński, Jurek Gajewski, Marysia Rupińska i inni też się wspinają i często odwiedzają nas na treningach lub obozach.

Przez te 10 lat byliśmy na wielu obozach, zarówno w Polsce i za granicą. Każdy obóz był niesamowity i niepowtarzalny. Wszystkie miały jakiś „motyw przewodni" dzięki czemu każdy się pamięta.

Pierwszy obóz Agamy odbył w Olsztynie pod Częstochową w 2002 roku. Kuba Jodłowski, Czajna, Marines i Szymek pierwszy raz zobaczyli jak wygląda wspinanie w skałach i bardzo im się spodobało. Kuba powiedział mamie, że te 4 dni w skałach były lepsze niż miesiąc spędzony później w Hiszpanii i Portugalii.

Była nas piątka instruktorów – ja, Przemek Klimek, Przemek Kusztelak, Łukasz i Justyna Brzyscy. Każdy instruktor miał pod opieką trójkę dzieciaków. Tak się denerwowaliśmy, że nikt, oprócz nas, nie mógł, nie tylko

Fot.8: Nina Gmiter, Podlesice 2007

asekurować, ale nawet odejść na dwa kroki od swojego instruktora. Gdy asekurowałam inne dziecko zobaczyłam nagle, że Czajna wlazł na szczyt sąsiedniej skałki i beztrosko tam sobie siedzi. Myślałam, że umrę ze strachu!

Na drugim obozie (w Rzędkowicach) wymyśliliśmy super grę - piłkę nożną w uprzężach, którą najbardziej polubił Marines. Polega ona na tym, że gracze poruszają się po boisku spięci parami, łączącą ich pętlą przyczepioną do uprzęży. Gra zrobiła furorę i odtąd na każdym obozie rozgrywamy mistrzostwa.

Innym razem zrobiliśmy ślubowanie na „prawdziwego wspinacza". Dzieciaki biegły związane czwórkami przez las, ciemną nocą, w czasie burzy, po błocie, do kamieniołomów. Nie była to łatwa droga, bo Szymon, Nina, Mateusz, Piotrek Stępniak i trenerzy, przebrani za duchy, atakowali ich znienacka zza krzaków. My się bawiliśmy świetnie! Dla niektórych dzieciaków było trochę zbyt strasznie, ale wszystkim udało się przebiec (nie mieli wyjścia, bo byli związani).

Na kolejnym obozie zjeżdżaliśmy w czarną otchłań w poszukiwaniu skarbu. Rano okazało się, że studnia, na dnie której znajdował się skarb, nie jest wcale taka głęboka. Jednak gdy się nie widzi nic prócz ciemności, zjazd trwa wieczność i jest straszny!

Był obóz „pod hasłem deszcz", na którym wspinaliśmy się głównie po jaskiniach, bo skały były mokre. Niektórym spodobało się bardziej niż zwykłe wspinanie.

Fot.9: Mateusz Szmajda- najbardziej wszechstronny wspinacz Agamy.

Daniel Kamiński i Łukasz Rodak (Adlitz Graben 2004)

Obóz w Sokolikach kojarzy mi się ze slackiem i z wędkami rzucanymi na podejściówkach dla malutkich Oli i Magdy Lewickich, które nie miały szans sięgnąć do wyższej, poziomej szczeliny w granitowych płytach.

Rodzice najbardziej chyba zapamiętali obóz, na którym uczestniczyli w zawodach razem z dziećmi i okazali się jeszcze bardziej ambitnymi i walecznymi zawodnikami. Podzieleni na grupy biegali po mostach linowych, przełazili po siatce, skakali z drzewa, wciągali się na czubek sosny i wykonywali inne konkurencje grupowe wymagające wielkiej kreatywności i współpracy.

Oprócz obozów staramy się obchodzić „po wspinaczkowemu" wszystkie radośniejsze święta. Z okazji Mikołajek czy Dnia Dziecka zwykle robimy zabawowe zawody, w których liczą się najróżniejsze rzeczy, a wspinaczkowa forma ma drugorzędne znaczenie. Był konkurs skoków (a raczej wyskoków, bo nie liczył się najwyższy przytrzymany chwyt, tylko doskoczenie głową do zwisającego z sufitu balonu, z jak najniższych chwytów). Były również zawody w boulderingu z zawiązanymi oczami, ze związanymi nogami, czy nogami związanymi z rękoma.

Z okazji Halloween zorganizowaliśmy zawody, w których zawodnikami i sędziami były duchy. Najlepiej wypadli chyba Mikołaj - kościotrup, straszna Natasza Kuziemska, Dominika Owczarek i Ola Sułkowska, oraz Klara Kaczmarzyk J.

Zuzia Maciejczyk - najszybsza na drabince, Rzędkowice 2007

Fot.11: Zjazd na linie do jaskini, Podlesice 2008

Emilka Szczepańczyk na prawdziwie górskiej drodze, Airefroide 2006

Fajnie udały się zawody, w których od zdobytych punktów trzeba było odjąć wiek i staż wspinaczkowy. Nina, która za wspinanie uzyskała maksymalną punktację, dała się wyprzedzić Mopowi, który wspina się jeszcze dłużej, ale jest sporo młodszy.

Na wszystkie uroczystości zapraszamy również rodziców. Szczególnie rodzinna atmosfera panuje w czasie Wigilii, gdy poza zabawami wspinaczkowymi, pokazujemy filmy i zdjęcia sekcji, a dzieciaki przynoszą upieczone przez mamę lub własnoręcznie (najczęściej pierwszy raz w życiu J) ciasta. Zawsze przychodzi Mikołaj z wspinaczkowymi prezentami nie tylko dla grzecznych dzieci. Wielce pożądanym prezentem są rózgi - czyli baciki do pokazywania chwytów na boulderze. Mieliśmy wielu Mikołajów - Maćka Korzeniaka, Czajnę, ale nigdy nie zdemaskowano go tak szybko jak w tym roku. W ciągu 5 minut rozparcelowano worek Mikołaja – Buldera, wyciągając z niego, co fajniejsze prezenty!

W minionym roku sekcja znacznie się powiększyła. Przybyło trochę dzieci, ale też instruktorów. Grupę poniedziałkową podzieliliśmy na dwie - jedna część trenuje pod opieką Marysi Karpiłowskiej (nowej trenerki Agamy) w Lelewelu, a druga część na Warszawiance pod opieką moją i Mateusza Szmajdy. Przemek Kusztelak, co prawda nie może uczestniczyć w treningach, bo nie pozwala mu na to praca, ale odwiedza nas, gdy tylko może i jest oczywiście na każdym obozie.

W treningach i w czasie obozów pomagają nam najstarsi Agamowicze - Zuzia Maciejczyk, Michał Kulpiński i Justyn Sławiński oraz Paweł Hasicki „Bulder", który jak wiadomo - zna Jurę, jak własną kieszeń. Pomoc, którą nam służą sprawdza się naprawdę doskonale, o czym świadczą wyniki najmłodszych w zawodach i w skałach. „Bulder" zaraził dzieciaki boulderingiem, przez co część z nich w ogóle nie chce się wspinać po drogach. L

Na zajęciach z najmłodszymi dziećmi pomagają nam też rodzice, szczególnie Mama Justyna, która potrafi dodać odwagi i zachęcić do wspinania nawet najmniejsze maluszki.

O przejściach skalnych najlepszych zawodników Agamy, można przeczytać w rubryce „Podsumowanie sportowe", bo są to najlepsze wyniki nie tylko w sekcji juniorów, ale w całym UKA.

Wyniki w zawodach Pucharu Polski są w tym roku rewelacyjne. Szymek Łodziński, też wychowanek Agamy, nie ma w swojej grupie wiekowej konkurencji i walczy już w Pucharach Polski Seniorów o miejsca na podium. Michał Wojewódzki zajął w klasyfikacji generalnej Pucharu Polski 3 miejsce. Do reprezentantów Agamy w PP Juniorów dołączył Michał Kulpiński

zajmując świetne 5 miejsce. W klasyfikacji generalnej Pucharu Polski UKS Filip Chrapowicki był 2, a Ola Lewicka, pomimo pecha w kulminacyjnym momencie Pucharu Polski, wybitego palca, zajęła 3 miejsce. Do grona medalistów dołączyli w rewelacyjnym stylu Joasia Ciżkowicz, Bartek Winiarek, Mikołaj Jagielak i Piotrek Filipczyński.

Oto tegoroczne wyniki najlepszych zawodników sekcji w Pucharach Polski Juniorów i Pucharach Polski UKS:

Filip Chrapowicki
1: Puchar Polski UKS — Młodzicy, prowadzenie (Strzegom, 2011-06-04)
2: Puchar Polski UKS — Młodzicy, prowadzenie (Lublin, 2011-11-05)
2: Puchar Polski UKS — Młodzicy, prowadzenie (Jaworzno, 2011-04-30)
3: Puchar Polski UKS — Młodzicy, czas (Lublin, 2011-11-05)
Olga Lewicka
1: Puchar Polski UKS — Młodziczki, czas (Lublin, 2011-11-05)
2: Puchar Polski UKS — Młodziczki, prowadzenie (Strzegom, 2011-06-04)
3: Puchar Polski UKS — Młodziczki, czas (Bytom, 2011-03-05)
Maciej Bukowski
6: Puchar Polski Juniorów — Juniorzy, prowadzenie (Wrocław, 2011-12-17)
6: Mistrzostwa Polski Juniorów — Juniorzy, prowadzenie (Lublin, 2011-06-25)
Michał Kulpiński
5: Puchar Polski Juniorów — Juniorzy młodsi, prowadzenie (Wrocław, 2011-12-17)
Michał Wojewódzki
3: Puchar Polski Juniorów — Juniorzy młodsi, czas (Wrocław, 2011-12-17)
3: Mistrzostwa Polski Juniorów — Juniorzy młodsi, czas (Lublin, 2011-06-25)
Michał Gałecki
1: Puchar Polski UKS — Młodzicy, czas (Warszawa, 2011-10-08)
Joanna Ciżkowicz
1: Puchar Polski UKS — (Lublin, 2011-11-05)
2: Puchar Polski UKS — (Lublin, 2011-11-05)
3: Puchar Polski UKS — (Warszawa, 2011-10-08)
Piotr Filipczyński
3: Puchar Polski UKS — (Warszawa, 2011-10-08)
Bartek Winiarek
1: Puchar Polski UKS — (Warszawa, 2011-10-08)
Mikołaj Jagielak
3: Puchar Polski UKS — (Warszawa, 2011-10-08)

Pozostali zawodnicy Agamy również świetnie spisali się na zawodach Pucharu Polski. Co prawda nie zajęli jeszcze miejsc na podium, ale w przyszłym sezonie na pewno się to uda, bo trenują bardzo solidnie.

Nic nie motywuje do treningu tak, jak starty w zawodach. Bartek i Mikołaj stali się w tym roku prawdziwymi zawodnikami! Trenują tak dzielnie, że nie można ich oderwać od ściany! Nawet w BUWie nie uciekają już z treningu do kulek i na zjeżdżalnie do placu zabaw dla dzieci, jak to robili do tej pory! Ola i Magda Lewickie, Paulina Kaczyńska, Ola Iwaniuk i Asia Ciżkowicz dołączyły już do starszej grupy i doskonale sobie tam radzą.

UKA zorganizowało w tym roku Junior Boulder i Puchar Polski UKS „na czas". Junior Bulder odbywa się cyklicznie od 2008 roku. Dla wielu wspinaczy są to najważniejsze zawody w roku i starannie się do nich przygotowują. Junior Boulder III odbyło się na Arenie Wspinaczkowej „W górę" - na najlepszej ścianie w Warszawie. Wzięło w nim udział aż 108 młodych zawodników z całej Polski w wieku od 5 do 18 lat.

Przy organizacji zawodów pracowała cała czołówka dawnej Agamy, wielu członków UKA nie związanych z Agamą, a także kilku członków KW. Dzięki nim zawody wypadły świetnie. Najtrudniejszym zadaniem w organizacji Junior Bulder było ułożenie wystarczająco trudnych boulderów dla najstarszych - 18-letnich zawodników, którzy mają już wyniki na zawodach seniorskich. Na szczęście podjęli się tego najlepsi boulderowcy w Polsce z Kubą Jodłowskim na czele. Aż 13 zawodników UKA stanęło na podium: Bartek Winiarek, Mikołaj Jagielak, Michał Wojewódzki, Filip Chrapowicki, Ola Lewicka, Zuzia Maciejczyk, Michał Kulpiński, Maciek Bukowski, Justyn Sławiński, Klara Kaczmarzyk, Szymek Łodziński, a także Jerzy Laskowski i Mikołaj Wolanin z sekcji Marty Czajkowskiej – „Leniwce" (też z UKA).

W październiku w **Centrum Sportów Ekstremalnych Mart Jack** na warszawskim Żeraniu, zorganizowaliśmy edycję Pucharu **Uczniowskich Klubów Sportowych** w konkurencji „na czas". Dzieciaki wspinały się do 1/3 wysokości 35-metrowych silosów. 50 zawodników w wieku od 5 do 13 lat wystartowało w trzech kategoriach wiekowych, osobno chłopcy i dziewczynki. Przyjechała czołówka najlepszych młodych wspinaczy z całej Polski. Zawody odbyły się na świeżym powietrzu, a nie jak zazwyczaj na sali gimnastycznej. Dodatkowe atrakcje takie jak wielka trampolina, przejażdżka drezyną, ognisko, rajd starych samochodów, piłkarzyki, niesamowita boulderownia i wielki teren do zabawy wśród kilkunastu ogromnych silosów sprawiły, że zawody wypadły nadzwyczajnie. Przy ich organizacji pracowała cała starsza część sekcji i wszyscy trenerzy. Drogi układali Kuba Jodłowski i Michał Wojewódzki. Wystartowali prawie wszyscy młodsi członkowie Agamy, nawet ci, którzy wspinali się zaledwie od miesiąca. Wyniki były zaskakujące! Agama wywalczyła 3 złote i 3 brązowe medale!

Zarówno na zawodach Juniorboulder jak i w Pucharach Polski UKS, dzięki hojnym sponsorom, wręczono wspaniałe nagrody dla wszystkich uczestników. Nikt nie wyszedł z zawodów z pustymi rękami. ProRockClimbing, Alp Extreme, sklep Climb Rock, Mamut, Centrum Sportów Ekstremalnych Mart Jack, sklep Multan Extreme, Red Point, Osrma, T-Wall, serwis wspinaczkowy Wspinanie oraz nasz klub UKA ufundowali nagrody nie tylko dla finalistów, ale dla wszystkich zawodników.

Oczywiście, moim zdaniem wyniki w zawodach i w skałach nie są najważniejsze. Próbowałam zmobilizować Olę Lewicką do treningu, gdy po przerwie spowodowanej kontuzją wracała do wspinania. Chciałam ją pocieszyć, że gdy się przyłoży, z pewnością znów będzie najlepsza w Polsce. Powiedziała wtedy coś o czym będę na zawsze pamiętać:

„Nie chcę wcale być najlepsza. Po prostu chcę się wspinać.".

Przez chwilę poczułam, że coś jest nie tak, bo mi bardziej zależy na wyniku, niż samej Oli. Jako trenerka czołowej zawodniczki w Polsce powinnam się zmartwić jej podejściem do sportu. Już kilka lat wcześniej usłyszałam podobne słowa od Emilki Szczepańczyk, która na swoich pierwszych ważniejszych zawodach, bez problemu dostała się do finału Pucharów Polski w Lublinie i oznajmiła mi, że wraca do domu, bo nie chce startować w finałach.

Na pewno podejście dzieciaków i trenerów z Agamy nie jest ono do końca sportowe, ale przecież wspinaczka nie jest do końca sportem. To znacznie więcej niż sport, niż sukcesy na zawodach i w skałach. Najważniejsze jest to, żeby kochać wspinanie bez względu na to czy jest się świetnym zawodnikiem i czy ma się znakomitą formę, czy też nie.

Tak naprawdę, to udało mi się zrealizować główny cel, jaki stawiam sobie jako trener. Ola, Emi i wszyscy inni, którzy pobyli w sekcji trochę dłużej, już zawsze będą się wspinać. Jak powiedział „Bulier" (Paweł Haciski): „We wspinaniu najważniejsi są ludzie, z którymi się wspinasz". Dlatego w naszej sekcji panuje wspaniała atmosfera. Atmosfera, którą tworzą wszyscy ludzie związani bezpośrednio, lub pośrednio z Agamą – dawni i obecni członkowie, trenerzy, rodzice, nasi sponsorzy ProRockClimbing i Arena Wspinaczkowa „W górę", którzy służy nam zawsze pomocą, oraz wiele innych osób wspierających nasze przedsięwzięcia.

Bardzo Wam wszystkim dziękuję za pomoc i słowa wsparcia !!!

Jerzy Amsterdamski skacze z balda na bald w Airefroide 2005

Juniorboulder III, Arena Wspinaczkowa „W górę"

Filip Chrapowicki, PP UKS Warszawa 2011

Ola Lewicka, Juniorboulder III w Arenie Wspinaczkowej „W górę"

Góry Świata

w rękach UKA AD 2011

Krzysztof Banasik

UKA stoi dalej na przyzwoitym poziomie, mimo mniejszej aktywności niż w zeszłym roku. Efekty wyjazdów – jak zawsze – widoczne są w naszym zestawieniu, ale oprócz samych faktów, warto dodać uzupełnienie w postaci opisu słownego.

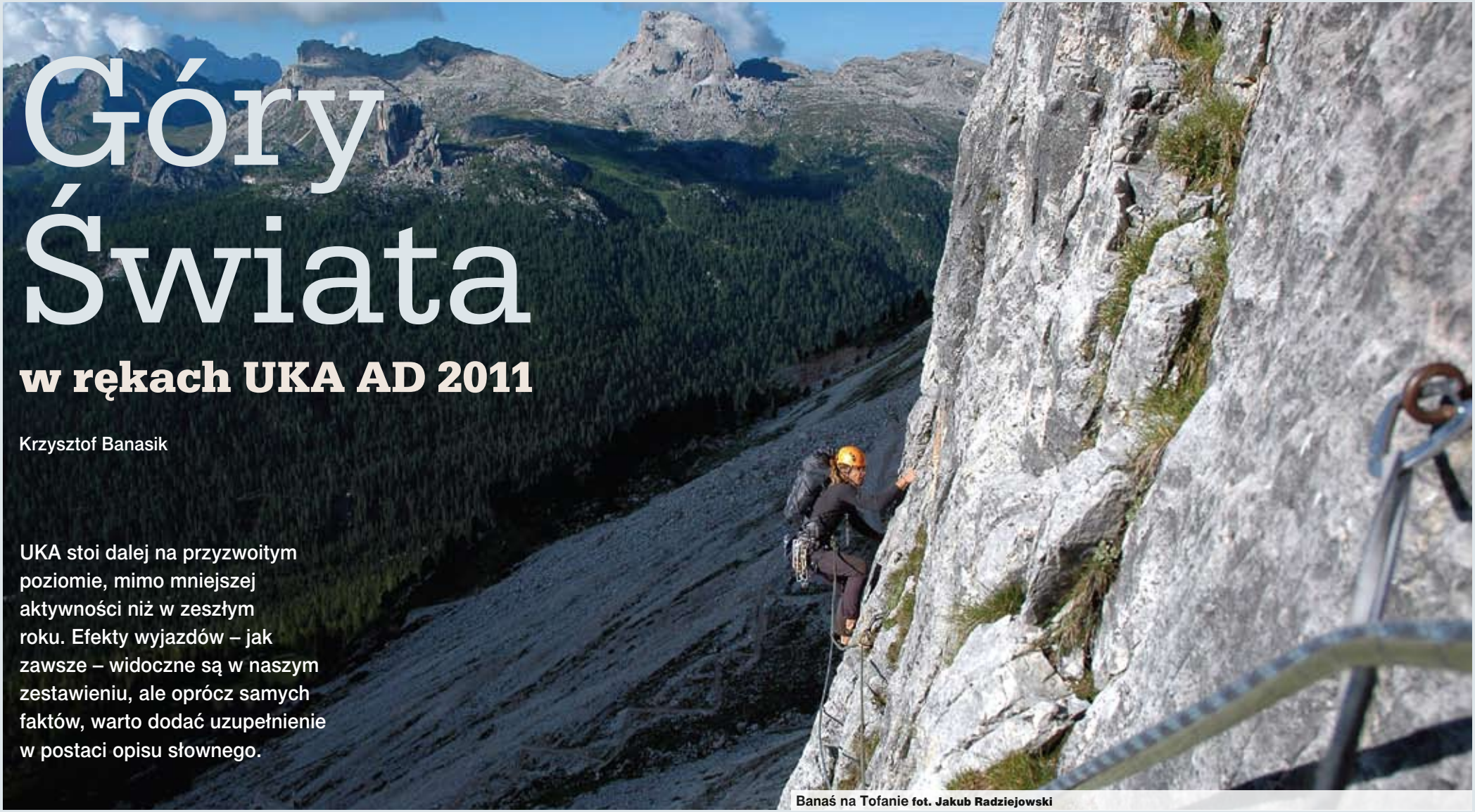

Banaś na Tofanie fot. Jakub Radziejowski

Pierwsze miejsce w tym roku wśród obieżyświatów powinni otrzymać Biszon z Buśką, którzy już prawie rok temu wyjechali swoimi domo-autem w podróż po Europie i od tej pory krążą od miejsca do miejsca. Na ich trasie pojawiły się również Alpy z Chamonix, gdzie przeszli oni wraz z Michałem Dziedzicem kilka klasyków. Po wyjeździe Michała, Biszon czując niedosyt dużych gór postanowił, w zespole z Alkiem Barszczewskim, zmierzyć się z ultra klasykiem znajdującym się na Mont Blanc czyli Filarem Freney! Wszystko poszło po myśli chłopców, którzy wspinaczkę zakończyli na szczycie.

Również David z Elizą mieli chwilę czasu na egzotyczną wycieczkę do dobrze znanej im Malezji, a dokładniej po raz kolejny na wyspę Tioman, gdzie standardowo pozostawili za sobą ślad w postaci nowej drogi. Później inne sprawy pochłonęły ich życie, ale w tak zwanym międzyczasie udało im się uskutecznić szybki wyjazd w Dolomity.W Dolomitach tłoku nie było, ale także kilku innych klubowiczów można było tam spotkać. Jeżeli chodzi o Alpy, to pogoda na początku sezonu letniego była wyjątkowo niesprzyjająca, kto mógł ten uciekał do jedynej ostoi pewnych warunków, którą okazało się Val di Mello, czyli miejsce, gdzie odbył się obóz klubowy. Prawdopodobnie miejsc takich mogło być więcej, co można wywnioskować z wykazu przesłanego przez Kajmana, który oblegał ściany w okolicach Ailefroide. Może warto zastanowić się, czy nie jest to odpowiednia baza dla kolejnego obozu UKA?

Wszystkich wyjeżdżających w góry świata serdecznie zachęcam do dzielenia się informacjami z kolejnego sezonu i życzę powodzenia.

ZIMA

FRANCJA, REJON MONT BLANC
Rafał Burczyński, Krzysiek Banasik
Madness Tres Mince (III 5, 500m OS), PRE DE BAR
Frendo-Ravanel (II 5 RP), AIG. CAREE

WŁOCHY, VAL FEBBRARO
Rafał Burczyński, Krzysiek Banasik
Salto del Nido (lód 5, 200m OS)

AUSTRIA, BAD GASTEIN
Michał Dziedzic, Rafał Burczyński
Excalibur (240m, WI4+ OS)
Waldek Żyliński, Wojtek Ryczer
Marchenprinz (180m, WI3+ OS)
Waldek Żyliński, Przemek Jakubczyk
Federweissfall (180m, WI4 OS)
Rechter Doppelluscher (80m, WI4 OS)
Eiskanal (160m, WI3+ OS)

LATO

NEPAL, KHUMBU
Miroslaw Milewski
Ama Dablam, Granią SE, zaporęczowane odcinki do V, wejście z wyprawą komercyjną

MALEZJA, WYSPA TIOMAN
Eliza Kubarska, Dawid Kaszlikowski
Nowa droga
Polish Princess (270m, 7b+ RP), Dragon Horns

KAUKAZ
Rafał Nawrot, Paweł Juszczyszyn
Droga Rjabuhina (płn. ściana) (4A) URAL WSCHODNI 4200 m.
Droga Naumowa (płn.-zach. ścianą i granią) (3B) DUMAŁA 4681 m.

FRANCJA, REJON MONT BLANC
Rafał Burczyński, Alek Barszczewski (KWW)
Pilier central du Freney (7a, A0/AF, 500m) MONT BLANC
Michał Dziedzic, Buśka Burczyńska, Rafał Burczyński
Le pont des soupirs + Homologue exceptionnel (6b+, OS), TOUR VERTE
Subtilites dulferiennes (6a+, OS), AIGUILLE DE ROC
Amazonia (6a, OS), 1ERE POINTE DES NANTILLONS
L'Eau Rance d'Arabie (6b, 1xA0), RED PILLAR OF BLAITIERE
Voucher-Contamine (6a, OS), AIGUILLE DU PEIGNE
Michał Dziedzic, Buśka Burczyńska
Pasang, de retour de l'Everest + Homologue...+ Le pont... (6b, OS/RP), TOUR VERTE – bez Rafała
Michał Dziedzic, Rafał Burczyński
Pilier Gervasutti (5c/6a, OS, 800m), MONT BLANC DU TACUL

Biszon zimą w Alpach **fot. Krzysiek banasik**

Maciek Ciesielski, Adam Pustelnik
Super Dupont (7b, 250 m, OS), AIGUILLE DU MIDI
Coup de foudre + Total plook (7a, 260m, OS), POINTE ADOLPHE REY
Maciek Ciesielski, Marcin Rutkowski
Police de glaciers (7a, 250m, 1xAF), POINTE ADOLPHE REY
Maciek Ciesielski, Jakub Radziejowski
Ginat (5, lód 80°, 1000m, 12h OS), LES DROITES, 30 XI 2011

FRANCJA, BRIANCONNAIS
Robert Nejman, Piotr Wolski
Eperon Renaud (6b, AF), TENNAILES DE MONTBRISON

FRANCJA, MASSIF DES ECRINS
Robert Nejman, Piotr Wolski
Caramba! Mais c'est du vi (6a+, OS), OKOLICE AILEFROIDE
Big Tower ... (6a, OS), PIC SANS NOM
Snoopy directe (6b, OS), OKOLICE AILEFROIDE
Derborance (6c+, AF), OKOLICE AILEFROIDE
La haut si j'y suis (6b+, OS), OKOLICE AILEFROIDE
Marche au supplice (6c, OS), OKOLICE AILEFROIDE
Ne Tirez pas sur l'ouvreur (6c, RP), OKOLICE AILEFROIDE
Coup de Bambou (7a, RP), AIGUILLE DIBONA

Maciek Ciesielski na Ginacie na Les Droites
fot. Jakub Radziejowski

Banaś na Otzi Trfts Yeti na Cimie piccola
fot. Jakub Radziejowski.tif

WŁOCHY, DOLOMITY
Krzysiek Banasik, Jakub Radziejowski
Constanini-Appolonio (VII+, 500m, OS), TOFANA DI ROZES - PILASTRO
Otzi Trifft Yeti (VIII+, 340m, RP), CIMA PICCOLA DI LAVAREDO
David Kaszlikowski, Eliza Kubarska
Hasse-Brandler (7a+, 550m, OS), CIMA GRANDE DI LAVAREDO
Waldek Żyliński, Kasia Domosławska
M.Speciale (VI-, OS), PICCOLO LAGAZUOI
Waldek Żyliński, Jarek Kardasz
Schubert (route of friendship) (VI, OS), PIZ CIAVAZES

WŁOCHY, VAL DI MELLO
Krzysiek Banasik, Jakub Radziejowski
In obliquo a destra (6c+, 340m, 2xAF), SCOGLIO DELLE METAMORFOSI
Krzysiek Banasik, Marcin Suchar
Oceano Irrazionale (6b, 480m, OS), PRECIPIZIO DEGLI ASTEROIDI
Krzysiek Banasik, Marta Grzech
Il Risveglio di Kundalini (VII-,RP), DIMORE DEGLI DEI
Krzysiek Banasik, Paolo z Lecco
Piedi di piombo (6c, 300m, AF), PRECIPIZIO DEGLI ASTEROIDI

Maciek Kowalczyk, Tomek Osypiński
Luna Nascente (6b,350m, OS), SCOGLIO DELLE METAMORFOSI
Oceano Irrazionale + Piedi di piombo (6c, 2xRK), PRECIPIZIO DEGLI ASTEROIDI
Busia Burczyńska, Rafał Burczyński, Jakub Radziejowski
Oceano Irrazionale (6b, 480m, OS), PRECIPIZIO DEGLI ASTEROIDI
Agata Sosnowska, Aga Tyszkiewicz
Il Risveglio di Kundalini (VII-,RP), DIMORE DEGLI DEI
Via Stomaco Peloso + Alba del Nirvana (V+, OS), TRAPEZIO D'ARGENTO
Cunicolo Acuto (V+,OS), SARCOFAGO
Marek Kaliciński, Arek Koszek
Il Risveglio di Kundalini (VII-,RP), DIMORE DEGLI DEI
Luna Nascente (6b, 350m, OS), SCOGLIO DELLE METAMORFOSI

WŁOCHY-SZWAJCARIA, MONTE ROSA
Sławomir Janiak, Lidia Janiak
NW-flank (normal route) (F), PIRAMIDE VINCENT
Normal route (PD), BALMHORN
Sławomir Janiak
North-East ridge (PD-), PARROT SPITZE
North-West flank (Normal route) (PD), CORO NERO
South-West flank (F), LUDWIGSHÖHE

Jakub Radziejowski na Oceano Irrazionale **fot. Busia Burczyńska**

Biszony na Oceano irrazionale
fot. Jakub Radziejowski

Banaś na kluczowym wyciągu *Otzi trifts Yeti* na Cimie Piccola **fot. Jakub Radziejowski**

NIEMCY, BAYERISCHE VORALPEN
Maciek Kowalczyk, Fred Leroy
E.B. (VIII+, AF), BUCHSTEIN

WŁOCHY, SARDYNIA
Ewa i Łukasz Heldt
L'Alchimista (6c+ 210m, OS), BIDDIRISCOTTAI
La Mia Africa (6c+ 220m, OS), MONTE ODDEU

SZWAJCARIA, RAETTIKON
Ewa i Łukasz Heldt
Haldejohli (VII, RP, 370m), KIRCHLISPITZE
Pardutzerweg (VIII-, OS, 450m), KIRCHLISPITZE
Galadriel (VIII-, AF, 400m) , KIRCHLISPITZE

SZWAJCARIA, BREGALIA
Cassin (VI, OS, 900m), PIZ BADILE
Przejścia dokonał zespół, w składzie którego był pewien anonimowy członek naszego klubu, specjalizujący się w niewiarygodnych przygodach, a który, zgodnie z najnowszymi trendami oraz obowiązującą w pewnych kręgach modą, pragnie pozostać w pełni anonimowy.

Kajman na drodze Big Tower is Watching You na Pic Sans Nom **fot. Piotr Wolski**

„Враца дето гарга не каца”

Krzysztof Kaczmarek

Złośliwi powiadają: „Na Wracy nawet kruki nie siadają”, a miejscowi bronią się i wyjaśniają, że nie siadają, ponieważ jest ona gniazdem orłów. Przyjeżdżając tu, ciągle słyszałem to przysłowie, ale do dziś tak naprawdę nie wiem, o co chodzi z tymi krukami. Czy to dlatego, że ciągle tu pada czy przez dawną sławę Wracy jako strasznego zadupia, w którym nie warto się nawet zatrzymywać. Dziś jednak miasteczko jest bardzo ładne.

Centralny plac Wracy z pomnikiem Hristo Boteva fot. K. Kaczmarek

Nie potrafię obiektywnie ocenić tego rejonu, gdyż to właśnie tam rozpoczęła się moja przygoda ze wspinaniem. Po raz pierwszy prowadziłem drogę, spędzałem każdy wolny weekend i co roku przyjeżdżałem na majówkę, aby podczas święta Gergiowden przy białym winie i pieczonej jagnięcinie spotykać się ze wspinaczami z całej Bułgarii. Na Wracy też dwa razy otarłem się o śmierć..., ale po prostu kocham to miejsce.

Będąc pierwszy raz w polskich skałach, stojąc na patelni u stóp Okiennika Rzędkowickiego, zapytałem partnera – a gdzie tu są skały...?

* * *

Wracа znajduje się 116 km na północ od Sofii, u podnóża gór Stara Płanina, 370 m n.p.m. Nazwa miasta pochodzi od malowniczego przełomu (Wratcata) rzeki Lewa. W centrum stoi pomnik słynnego bułgarskiego wieszcza, poety i przywódcy powstania – Hristo Botewa, który w 1876 roku zginął od tureckiej kuli na pobliskim szczycie Kamarata.

Już 6000 lat p.n.e. tereny te były już zamieszkane (głównie przez ludność trudniącą się rolnictwem i hodowlą bydła). Zadziwia jednak jeszcze bardziej fakt, że niedaleko, we wsi Rogozen został znaleziony jeden z największych skarbów, jakie kiedykolwiek odnaleziono na bułgarskiej ziemi. Składa się on ze 165 złotych i srebrnych naczyń, zdobionych scenami z mitologii i historii Tracji oraz wyrytymi imionami tamtejszych władców. Wszystko razem waży 20 kg i pochodzi z V wieku p.n.e.

Na Wracę dojechać możemy z Polski autem, ale tej opcjinie polecam. Dwudziestogodzinna jazda jest dość męcząca, a samochód na miejscu jest nam zbędny. Najlepiej odpowiednio wcześniej zaopatrzyć się w bilety lotnicze do Sofii (ok. 400 zł). Po przylocie z sofijskiego lotniska dotrzeć trzeba na centralny dworzec kolejowo – autobusowy, skąd pociągiem lub autobusem (lepiej i szybciej) udajemy się na Wracę. Tam łapiemy taksówkę lub robimy sobie 30 min. spacerek w skały. Orientujemy się drogowskazami na jaskinię Ledenica lub wieś Zgorigrad.

Za darmo możemy spać w namiotach przy samych skałach. Bieżącą wodę czerpiemy ze źródła na końcu ścieżki, około 400m od przełomu Wracata w kierunku Zgorigradu. Niestety namiotu i bagażu nie możemy zostawić bez opieki. Zdarzyło mi się już kiedyś wracać do Sofii obwieszonemu szpejem, w butach wspinaczkowych i uprzęży. Najlepszym rozwiązaniem jest spanie w prywatnych kwaterach w Zgorigradzie ew. w Domu Alpinisty. Osobiście polecam pensjonat prowadzony przez panią Kristinę. Dobrze jest odpowiednio wcześniej zadzwonić i zarezerwować sobie miejsce.

Widok na skały z „Domu Alpinisty” fot. K. Kaczmarek

Przewodników wspinaczkowych w zasadzie brak. Ja posiadam tylko jeden i to mocno leciwy, bo z 1980 roku. Aktualny jest na stronie **http://climbingguidebg.com**

Niestety internetowy przewodnik miejscami nie jest zbyt dokładny. Trzeba się dobrze przypatrzeć, aby znaleźć właściwą drogę. Parę lat temu, z Arkiem Koszkiem chcieliśmy rozruszać się na czymś łatwym i dlatego wybraliśmy czterowyciągową 5c. Owszem, rozgrzaliśmy się, ale jak na 5 była dość trudnawa. Dopiero po paru latach widząc wycofujący się z tej drogi bułgarski zespół, spytałem ich o jej wycenę. Ku mojemu zdziwieniu usłyszałem, że to mocne 6b. Nasza rozgrzewkowa droga też tam była, ale 15 m w lewo, co nie do końca wynikało z internetowego schematu.

Pierwsze wspinaczki datowane są w tym rejonie na rok 1949 i do dziś powstało tu ponad 400 dróg.

Wśród wspinaczy krąży anegdota, że na Wracy jeżeli nie pada to jest za ciepło. Jest w tym sporo prawdy. Najlepszym czasem na wspin jest wiosna – od początku kwietnia (zimno) do końca czerwca (niestety początek maja bywa deszczowy) i jesienią do połowy października (potem znów deszczowo), choć wspinałem się tu nawet w ciepłe grudniowe dni. Skały mają różną wystawę, więc latem przy 40 stopniowym upale, też coś sobie znajdziemy, ale na pewno nie powinna to być południowa *Centralna Ściana* (450 m). Jeżeli opady długo się utrzymują lub jest już gorąc nie do wytrzymania, to zawsze możemy udać się w rejon sportowy *Karierata*.

Skała przypomina wapień Paklenicy, lecz jest mniej ostry i niestety dość mocno zarośnięty drzewami, krzakami i trawami. Z reguły roślinność jest tutaj przeszkodą, ale w niektórych przypadkach może posłużyć jako dodatkowa asekuracja. Wyjątek stanowią oczyszczone drogi jednowyciągowe oraz masyw *Hergiani.*

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Jest parę sektorów sportowych: *„Małka dupka”* – 50 dróg (6a+ do 8b+), *„Goliama Dupka”* – 20 dróg (6a+ do 8c), *„Sini Stegi”* – 38 dróg (6a+ do 8b+). Wszystkie

Pokój i willa u pani Kristiny we wsi Zgorigrad fot. K. Kaczmarek

Adres: с. Згориград, общ. Враца; ул. “Георги Димитров” 3; тел. 09186/238, 0886/453-171

Wracata pocztówka z 1954 roku (tegoroczny projekt highline)

z przewagą dróg 7b+ w przewieszeniu. *„Prochodna Wraca”* – około 44 dróg sportowych (6a do 7b), z przewagą łatwych, 6a do 6c.

Jadąc z Polski, sportowe drogi robiłem tylko dla rozgrzewki lub w czasie załamania pogody. Przecież mając przed oczyma takie ściany, nie będę się wygłupiał na 20 m popierdółkach. Wolę czuć wiatr we włosach na 10 wyciągu szóstkowej drogi, niż zaliczyć zrobienie 15 m „ekstremy” 7b+, na której młodsi koledzy z klubu ledwie, by się rozgrzali..., ale widocznie z wiekiem tak już jest. :

Istnieje mnóstwo dróg wielowyciągowych, obitych parę lat temu ringami, na które wystarczy zabrać 12 ekspresów (chyba, że w opisie są jakieś dodatkowe uwagi). I tak swego czasu wybraliśmy się z Koszkiem na drogę *„Viater v kosite”*, 6a+. Nagle między ringami

Z Arkiem po skończeniu drogi *Ivan Vazov* fot. K. Kaczmarek

Podczas samotnej wspinaczki w ulubionym masywie Bezengi, po prawej płyta z drogi *Viater v kosite* fot. Elena Kaczmarek

powstała 15 m przerwa. Miejsce zrobiło się koszmarne, z możliwością gleby w półkę stanowiskową. Arki jedynie mógł podziwiać małe pionowe ryski i wsadzać w nie nasze wirtualne friendy. Na szczęście bez większych problemów poradził sobie z wyciągiem. Później już w opisie doczytałem – zabrać kości lub friendy.

Według mnie najfajniejsze obite sektory to *Bezengi*, *Urvicz* i *Ivan Vazov*. Możemy się tam udać w czasie niepewnej pogody, z początkującym partnerem lub w celu bezstresowego wspinania się dla przyjemności. W razie załamania pogody w każdym momencie możemy zjechać. Sektory te są popularne, tak więc mają w miarę czystą, litą skałę. Oczywiście kaski są obowiązkowe.

Na całą resztę dróg wartko zabrać kości, friendy i dodatkowe pętle. Mamy ogromny wybór: od 100 m do 430 m. Na *Centralnej ścianie* najpopularniejszą drogą, którą można też zjechać (od niedawna na

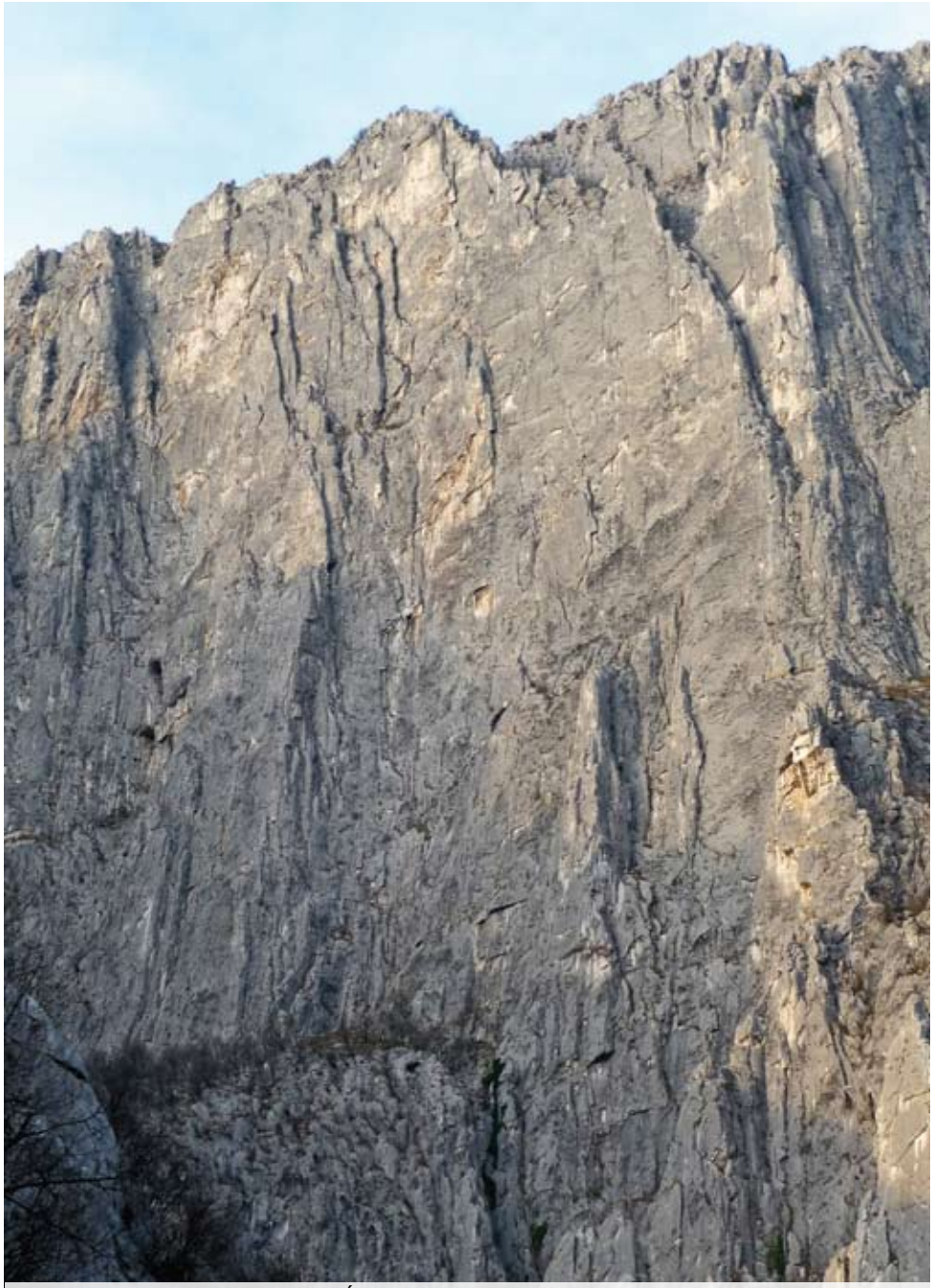

Widok na środkową część Centralnej Ściany, biegną tu klasyki *Orlovec, Vinkelite, II Kongres BTS, Ogledalata* fot. K. Kaczmarek

stanach są ringi; na drogi wielowyciągowe ze względu na zjazdy polecam zabierać zawsze podwójną linę) to *„II Kongres na BTS”* 370 m; 6b+. Równie popularne to *„Orlovec”* 7a- (6+A1) – 430m, *„Ogledałata”* 6a – 400m, *„Bulgaria 1300”* 6a – 400m, *„Vinkelite”* 5c – 380 m i cała masa innych, o które warto wypytać się lokalsów. Najlepiej miejscowego guru Georgia Georgieva (starszego gościa żywicującego w trampkach VI.3).

Dla mnie, swego czasu najpiękniejszą drogą na Centralnej ścianie była *„Michaił Hergiani”*, 6a+, 245m. Jest to jedna z dróg „must do” na Wracy. W sektorze o tej samej nazwie powstało w ostatniej dekadzie sporo nowych linii. Najtrudniejszą jest *„Sofi”* – poświęcona pamięci Sofii Fotevej – bułgarskiej alpinistki, drugiej kobiety na świecie, która – po Catherine Destivelle – wspięła

Sofia Foteva provadzi 6b w masywie Rezniowy fot. K. Kaczmarek 1989 r

się na Trango Tower, mistrzyni Bułgarii we wpinaniu sportowym i lodowym. Miałem okazję zrobić z nią kilkadziesiąt dróg, właśnie na Wracy. Niestety, zginęła w czasie treningu na 20 m skałkach pod Sofią.

Zakupy spożywcze możemy zrobić w jednym z wielu marketów we Wracy. W niektórych, np. w Billi, spokojnie płaci się kartą. Bankomatów

Po skończeniu drogi, w tle po lewej żółty wapień masywu Hergiani fot. A. Koszek

na centralnym deptaku jest kilkanaście. Sklepów wspinaczkowych brak. Żadnych restauracji nie będę polecał, gdyż to, co w tym roku jest OK, za rok okazuje się wielkim niewypałem. Jest ich dużo, a żarcie w przystępnych cenach. W dni wolne od wspinania można się wybrać na jeden z ponad 20 szlaków turystycznych, a jeżeli mamy już dość Wracy, to możemy przejechać się pociągiem osobowym w niedaleki rejon sportowy ***Lakatnik***. Składa się z 6 podrejonów. Jest tam ponad 366 dróg od 6+ do 8c. Z tego 73 powyżej 7b+.

Oczywiście Wracа to nie Verdon, Paklenica czy Arco. Jednak dla kogoś, kto już wszędzie był, a w dodatku ma tylko tydzień wolnego i nie chce wydawać majątku – może to być atrakcyjna alternatywa. Ja w każdym razie, jak najbardziej polecam.

Zjazd z masywu Urvicz, z tyłu masyw Kosmonavti ze swoją drogą *Kosmos* 7a, biegnącą charakterystycznym pęknięciem fot. A. Koszek

Duchy na Tioman

Eliza Kubarska

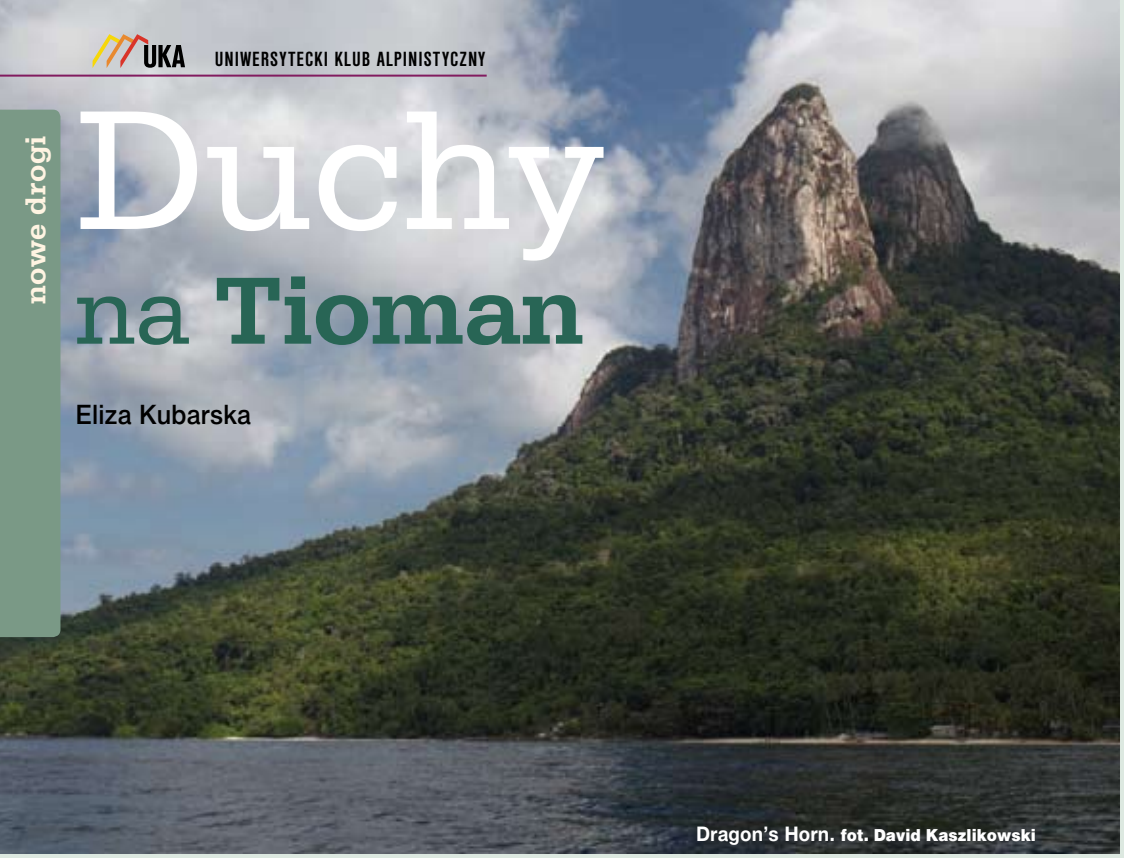

Dragon's Horn. fot. David Kaszlikowski

Styczeń 2012. Mam napisać artykuł o naszej wspinaczce na Tioman w 2011. OK, spróbuję, choć po wydarzeniach, które miały miejsce od lipca 2011 – trudno skupić myśli na przechwytach i wspinaczce...

Kwiecień 2011. Zjeżdżamy. Na piątym wyciągu zaczyna lać. Nie mamy ze sobą nic prócz podkoszulków, więc w końcu przestaje to być zabawne. W Malezji bez problemów możesz spać bez ubrania, bo jest tak gorąco, że nawet myśl o polskich upałach dodaje otuchy, ale co, jeśli z nieba spadnie na głowę jezioro wody?

Zaczynam się trząść. Na razie bez sensacji. Przecież jeszcze trzy zjazdy i jesteśmy na dole. Mokre liny plączą się i nieprzyjemnie przeskakują w przyrządzie. Pozostajemy skupieni, choć komenda: „wolna" jest wydawana dziwnie drżącym głosem.

David zjeżdża pierwszy. Jest nad drugim wyciągiem. Stanowisko wiszące. Ja wyżej czekam, aż zwolni się lina. Zaczyna lać coraz mocniej. Zjeżdżam. Dostrzegam Davida dopiero jak już jestem całkiem blisko. Woda zalewa oczy, zaczyna mnie dławić.... David szybkim ruchem dociąga mnie do siebie i dopina moje auto. Musimy się spieszyć. Ściągaj linę. Coraz trudniej oddychać.

Szybko przerzucamy rzeczy w plecaku. Aparat, obiektywy, mp3, wszystko zalewa woda. Już na to nie patrzymy. Zaraz się tu utopimy...

Lipiec 2011. Stoję pod prysznicem niecałe 4 miesiące później, w Polsce. Woda tym razem gorąca, ale i tak znów się trzęsę i czuję, że za chwilę się utopię. Przed chwilą David odebrał telefon od jakiejś dziennikarki z Radia TOK FM. Powiedziała: mam przed sobą pewną książkę, która – choć jest ponoć fikcją – opisuje pana i pana żonę jako potwory, czy powiedziałby pan coś na ten temat na antenie?

Zamykam oczy, wracam na Tioman. Wyszarpuję z plecaka małą wodoszczelną płachtę, skrawek materiału do ochrony hamaka. Szybko rozciągamy ją nad naszymi głowami. Z kawałkiem osłoniętej przestrzeni, znów możemy oddychać. Nagle, owe tylko 70m powietrza pod stopami zmienia się w pułapkę. Nad nami ściana zmienia się w wodospad, to samo pod nami, jeszcze do tego poniżej jest okap. Żeby dojechać do kolejnego stanu trzeba w powietrzu, bez kontaktu ze ścianą, przebić się przez coraz większy strumień wody.

Nie możemy się ruszyć. Musimy to przeczekać. Trzęsiemy się coraz bardziej. Walczymy, by utrzymać płachtę. Patrzymy na siebie. David wygląda na przerażonego, co nie dodaje mi otuchy. Cały czas pyta, choć ledwo go słyszę, „Jak? Jesteś OK? Wytrzymaj..."

Znów otwieram oczy. Szampon wpływa mi prosto do nich i szczypie niemiłosiernie. Łzy same napływają. Dlaczego? Dlaczego ktoś robi coś tak złego? To niemożliwe. „Para oszustów, za wszelką cenę by osiągnąć sławę..." (!?!) – brzmią zapowiedzi książki w internecie. Co to za szatański pomysł? Jak można wymyślić coś takiego? Przykręcam ciepłą wodę i odkręcam na maksa zimną. Chcę poczuć ból mocniejszy od tego, który czuję teraz. Zimno mi.

Setki, tysiące litrów lodowatej wody przelewają się po nas prawie przez godzinę. Mała płachta nie chroni niczego poza głową i kawałkiem ramion. Zaczynam się bać. Przypominają mi się historie utopionych na ścianie zespołów, np. w Tatrach. „Dziwna śmierć, utopić się na ścianie, w gorących tropikach – przechodzi mi przez głowę – rodacy nie uwierzą".

Kask dobrze izoluje głowę, ale reszta ciała tańczy połamańca. Nie-bo ciągle mocno zasnute, ale na chwilę deszcz słabnie. Nie wiemy na jak długo. W końcu coś widać, po ścianie wokół spadają potoki. David daje mi znak: jedziesz pierwsza. Bez słowa wpinam przyrząd bez prusa. Pod okapem będziesz bezpieczna, szybko – David wypina moje auto.

Zakręcam wodę. Włoski na rękach stanęły mi dęba. Paznokcie lekko zsiniały. Strasznie szybko marznę – myślę sobie. Stoję bez ruchu.

Nasz obóz w dżungli na dole został zmyty. Woda rwie moskitiery, łamie małe drzewa i ciągnie zostawione pod hamakami plecaki. Nie mamy już bazy...

David wchodzi do łazienki. Patrzą na mnie te same oczy, które prosiły mnie na Tioman bym wytrzymała. Przez tę godzinę schudłam chyba z 5 kg. Podaje mi ręcznik. „Złym ludziom wydaje się, że takich, jak my łatwo utopić, bo nie mamy bazy..." – przechodzi mi przez głowę.

Tej samej nocy, zaczynamy się zsuwać z ciężkimi worami po ciemku przez dżunglę. Wokół RyCzą złe duchy, jest ich coraz więcej...

Kwiecień 2011. Tioman.

David wiedział o Tioman i dużej ścianie Twin Peaks od dawna. Był to jeden z jego projektów.

W roku 2000 zespół angielskich wspinaczy wytyczył tu pierwszą drogę. Do tamtego czasu nikomu nie udało się zdobyć żadnego z bliźniaczych szczytów. (Dwie wcześniejsze próby ekip malezyjskich spełzły na niczym). Samo dotarcie pod ścianę było wtedy nie lada wyczynem. Anglicy przez kilka dni przedzierali się przez gęstą tropikalną dżunglę. Potem długo transportowali sprzęt, a ich przygoda przez lata rozpalała jego wyobraźnię.

Po rekonesansie w 2010 roku, w Malezji (m.in. masyw Mt. Kinabalu 4095m, super wielkie ściany, ale komercja, bardzo drogie pozwolenia, obowiązkowi przewodnicy itd.) odkryliśmy Tioman dla siebie. Mieliśmy tylko tydzień, ale chcieliśmy wejść na szczyt.

Wtedy wytyczyliśmy tu swoją pierwszą drogę *SamSam* (6c, 300m). Została poprowadzona na szybko, od dołu, w drugiej próbie i w bardzo mokrych warunkach. Ostatecznie, po trzecim wyciągu uciekliśmy w łatwiejszy teren. Oby do szczytu. Ostatnie wyciągi prowadziły przez pionową dżunglę i choć po drodze znaleźliśmy „mięsożerne" dzbaneczniki (endemiczne rośliny typowe bardziej dla Borneo), nie była to przecież wyprawa biologów.

Wiedzieliśmy, że musimy wrócić i przejść bardziej „szlachetną" linię. *SamSam* była kompromisem. Skała jest tu bardzo dobrej jakości: twardy granit z pięknie urzeźbionymi płytami. Wygląda, że da się tu wytyczyć praktycznie nieograniczoną liczbę dróg.

Kusząca jest też lokalizacja. Tego samego dnia możesz wspinać się na całkiem dużej ścianie i zanurkować na rafie koralowej. Poza tym jest spokojnie i odludnie.

W kwietniu 2011 wylądowaliśmy na wyspie Tioman ponownie. W latach 70-tych magazyn Time wpisał ją na listę najwspanialszych rajskich wysp na świecie. Oczywiście owa rajskość nie miała nic wspólnego ze wspinaniem, tylko z plażami i nurkowaniem.

My jednak zmierzaliśmy w zupełnie innym kierunku. Nasza baza, mała muzułmańska wioseczka Mukut, została opuszczona przez turystów jakieś 15 lat temu. Gdy przestały tu przypływać regularne promy dawne „gift-shopy" zarosły pajęczynami, eleganckie bungalowy pochło-

nęła dżungla, niektóre zostały zaadoptowane przez wielodzietne rodziny *kampungu* (wioski). Południowy Tioman cofnął się w czasie. Znów stał się krystaliczny i rajski.

Wokół plaże, rafa koralowa, malownicze wodospady, wielka góra, ale przede wszystkim bezmiar dżungli. W głąb lasu zapuszczają się tylko myśliwi, którzy polują tu na kanczyle malajskie, maleńkiego 30 cm „jelonka", którego głównym nieszczęściem jest to, że jego mięso jest delikatne i smakowite. W opinii wieśniaków, poza polowaniami, wizyty w dżungli nie mają specjalnego sensu. Szczególnie, że po zmroku ryczą tam złe duchy.

Zamieszkaliśmy u Wujka Sama. Lekko posiwiały, mniej więcej 60-letni mężczyzna wygląda na zaskoczonego, ale bardzo cieszy się z naszej wizyty. Tu macie swój bungalow, tu jest kuchnia, a tu bar.... Rozpromieniony prezentuje nam swoją „posiadłość". W ciągu kilku dni rozgościliśmy się tam na dobre. Sam okazuje się doskonałym kucharzem. Co kilka dni przygotowuje nam wyśmieje ryby w sosie czosnkowym, grillowane owoce morza i... smakowite zupki chińskie, z naszego własnego pudełka. Jego mini resort pamięta lepsze czasy i szczyci się niezwykłą liczbą gości. Sięga ona aż 20 osób... rocznieJ. Samowi jednak nie zależy. Prowadzi to miejsce głównie dla siebie. Mimo kilku projektów rozbudowy na razie ma tu spokojną, sielankową pustelnię.

„Jungle man", tak mówią na niego ludzie *kampungu*. Ten były żołnierz przyjechał tu wiele lat temu ze stałego lądu. Kiedyś rozbrajał ukryte w dżungli obozy komunistów, rozminowywał lasy, potem uciekł aż tutaj. Jako pierwszy wzdłuż i wszerz przeszedł dżunglę na wyspie. Jego wyprawy są tematem wioskowych opowieści: „czasem znikał w lesie na ponad tydzień... w ostatniej chwili znajdował wodę, uciekał przed wężami, gubił się, ale zawsze w końcu odnajdował drogę. Ale, co ważniejsze, Sam nie boi się duchów!"

Eliza próbuje ruchy w cruxie na I wyciągu. fot. Dawid Kaszlikowski

Kilka lat temu, Sam wyciął szlak na przełęcz miedzy „rogami Tiomanu". Jego ścieżka służy obecnie jako punkt wyjściowy w kierunku Południowej Turni i ułatwi nam, choć nie bez bólu, podejście pod ścianę. W ubiegłym roku wyrąbaliśmy też swój kawałek szlaku. David dzielnie machał maczetą przez jakieś 3 godziny tylko po to, aby przejść docelowy 10-minutowy odcinek.

Wróciliśmy na Tioman, bo chcieliśmy otworzyć nową drogę na wypatrzonej uprzednio, długiej linii na ścianie. Już następnego dnia po wylądowaniu, przedzieraliśmy się przez chaszcze. Gęstwina – jakby złośliwie – tnie, drze spodnie, ciągnie za włosy, czasem całkowicie unieruchamia. Zaczyna się od żelaznego uchwytu założonego na plecaku, ale to jeszcze nie jest problem – po kilku ruchach da się go wyszarpnąć. Za to, gdy niepostrzeżenie nadziewasz się na kolczastą palmę, robi się krwiście.

Trzygwiazdkowy odcinek drogi, 7 wyciąg za 6c. fot. Eliza Kubarska

„Okrutna" roślina wbija w skórę setki malutkich kolców, tak, że nie tylko nie możesz się ruszyć, ale wręcz podnosi cię takiego nadzianego do góry. Wygląda to żałośnie, ale i tak trudno mi powstrzymać się od śmiechu, gdy słyszę krzyk Davida i widzę go całkowicie zniewolonego przez palmę.

Po dwóch dniach rekonesansu odnajdujemy linię startu do naszego projektu. Pionowa ściana bez wyraźnych formacji, będzie wymagać wierconej asekuracji. Że będzie gładko – było wiadomo. Taki był plan, dlatego z Polski szło za nami cargo ze spitami, wiertarką i akumulatorami. Jakże nam rzedną miny, gdy okazuje się, że nasza wiertarka nie jest w stanie przebić się przez skałę. „Niemożliwe!" – oboje krzyczymy w tym samym momencie. David sprawdza wiertła, kierunek wiercenia, udar....Wszystko na próżno. Co to za skała? Trzycentymetrowy otwór wiercimy pół godziny... Poszły dwa wiertła. To się nie uda. Jesteśmy wkurzeni. Bez sensu szło drogie cargo, bez sensu dźwigaliśmy ciężkie wory, by się tu dostać. Rozglądamy się, ale jest jasne, że na tym kawałku ściany, bez wiertarki będzie orka. Wracamy do wioski mocno przygnębieni. Żal nam strasznie naszego projektu. Taka ładna linia. Na poprawienie humoru wskakujemy do morza na szybki *snoorkling*.

Budzimy się rano nieco pogodzeni. „Twarda" rzeczywistość koryguje nasze plany. Wracamy w kierunku ubiegłorocznej linii *SamSama*. Tam ściana jest niższa i da się na własnej. Dodatkowo mamy już wycięty szlak.

Z pomocą dwóch wioskowych tragarzy przenosimy sprzęt i mały zapas wody. David znów macha *parangiem* (maczetą). Decydujemy się rozbić bazę (dwa hamaki z moskitierą) pod ścianą, w dżungli. Jesteśmy tylko ponad godzinę

Eliza na szczycie fot. David Kaszlikowski

od morza, ale ścieżka jest miejscami dosyć stroma – chodzenie tam i z powrotem przez dżunglę, bardziej wyczerpuje niż mieszkanie na miejscu. Moskitiera będzie nas chronić przed 3 centymetrowymi mrówkami i ogromnymi jadowitymi stonogami. Tak obiecał mi David, nie pozostaje mi nic innego, jak mu zaufać.

Kolejnego dnia wchodzimy na ścianę *SamSamem*. Tym razem chcemy iść prosto do góry (*SamSam* ucieka po skośnych formacjach w prawo). David po przewspinaniu pierwszych metrów i niemiłym trawersie (wg. oryginalnego startu do *SamSama*) wynajduje poniżej przejście na wprost, po połogiej płycie. Nowy wariant zaczynać się będzie łatwym strzałem na zakąskę. Dobijamy spita po 40 minutach walki. Nagle, na drugim wyciągu *SamSama* blokuje mnie przewieszka (potem połączymy te 2 wyciągi w jeden długi). Okazuje się, że urwał się chwyt i teraz mamy fajny bulder!

„Trudno jest" – krzyczę. Hyc, nie mogę tego przejść. Idę dalej, wrócimy do tego potem. Nasz stan. Dalej trawers pod okapikiem z dobrą asekuracją na duże friendy. A kolejny wyciąg rozdzieli nas z *SamSamem*. Po drodze natkniemy się na stanowisko. To droga Czechów wytyczona w 2010, 2 miesiące przed naszą pierwszą wizytą (wtedy o tym jeszcze nie wiedzieliśmy). Czeska droga ucieka jak *SamSam* w prawo, a my postanawiamy iść prosto do góry, trzymając się filara z niesamowitym widokiem na Mukut i plaże. Wokół niezwykła przestrzeń, a pod palcami super wyciąg. Praktycznie wszystko na własnej asekuracji, która siada doskonale. O zachodzie Twin Peaks rzucają na dżunglę pod nami szpiczaste długie cienie. Wyglądają jak prawdziwe rogi. Teraz wisimy gdzieś w ich połowie.

Ściana w tej linii nie ma 300 metrów. Dzięki temu – szukając najciekawszej linii – docieramy na szczyt w ciągu dwóch dni. Znamy już ten szczyt. Najwyższy punkt to skalny, mocno eksponowany obły taras z genialnym widokiem na dżunglę i morze. Pozostała część szczytu pokryta jest małą dżunglą. Ostatnim razem przygotowaliśmy sobie tutaj romantyczny kącik do spania, wśród dzwoneczników. Zostajemy na noc.

Kolejne dni pracujemy dalej nad linią drogi: czyścimy, dobijamy pojedyncze spity w trudno asekurowanych miejscach oraz szykujemy stanowiska zjazdowe. Chcemy, by nasza nowa linia zachęcała do powtórzeń. Wiemy, że wkrótce Dragon's Horns stanie się popularny wśród wspinaczy. Taka jest kolej rzeczy (nie pomyliliśmy się, na jesieni 2011 kolejne drogi wytyczyli tu Amerykanie, zachęceni m.in. naszymi filmikami).

Czy to dobrze?

Nie wiem... Pierwszy raz zdarzyło się to nam w Taghii, w Atlasie Wysokim. Kiedy dojechaliśmy tam pierwszy raz w 2004 roku, byliśmy jednym z kilku zespołów (otworzyliśmy z Borkiem Szybińskim *Barracudę*). Wróciliśmy rok później i wytyczyliśmy *Fantazję*, jedną z naszych ulubionych linii, dziś chętnie powtarzaną. David napisał kilka artykułów, to samo uczynili inni wspinacze z Europy. Taghia stała się znana i zaledwie kilka lat później zmieniła się nie do poznania. Kiedy spacerowałam po wiosce 7-8 lat temu Berberzy zapraszali mnie do domów na jedzenie, byli nas ciekawi, nie znali wielu białych. Sam dojazd do Taghii był wyzwaniem. Dziś w sezonie trudno znaleźć miejsce do spania. Ceny wzrosły kilkukrotnie. Świat Berberów się zmienił. Czy są bardziej szczęśliwi z zamieszania, które my wspinacze zrobiliśmy? Nie wiem...

Mieszkanie w dżungli męczy. Skończyła nam się woda. Wracamy do ciemnego, hałaśliwego lasu po wodę. Od naszego zakrętu przy CP7 schodzimy stromą ścieżką. Źródełko znajduje się niestety dużo poniżej naszego obozu, miedzy CP4 a CP5 (Jak na żołnierza przystało Sam podzielił odcinki szlaku na CP czyli „check pointy").

Pławimy się w krystalicznej wodzie. Nad głową, z drzewa na drzewo przelatuje endemiczny „latający lis". Jest tak ciepło, że biegamy wokół zupełnie nadzy! Z rozkoszą zmywamy ziemię, pył wierconej skały, pot i... wcale nie chce się nam wracać na ścianę. Komu by się chciało z 10 ciężkimi butelkami wody w plecaku? A jednak trzeba.

Czas na prowadzenie drogi, na czysto (RP). Zastanawiamy się nad nazwą. Rzucam *Polish Princess*, geneza jest długa. Nieważne. Nazwa nam się podoba. Jesteśmy dumni z „wyprostowanego" wyciągu pierwszego, który teraz ma 50 m i 7b+ (wspólnego dla *SamSama* i *Polish Princess*), wyciąg czwarty za 7a to super okazja do zabawy z camami, ale bez siódmego, pionowego filara za 6c, droga nie miałaby 4 gwiazdek.

Znów dochodzimy do szczytu. Czujemy się już tu jak w domu. Tymczasem niebo nad oceanem zrobiło się ciężkie od czarnych chmur. Pioruny walą całą noc. David zarządza, na wszelki wypadek, przepakowanie sprzętu – wszystkie metalowe przedmioty – karabinki, młotek, friendy przenosimy w inne miejsce. Jest szansa, że zadziałają jak piorunochron, a my „nadzy" na tym szczycie, dociągniemy jakoś do rana bez ekspresowego „doładowania". Tak czy owak leżymy jak "podani na tacy", David nerwowo rozgląda się dokoła, jakby liczył, że uskoczy przed piorunem.

Mnie jest wszystko jedno, chce mi się spać. Bardziej chyba boję się duchów. Ale wiem, że jak będzie trzeba, David przeniesie mnie w bezpieczne miejsce, w dżunglę między dzwoneczniki. Bo duchy nie wiedzą, że na szczytach gór mamy niedostępną dla nich bazę J.

Styczeń 2012
Eliza

(wykorzystano fragmenty tekstu D. Kaszlikowskiego)

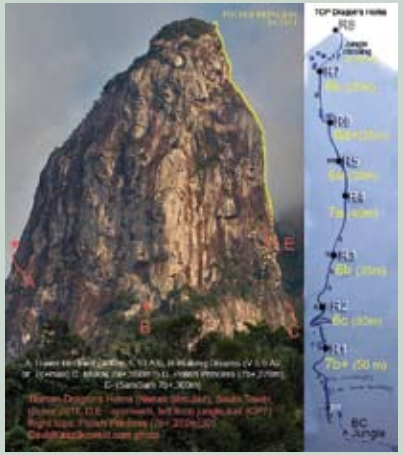

Podsumowanie:

Polish Princess – 270m/7b+, 2011. Wspólne 2 pierwsze wyciągi z *SamSam*, pierwszy wyciąg „wyprostowany". Asekuracja: w większości własna (siada doskonale), uzupełniona o kilka spitów i pętle. Przygotowane stanowiska zjazdowe (spity lub haki). Wystawa północno-wschodnia, filarem na górze
Podejście pod drogę: do CP 7, potem odbicie w lewo w dżunglę; nasza ścieżka wyprowadza prosto na nasze miejsce BC i start w drogę, nie sposób się zgubić. To chyba najłatwiejsze i najszybsze na razie podejście pod ścianę

SamSam – 300m. Oryginalnie w 2010: 6c. Dziś 7b+ (po obrywie).

Wyspa Tioman – Malezja, ok. 40km od półwyspu. Jako cel wspinaczkowy jest „odkryciem" w rajskim zakątku świata.
Póki co, ta część Tiomanu oferuje średnią infrastrukturę turystyczną, a podejście pod południową wieżę Twin Peaks (inaczej: Dragon's Horns) w niektórych miejscach wciąż wymaga cięcia dżungli, za to tam, gdzie szlak wycięto jest krótkie – ok. 1 godzina marszu pod Polish Princess.

Helfstyn

Darek Kaptur

Helfstyn to specyficzny rejon. Praktycznie wszystkie drogi oprócz jednej są połogie i jeżeli nie są rajbungami, to mają takie miejsca. Skała to metamorficzny zlepieniec, a długość dróg dochodzi do 40m. Rejon składa się z czterech masywów zwanych Plotnami: Okna (Prvni Plotna), Bezejmennej (Druha Plotna), Odmitavej (Treti Plotna), Matterhornka (Čtvarta Plota).

Na większości linii znajdują się komplety punktów asekuracyjnych i stanowiska. Niestety nie wszystkie punkty są nowe, a na niektórych drogach trzeba się liczyć z koniecznością wysokiego wychodzenia ponad przeloty. Najwięcej nowych punktów znajduje się na Matterhornce (rebolting w 2010 r.) i Oknach. Trudności często występują na ostatnich metrach. W przypadku opadu warto zdecydować się na zmianę rejonu z powodu braku tarcia na rajbungach. Rejony te znajdują się w lesie, więc potrzeba trochę czasu na wyschnięcie skały.

Nie ma za to problemu z parkowaniem i biwakowaniem w pobliżu skał. Jednak lepszą opcją wydaje się wynajęcie pokoju w Tynie nad Bečvou. Także tam możemy zrobić zakupy. W pobliżu jest możliwość powspinania się w Postatcie (31 dróg o trudnościach od 2 do 7+ i długości do 25m) po łupkowych drogach charakteryzujących się różnego rodzaju i wielkości krawądkami. Wielbiciele wapienia mają do dyspozycji Cernotin-Hluzov (36 dróg w przedziale trudności od 4 do 8+ i długości do 12m) oraz Stramberk (117 dróg o trudnościach między 3, a 10- i długości dochodzącej do 30m), gdzie znajdą drogi o zróżnicowanym charakterze i trudnościach.

Dojazd możliwy jest autostradą D1, po uprzednim zakupieniu winiety. Z autostrady trzeba zjechać do Lipnika nad Bečvou i następnie w kilka minut dojeżdża się do Tynu nad Bečvou. Bezwinietowa alternatywa to droga nr 47, którą osiąga się Hranice i dalej wolnym od opłat odcinkiem do Lipnika nad Bečvou. Najbliższe sklepy ze sprzętem znajdują się w Ostravie, Olomoucu i Priborze.

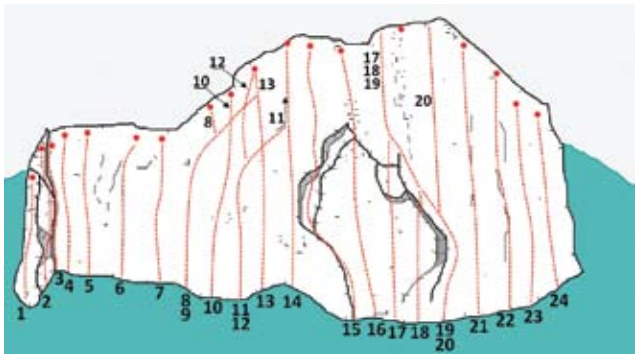

Matterhornek (Čtvarta plotna) – wys. 35m

1. ***Hladkolezy*** 3 (2R+ST)
2. ***Prvnićka*** 4+ (2R+ST)
3. ***Utek*** 4 (2R+ST)
4. ***Bambulin*** 8 (3R+ST)
5. ***Vzpominkovy optimismus*** 7 (2R+ST)
6. ***Ostravska*** 5+ (2R+ST)
7. ***Pernićek*** 5 (2R+ST)
8. ***Maugli*** 6 (3R+ST)
9. ***Varianta*** 7+ (6R+ST)
10. ***...*** (projekt) (4R+ST)
11. ***Okupaćni*** 5 (8R+ST)
12. ***...*** (projekt) (6R+ST)
13. ***Rev malomocnych*** 7- (5R+ST)
14. ***Mercedes*** 5+ (6R+ST)
15. ***Boulemi*** 7+ (5R+ST)
16. ***Matterhornek*** 6 (6R+ST)
17. ***Komari Preis*** 7+ (7R)
18. ***Varianta Unorove*** (projekt) (5R)
19. ***Unorova*** 5+ (6R)
20. ***Varianta direk*** (projekt) (3R)
21. ***Prima*** 5+ (7R+ST)
22. ***Hranicka*** 5 (4R+ST)
23. ***...*** 6+ (5R+ST)
24. ***Malkova*** 5+ (3R+ST)

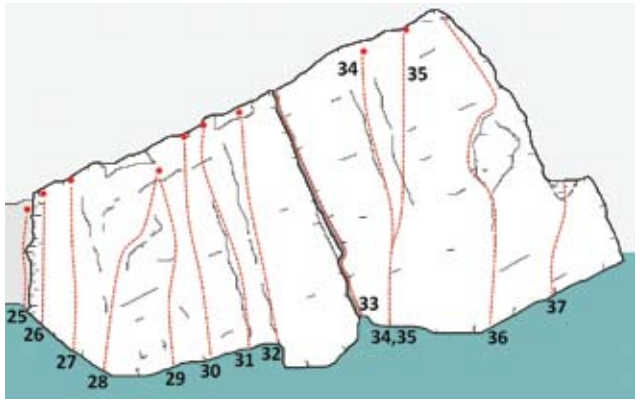

Odmitava (Treti plotna) - wys. 35m

25. ***Hanićka*** 5 (1R+ST)
26. ***Levou ćasti*** 5+ (3R+ST)
27. ***Helfstynska*** 5+ (4R+ST)
28. ***Ježišek*** 5 (3R+ST)
29. ***Hrichy mladi*** 5 (3R+ST)
30. ***Ptaći*** 5 (4R+ST)
31. ***Šilhava krava*** 5 (4R+ST)
32. ***Šenkova*** 5 (4R+ST)
33. ***Kout*** 3 (1R+TRAD)
34. ***Leva odmitava*** 7 (9R+ST)
35. ***Odmitava*** 7- (9R+ST)
36. ***Duniva*** 5 (TRAD)
37. ***Pravou ćasti*** 7+ (2R)

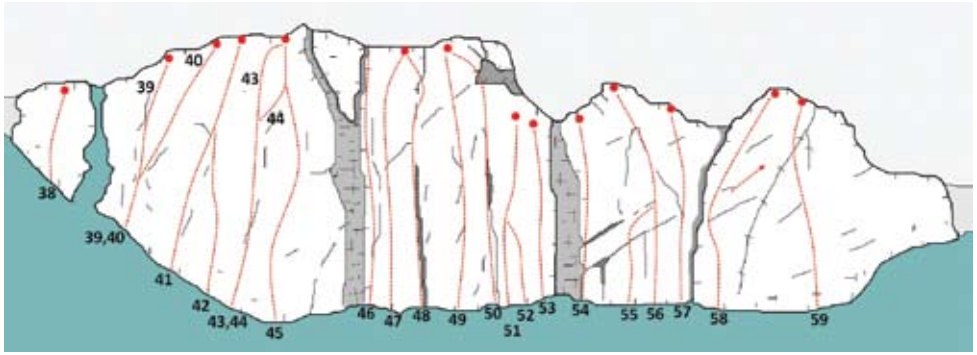

Bezejmenna (Druha plotna) – wys. 20m

38. ***Stenka*** 6+(1R+ST)
39. ***Myś*** 3+(1R+ST)
40. ***Myśi varianta*** 5 (2R+ST)
41. ***Piskarska*** 5+ (3R+ST)
42. ***Narovnana piskarska*** 6 (3R+ST)
43. ***Varianta*** 5 (4R+ST)
44. ***Varianta nedelni*** 5 (4R+ST)
45. ***Nedelni*** 5 (4R+ST)
46. ***Posledni*** 4 (1R+TRAD)
47. ***Pavlova*** 6+ (6R+ST)
48. ***Vanośni*** 4 (2R+TRAD+ST)
49. ***Plotnou*** 5+ (4R+ST)
50. ***Bezejmenna*** 3 (3R+ST)
51. ***Naprimeni Pochlebnika*** 8+ (2R+ST)
52. ***Pochlebnik*** 8-(2R+ST)
53. ***Prava varianta Pochlebnika*** 7+(3R+ST)
54. ***Levou ćasti*** 5+(2R+ST)
55. ***PHM (varianta)*** 4+ (6R+ST) oryginalna droga biegnie powyżej 4 przelotu na lewo od kolejnych punktów. Wspinając się w linii punktów robi się ***Varianta*** o wycenie 5+.
56. ***Nebrat hrany*** 8- (5R+ST)
57. ***Pravou ćasti*** 5+ (4R+ST)
58. ***Śikma*** 5+ (6R+ST)
59. ***Krajni*** 5+ (6R+ST)

Uwaga:
– drogi na lewo od linii ***Prava varianta*** Pochlebnika wymagają wyczyszczenia – między ***Śikmą***, a *Krajni* jest wariant je łączący o nazwie ***Prava Śikma*** 6+ (start ***Śikmą*** i trawers od jej trzeciego przelotu diagonalnie w górę, by połączyć się z ***Krajni*** na wysokości jej 5 punktu. Trawers to TRAD.

Okno (Prvni plotna) - wys.14m
60. ***Ferrari*** 2 (Trad)
61. ***Stupkać*** 2 (2R+Trad+ST)
62. ***B.*** 2+ (1R+TRAD+ST)
63. ***Varianta*** 4+(3R+ST)
64. ***Nevernice*** 4 (3R+ST)
65. ***Numenova*** 5 (3R+ST)
66. ***Lizinka*** 3+(2R+ST)
67. ***Varianta*** 4+(2R+ST)
68. ***K.Ś.*** 5 (1R+ST)
69. ***Cesta u okna*** 4 (1R+ST)
70. ***Varianta sparkou*** 4 (TRAD+ST)
71. ***Varianta stenkou*** 5+ (TRAD+ST)
72. ***Kvakin*** 4 (1R+ST)
73. ***Bożska krasa*** 4 (4R+ST)
74. ***Varianta*** 5 (2R+ST)
75. ***Direttissima*** 3+ (2R+ST)
76. ***...*** 5 (2R+ST)
77. ***Śpićka*** 5 (2R+ST)
78. ***Prvni*** 4+ (2R+ST)
79. ***Bubuś*** 5 (2R+ST)

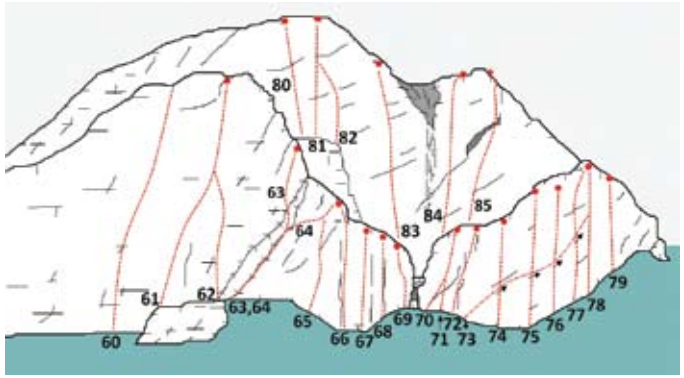

80. ***Śikma plocha*** 6+ (4R+ST)
81. ***Tynska*** 6 (3R+ST)
82. ***Rychlovka*** 6 (3R+ST)
83. ***Pokryvaćska*** 5 (4R+ST)
84. ***Zuby nehty*** 5 (4R+ST)
85. ***Pavouk*** 4 (3R+ST)

Uwaga:
-ściana na lewo od drogi ***Stupkać*** jest mocno zarośnięta i wspinanie w rejonie linii ***Ferrari*** wymaga jej gruntownego oczyszczenia.

Strogir

Darek Kaptur

Osiemdziesiąt kilometrów na północ od Paklenicy, w pobliżu miejscowości Jablanac znajduje się stosunkowo kameralny, ale o dużym potencjale eksploracyjnym rejon wspinaczkowy Strogir. W skład jego wchodzą: Tri Sestre, Tocila, Strogiry, oraz Sklop. Nazwa rejonu nie jest przypadkowa, ponieważ turnie Strogirów robią naprawdę duże wrażenie. Nie dosyć, że od strony wybrzeża są widoczne tylko z kilku miejsc (odległość robi swoje i trzeba dobrze się przypatrzyć), to jeszcze mają one charakter ostrych płetw bez możliwości wejścia na nie drogą „nie wspinaczkową". Dodatkowym bonusem jest kapitalny widok na Adriatyk, jaki jest widoczny w czasie wspinaczki i z wierzchołków. Inną ważną zaletą tego miejsca jest brak ludzi, cisza i estetyka otoczenia. Z pewnością w czasie podróży po Chorwacji warto się tutaj na chwilę zatrzymać.

Dojazd

Jadąc autostradą od strony Zagrzebia należy zjechać na Žuta Lokva i drogą nr 23 dotrzeć (ładne serpentyny przez góry) do miejscowości Senj. Następnie kierujemy się na południe drogą nr 8 i docieramy do zjazdu w kierunku Jablanaca. Chwilę przed nim jest odchodząca w lewo pod górę wąska asfaltowa droga. Właśnie nią należy podjechać pod Strogir. Warto jednak za pierwszym razem wypatrywać krzyżówki na Jablanac i na niej zawrócić. Zjazd na Storgir można łatwo przeoczyć.

Dojazd od strony Paklenicy jest bardzo prosty. Poruszamy się cały czas wzdłuż wybrzeża drogą nr 8, mijamy zjazd na Jablanac i skręcamy w kolejny asfalt w prawo.

Socjal

Jeżeli chcemy mieszkać pod dachem, to w Jablanacu można poszukać lokalu. Dobrym posunięciem może być skontaktowanie się w tym celu z właścicielem restauracyjki „Oaza", który praktycznie zna wszystkich w okolicy. Stinica może też być dobrym rozwiązaniem, ale tam większość lokali może być zarezerwowana. Inną opcją noclegu jest biwakowanie w zatoczkach przy miejscach wyjścia w poszczególne sektory. Wadą może być brak cienia i wody. Na zakupy trzeba się udać do Stinicy, tamtejsze sklepy spożywcze są całkiem dobrze zaopatrzone. W Jablanacu jeszcze w roku 2011 nie było czynnego „spożywczaka". W kwestii dań gotowych to warto brać pod uwagę „Oazę".

Atrakcje

W okolicy jest kilka całkiem ciekawych szlaków turystycznych. Z pewnością obowiązkowym punktem musi być wycieczka do zatoki Zavratnica. Warto zabrać ze sobą strój kąpielowy, ponieważ można się tam całkiem legalnie „pomoczyć" w morzu, pomimo że jest to rezerwat. Inną opcją jest rejon schroniska górskiego Alan i masyw Welebitu. Bez problemu można odbyć krótką wycieczkę promem z Jablanaca na wyspę Rab. Przeprawa od 2012 r. ma być przeniesiona w nowe miejsce pomiędzy a Stinicą. Polecam, jeśli jest taka możliwość, zabrać ze sobą rowery. Plaże w Jablanacu, jak na Chorwację są raczej pustawe i zawsze znajdzie się na nich wolne miejsce.

Podejście

Po zaparkowaniu samochodu w zatoczce (2,8km od zjazdu z drogi Senj-Karlobag), należy podejść pod Strogiry oznakowanym szlakiem (kierunek Alan). Zajmuje to mniej niż 1 godzinę, idąc wolnym krokiem.

Wspinanie

Drogi osiągają maksymalną długość 80m i są wyposażone w komplety punktów przelotowych i stanowiskowych (nowe bolty). Na stanowiskach możemy spotkać karabinki i mailony, ale warto mieć ze sobą swój sprzęt, by mieć czym połączyć punkty stanowiskowe. Po zakończeniu wszystkich dróg wycofujemy się zjazdami, gdyż ze Strogirów nie ma łatwych zejść. Przeważają tutaj piony i lekkie połogi (może przydać się umiejętność wspinania na tarcie), ale zdarzają się też rysy i rowki krasowe.

Drogi
1. ***Margarita*** 5c (5a,5c,5c)
2. ***Dream wall*** 7a (6a+,7a)
3. ***Duo pegla*** 6c (6a,6c,4c)
4. ***Mannar pudding*** 6c+ (6c+,6a+,5b)
5. ***Magic rabbit*** 6a (6a,5c)
6. ***Mali Strogir*** 6a (6a,6a)
7. ***Tempesta*** 6a+ (6a+,6a)

Skumbrie w tomacie, czyli o łowiskach Innuitów

Czarny Sotniarz

Do Podłych Lisic jechałem niewyspany i w bojowym nastroju, co było jasne do wytłumaczenia.

Zaliczony zostałem do stronnictwa Drzewców i określany jako członek Złej Triady, uważanej przez stronnictwo Muminków za przyczynę wszelkiego Zła w świecie Rozkraczonych (określenie to wzięło się od widoku z dołu wspinających). Fakt znalezienia się w Złej Triadzie obok Polityka i samego Drzewca, wzbudził we mnie nieopisaną radość. W życiu nie spodziewałem się takiej nobilitacji. Tak więc w dobrym humorze i z animuszem dojechałem na miejsce w towarzystwie dwóch członków Czarnej Sotni. Niezorientowanych informuję, że jest to grupa, która z pewnością nie należy do ulubieńców wspomnianego już stronnictwa Muminków. Niektórzy, z niezrozumiałych powodów, nazywają tę grupę Hobby Wina Polskie.

Powodem przybycia do Podłych Lisic były zapowiadane zmiany w Księdze Rozkraczonych. Spotkanie otworzył Polityk, dziękując za przybycie Drzewcom i Muminkom, choć szczerze mówiąc trudno ich było odróżnić, bo macają oni te same guziki na ulicach Łagrowej i Staromiejskiej. Polityk, pewnie z obowiązku, podziękował również przybyłym Hydraulikom, Stoperowcom i Cyfrowcom. Nad powagą całego zgromadzenia czuwali zaproszeni goście z Jesiennej Rady.

Polityk fot. Bogdan Jankowski

Zaczęło się dość ospale, od przemów wygłaszanych przez członków Przyrządu. Cieszący się największym mirem, osobnik zwany Igrekiem, szczegółowo omawiał sprawy nieważne i jeszcze mniej istotne. Kilku ze zgromadzonych i tak nic nie zrozumiało, bo miało dokładnie gdzieś, dokąd będzie płynąć Wielka Łajba Rozkraczonych. Jak powszechnie też wiadomo pomimo blisko stu lat, które minęły od scalenia porozbiorowego nadal w naszym kraju używane są dialekty uniemożliwiające skuteczne porozumiewanie. I tak na przykład, sąsiad takiego, co nie rozumiał, powtarzał w swoim dialekcie dokładnie to samo, co powiedział mówca z drugiego środka sali. Jedyną różnicę stanowiła o wiele większa głośność wypowiadanego komunikatu. Najważniejszy punkt programu – zmiany w Wielkiej Księdze Rozkraczonych - zaczęła omawiać Niezdecydowana, i tak naprawdę nikt nie miał pojęcia o chodzi, czy zmiany być mają, czy też nie?

Ten stan trwał przez całe dwa dni zgromadzenia, więc nie było do końca jasne, dlaczego Muminki podjęły akcję propagandową na długo przed przybyciem do Podłych Lisic. I nie pomogło tu wystąpienie Naczelnego Muminka, który przemawiał, odpowiadał, to stawał, to siadał - nawet za stołem prezydialnym. Koniec końców trudno było rozróżnić, kto jest właściwym przewodniczącym zgromadzenia. Ale i to nie doprowadziło do żadnych wniosków, za to sobie pogadaliśmy. Dość mocno podgrzał atmosferę gość nazywany Zza Granicy, z przynależności Hydraulik, z zamiłowania szukający guza. Krążąc w kuluarach, raz po raz słyszałem komentarze niedwuznacznie zapowiadające mordobicie. Nieco na uboczu trzymała się grupa Stoperowców i Cyfrowców, patrząc z niedowierzaniem na brak poszanowania ich umiejętności rozkrakiwania. Patrzyli oni na zgromadzenie ze zgorszeniem, wodząc przy tym wzrokiem za czymś, na czym można by się podciągnąć.

Gdzie siedzi Sotniarz fot. Bogdan Jankowski

O wiele ciekawiej było natomiast wieczorem podczas zajęć w podgrupach. Zaczęło się od korupcyjnego grilla, jednak nikt nie wiedział kto był sponsorem i czego chciał w zamian za napchanie brzuchów beneficjentów. Na pierwszy plan wysunął się wówczas osobnik o pseudonimie Łagodny tudzież Kamyczek. Zagadywał on na śmierć każdego napotkanego, nie zważając przy tym na płeć, wyznanie, czy orientację seksualną, o przynależności do stronnictwa Drzewców i Muminków nie wspominając. W moim odczuciu usiłował on w ten sposób zakrzywić czasoprzestrzeń, przez co „trzy dni" nie kojarzą się już wyłącznie z przyczyną chrześcijaństwa. Dość osobliwe spory toczyli dwaj osobnicy ze wspomnianych już partii. Drzewiec nazywany Turbiną, znany jest ze swoich wyjątkowych zdolności w omijaniu szczęścia oraz ogromnych możliwości pochłaniania specjałów kuchni tureckiej. Z kolei reprezentant Muminków to Maczeta – człowiek, który się nie uśmiecha nadaremno. Szczególny rodzaj ich dyskusji polegał na tym, że wypowiadali, a raczej wykrzykiwali swoje kwestie, które nie związane były z tezą wyartykułowaną przez interlokutora. Co więcej, wcale nie zamierzali przekonać rozmówcy, raczej chodziło im o wygłoszenie swoich, zazwyczaj nie przygotowanych manifestów. Otaczała ich grupa osób próbujących zorientować się o co tak właściwie w tym wszystkim chodzi. Szczególnie wyróżniał się niejaki Z-Hali, pełniący wśród Rozkraczonych rolę Nadzorcy. Miał on tę właściwość, że potrafił wydalić największą liczbę decybeli niekoniecznie w słusznej sprawie. Warto przy tym dodać, że dość istotnym impulsem powodującym stały stan podniecenia wśród dyskutantów były płyny zawierające węgiel, wodór i grupę hydroksylową. Tu należy podkreślić bardzo istotny wkład materialny, ściślej mówiąc płynny, Naczelnego Muminka oraz znanego himalaisty Kuźniecowa, obecnie artysty-malarza. To co się dalej działo - zrzucę na karb wspomnianych powyżej pierwiastków chemicznych.

Przejdę więc raczej do obrad dnia drugiego, gdyż najlepsze miało się zacząć. Znów początek był niemrawy, na co zapewne wpłynęły złowrogie miny przybyłych na pomoc posiłków od Muminków. Widoczny był u nich brak nasycenia duchowego i nie tylko, które miało miejsce w ostatnią noc. Na Sali wiało więc nudą, a smutne i nieciekawe zazwyczaj wywody przerywane były przez Poniewiera. Jego wystąpienia na ogół tematycznie odbiegały od mów poprzedników. Gdy Poniewier kończył, a nawet dużo szybciej, następowało poruszenie i czym prędzej, każdy chciał coś

Sam Drzewiec
fot. Bogdan Jankowski

powiedzieć do mikrofonu lub do siedzącego obok sąsiada. Najlepsze miało jednak nastąpić – wniosek dwóch ważnych person Limbowskiego i Zaradnego, dotyczący sprawy nazywanej *Gorączką Złota*, która od kilku miesięcy wysysała energię z Rozkraczonych. Skutkiem tej „afery" jest spadek poziomu wspinaczkowego, zresztą wprost proporcjonalny do ilości słów wstukanych w klawiatury komputerów. Być może się mylę, gdyż chodzą słuchy, iż osobnicy udzielający się w internecie na najbardziej popularnym portalu wspinaczkowym ratlerek.pl o rozkraczeniach nie mają bladego pojęcia. Niestety nie wiem, czy jest coś na rzeczy, czy

też jest to oszczerstwo z gatunku najobrzydliwszych.

Wracając do tematu *Gorączki*, stała się on głośna z powodu książki (2011), która opisywała historię powstawania filmu (2009), opowiadającego o wyprawie (2007) znanej Pary Rozkraczonych: Szalikowskiego i Salsowskiej. Z powyższego już widać, że nie będzie przepowiadanego przez Majów końca świata, gdyż kolejny epizod w tej sprawie prawdopodobnie będzie miał miejsce w 2013 roku. Jednak należy mieć na uwadze taką ewentualność, że „afera" ma charakter wsteczny i niedługo dowiemy się czegoś sensacyjnego na temat wydarzeń sprzed siedmiu lat. Tak, czy inaczej ciekawy będzie sposób, w jaki zaprezentowana zostanie kolejna rewelacja. Czyżby miała to być gra komputerowa?

Z tego co się zorientowałem afera dotyczy wyporności kajaków, które miały posłużyć Parze za środek transportu. Nie jestem jednak pewien, czy nie wynika to z innuickiego systemu miar i wag? A może chodzi o różnicę masy zależną od szerokości geograficznej? Tego dowieść ma SpecKomisja, którą niebawem powoła Przyrząd Rozkraczonych. Prawdopodobnie przebywanie w kajakach na rozkołysanym morzu spowodowało zmianę zamiłowań wspomnianego Szalikowskiego. Stąd na jego fotografiach można znaleźć odniesienie do znanej żeglarskiej pieśni „o-ho-ho, przechyły i przechyły". Muszę donieść, że do moich uszu dobiegła informacja, iż jedną z przyczyn wybuchu *Gorączki Złota* była zmiana szalika klubowego nomen-omen przez Szalikowskiego. Tenże w czasie swoich największych wypraw należał do Muminków i wówczas został nagrodzony Dekoralem – bardzo ważną nagrodą Rozkraczonych. Jednak w ostatnim czasie zmienił barwy i przeszedł do klubu Drzewców. Prawdopodobnie jest to bujda wierutna, choć z obowiązku musiałem o niej napisać. Niestety o zgromadzeniu Rozkraczonych nie mam już nic do dodania, bo zaszkodziło mi śniadanie i nie śledziłem dalszych obrad. Za rok do Podłych Lisic wybieram się znowu, ryb nie skosztuję.

Na koniec pragnę zastrzec, że postacie opisane w sprawozdaniu są jak najbardziej rzeczywiste, a relacja powstała na skutek inspiracji po lekturze wybitnego dzieła literackiego.

(od red. Czarny Sotniarz nie jest niestety członkiem UKA)

Techniki Zjazdu

Marek Kaliciński

Nie myślcie sobie. Nie będę tu pisał o kluczu klasycznym czy francuskim, zjeździe po amerykańsku, zjeździe z przepinką, czy jeszcze innym zagadnieniu związanym z operacjami linowymi (o dupozjazdach też nie będę pisał, aczkolwiek temat ciekawy). Zajmę się zjazdami walnymi. Aby zawęzić temat zajmę się Walnymi Zjazdami Delegatów Polskiego Związku Alpinizmu. W skrócie WZD PZA.

Poprzedni statut naszego kochanego związku przewidywał dwa typy WZD: zwyczajne i nadzwyczajne. Podział prosty i klarowny. Zwyczajny WZD PZA odbywał się co 3 lata. Wybierano wtedy nowe władze, zatwierdzano, dyskutowano itp. O ile mi wiadomo do chwili obecnej nie odbył się żaden Nadzwyczajny WZD PZA, zatem aby nie zagłębiać się zbytnio w temat – taki Nadzwyczajny Zjazd to coś w stylu przedterminowych wyborów do Sejmu.

Podział taki obowiązywał do XIII WZD (który to odbył się w roku 2010). I co się wydarzyło ~~na wyspie... (skreśl)~~ podczas tego zjazdu? Ano klepnięto zmiany w statucie, które to zostały wymuszone zmianą ustawy, która to została zmieniona w celu walki z PZPN, który to... . I już nie ma zjazdów! Od teraz są *„Zgromadzenia"*. Całe szczęście, iż w skrócie to nadal jest WZD i zapewne każdy delegat nadal będzie mówił – Jadę na Zjazd. Może za kilka lat powrócimy do starego poczciwego określenia.

W tym wypadku „Zjazd" dostał po prostu odłamkiem (na pewno nie to było głównym celem ustawy i ministerstwa). Tak czy siak mamy również Zgromadzenie Narodowe, wolność zgromadzeń, mamy nawet prawo o zgromadzeniach i na pewno słowo to nikomu nie będzie się kojarzyć z żadnym zagadnieniem wspinaczkowym. Może to i dobrze!

Sama zmiana nazwy oczywiście nie była rewolucyjna. Jak możemy doczytać się w obecnej wersji statutu PZA, nadal mamy Zwyczajne i Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Delegatów, nadal kadencja władz wynosi 3 lata, nadal delegaci wybierani są w ten sam sposób lecz.... Zwyczajne WZD PZA odbywa się co roku. I po co? Nie jest to sprecyzowane w statucie, lecz ustawa o sporcie daje nam odpowiedź: „Walne zgromadzenie (...) corocznie rozpatruje (...) sprawozdanie z działalności zarządu". Zatem jakby nie patrzeć, mamy obecnie trzy typy zjazdów: Nadzwyczajne, Zwyczajne sprawozdawcze (co rok) i Zwyczajne sprawozdawczo – wyborcze (co trzy lata).

Jak łatwo policzyć w roku 2011 odbyło się pierwsze Zwyczajne WZD o charakterze sprawozdawczym (XIV dla porządku). Opiszę je bardziej szczegółowo gdyż jest to typ Walnego, którego przedtem nie było.

Na to historyczne wydarzenie udali się również delegaci naszego Klubu. Dla nas był to zjazd historyczny podwójnie – pierwszy raz udaliśmy się na niego w składzie 4 – osobowym (ponad 300 członków w roku poprzedzającym). Klub reprezentowali delegaci: Tomasz Chudy, Jakub Radziejowski, Marcin Wernik, oraz Ja (Marek Kaliciński -- aby nie błądzić oczami po papierze).

Wracając do słowa zjazd – zapewne każdemu wspinaczowi słowo to kojarzy się głównie z metodą przemieszczania się w pionie. Przeważnie w dół, ale słyszałem, iż w ekstremalnych przypadkach można podczas zjazdu przemieszczać się w górę (w zależności od siły i kierunku wiatru). Jeżeli chodzi o WZD to można tylko pośrednio kojarzyć ten typ zjazdu z przemieszczaniem, ale głównie w poziomie. Od kilku lat należy przemieścić się w kierunku Podlesic, a szczegółowo do „Konkurencji". Sama zmiana położenia nie jest jednak istotna, aczkolwiek czynność tą trzeba wykonać.

Dobra! Jedziemy zatem na zjazd!* Poprzedniego dnia (piątek) zebrałem więc wszystkich delegatów do swojego czerwonego bolidu i ruszyliśmy. Po przejechaniu obwodnicy, mknęliśmy autostradą w stronę Podlesic, aby po dwóch godzinach osiągnąć cel (taki żarcik!). Prawda była bardziej bolesna – Gocław, Powiśle, Mokotów, „Kłobucka Direct" (delegaci zdziwieni), budowa S2 (delegaci przerażeni), podniesienie szlabanu aby wyjechać z budowy (nawet ja się zdziwiłem), Grójec, Włoszczowa,... . I już po 4 godzinach na miejscu. Nie ma to jak zwiedzić kawałek Polski, a na takiej autostradzie, to tylko beton i beton (zawsze trzeba dostrzegać plusy :).

Podczas podróży praktycznie przewidzieliśmy przebieg obrad (permanentna antycypacja). Będąc trochę bliżej przepisów i PZA (jako członek Komisji Rewizyjnej) wyjaśniłem kolegom cel takiego zjazdu, zawiłości biurokratyczne oraz znaczenie słowa „rozpatrywać". Ponadto obgadaliśmy większość problemów i gdyby nie ograniczenie czasowe zapewne rozwiązalibyśmy również sprawę kryzysu, euro i pokoju na świecie, ale... wiedzieliśmy, iż tym razem tematami przewodnimi WZD będzie kontrowersyjny projekt statutu przygotowany przez Komisję Statutową, a w kuluarach sprawa *Golden Lunacy.*

Sam zjazd, jak to zjazd. Wybrano przewodniczącego WZD i członków poszczególnych komisji oraz zatwierdzono porządek obrad. W związku z wymogami nowej ustawy o sporcie, najważniejszym punktem tego WZD było przedstawienie sprawozdania władz związku

* WZD PZA odbył się w dniach 19-20.11.2011 r.

Kajaczki są wszedzie
fot. M..Kaliciński

oraz dyskusja na ten temat. Zarząd przedstawił zatem sukcesy, porażki oraz bolączki jakie trapią PZA. Oczywiście pojawiły się wątpliwości: jakiego okresu ma dotyczyć to sprawozdanie, czy będziemy głosować, czy to sprawozdanie musi być badane przez biegłego rewidenta, czy podano wszystkie niezbędne informacje, czy... tak to jest jak się coś robi pierwszy raz.

Oczywiście, wykorzystując WZD można przy okazji rozpatrzyć inne sprawy, które to zwykle były załatwiane w cyklu trzyletnim. Pierwszego dnia starczyło czasu i energii na przedstawienie proponowanych zmian statutu, przygotowanych przez Komisję Statutową oraz zatwierdzenie zmian w Regulaminie Postępowania Dyscyplinarnego. Jak wspomniałem projekt zmian statutu był dość kontrowersyjny i znowu sprawa ta została przesunięta na następne WZD (jedynie za rok), poprzedniej komisji podziękowano za pracę oraz zdecydowano o powołaniu nowej Komisji Statutowej – a co

sobie pogadaliśmy to nasze... Rzutem na taśmę (już bez sprzeciwów) zatwierdziliśmy zmiany w Regulaminie Dyscyplinarnym zaproponowane przez Sąd Koleżeński i po 18.00 zaczęliśmy część nieoficjalną. To jeszcze nie koniec. Komisja Wnioskowa pracowała równolegle do późnych godzin nocnych. Efekty jej pracy zostały rozpatrzone następnego dnia.

A w kuluarach, jak to w kuluarach. Całe szczęście, iż jest taki czas, aby oponenci mogli wyjaśnić sobie coś, co wirtualnie wymaga 5000 postów na forach internetowych, prowadzi do niepotrzebnych zgrzytów i w sumie do niczego więcej. Tak jak przypuszczaliśmy, dużo rozmów toczyło się wokół sprawy GL. Zjawił się nawet sam Grzegorz Głazek, pojawiły się jedynki, kajaczki itp. Dyskusja toczyła się w otoczeniu szlachetnych gatunków wina, co prawdopodobnie wpływało na atmosferę zgody.

Jak to na każdym WZD również teraz zebrała się śmietanka zaproszonych dinozaurów (sorki, tak to jest w życiu). Kawał historii, plotek, dystansu do swoich dokonań i rozwiewanie heroizmu kolegów. Tego z książek się nie dowiecie. Świetna atmosfera i kupa śmiechu. Niektórzy bawili się do późnych godzin nocnych, mimo tego, iż tym razem popełniono niewybaczalny błąd – zamknięto bar o 22.00. Nie ma to jak zapasy własne.

W niedzielę poszło tym razem ekspresowo. Obrady zaczęły się od wyboru Komisji Statutowej, a następnie dyskutowano i głosowano wnioski przedstawione przez Komisję Wnioskową. Niewątpliwie dwa z nich zajęły najwięcej czasu. Pierwszy to sprawa Waldemara Niemca a drugi to wniosek zgłoszony przez Kubę oraz Miłosza Jodłowskiego, za który to dostali Brązowe Jajo. Jak to stwierdziła Kapituła Jaja: „za poczęcie absolutnie nowatorskiej koncepcji Komisji ds. Kontroli Wszystkiego w ramach PZA".

Walne zamknięto ok. 14.00 i po obiedzie znowu mogliśmy przemierzać bezdroża. Zainteresowanych szczegółami odsyłam na strony internetowe PZA. Można tam znaleźć relację z przebiegu obrad, harmonogramy, wnioski, protokoły, zestawienia, itp. Ja w kilku słowach postarałem się przedstawić trochę atmosfery oraz cel nowego Walnego ~~Zjazd.~~ Zgromadzenia Delegatów PZA. W roku 2012 następne.

WZC UKA

Dnia 22 III 2011 odbyło się Walne Zgromadzenie Członków UKA. Prezes Klubu wraz ze skarbnikiem przedstawili sprawozdanie z działalności Klubu w roku 2010. Zgodnie z wnioskiem członków Komisji Rewizyjnej, w głosowaniu zgromadzeni jednogłośnie zatwierdzili sprawozdanie z działalności wraz z bilansem na dzień 31.12.2010 oraz rachunkiem zysków i strat za 2010 r. Jednogłośnie przyjęto uchwałę dotyczącą zmiany statutu.

Na Prezesa Klubu wybrano **Jakuba Radziejowskiego**. Na członków zarządu wybrano **Macieja Kowalczyka, Mateusza Mioduszewskiego, Marka Kalicińskiego, Bartosza Jarosiewicza, Krzysztofa Banasika, Marka Wierzbowskiego, Marcina Wernika.** Do Komisji Rewizyjnej wybrano **Tomasza Chudego, Jacka Czabańskiego** oraz **Karola Suleja.**

Po przedyskutowaniu wolnych wniosków przyjęto jednogłośnie uchwałę o nadaniu członkostwa honorowego **Joannie Czarneckiej**.

GO GO! GOGO!

Gogo w akcji fot. M.Strojny

W dniu 12 marca 2011 roku w Dolinie Chochołowskiej odbył się XXIII Memoriał im. Jana Strzeleckiego . Zawody te zaliczane są do Pucharu Polski w Narciarstwie Wysokogórskim, zawodnicy startowali w zespołach dwuosobowych. Wśród kobiet pierwsze miejsce zajął zespół: **Justyna Żyszkowska** (Tatra Mountain HardWear Team, DYNAFIT) wraz z **Małgorzatą „Gogo" Czeczott** (**UKA Warszawa**). **W klasyfikacji generalnej PZA Małgorzata zajęła ostatecznie czwarte miejsce!**

NOWE RINGI NA NIETOPRZACH

W wyniku cyklicznej akcji reekipowania dróg Jury Północnej udało się wymienić (w dniach 21-22 IV) asekurację na większości ciekawych dróg na Nietoperzach. Ringi oraz klej zostały zakupione dzięki darowiznom z 1%, a prace wykonali społecznie: **Piotr Banasik, Tomasz Chudy, Jarek Gawrysiak, Arek Koszek, Marek Wierzbowski** oraz **Marek Kaliciński**.

TABLICA PIOTRA AMSTERDAMSKIEGO

W niedzielę 10 IV na Symbolicznym Cmentarzu przy Sanktuarium Matki Bożej Jaworzyńskiej na Wiktorówkach umieściliśmy tablicę upamiętniającą **Piotra Amsterdamskiego**, który zginął ponad 4 lata temu podczas samotnej wspinaczki Filarem MSW. Jego tablica zawieszona jest w dobrym towarzystwie, tuż obok Jana Sawickiego, Państwa Hajdukiewiczów, Macka Rysuli i naszego kolegi klubowego Łukasza Wajsa. Jeśli kiedyś będziecie przechodzić w okolicach Rusinowej Polany, wpadnijcie i pozdrówcie Piotra.

Impreza wigilijna i przebierane zawody bulderowe

Jak co roku, impreza odbyła się w konwencji **przebieranych zawodów bulderowych**. Podobnie jak w ostatnich latach, przyszło naprawdę dużo osób, a wieczorna kontynuacja, podczas której wręczono nagrody za zawody, ogłoszono zwycięzców w **Konkursie Fotograficznym** oraz wręczono coroczne **Nagrody UKA**, dla niektórych przeciągnęła się do białego rana.

Pierwsza część imprezy zaczęła się o godzinie 18 na **Arenie Wspinaczkowej „Wgórę"** i trwała prawie trzy godziny. 10 problemów bulderowych (przygotowanych i ułożonych przez **Bartka Jarosiewicza, Michała Łodzińskiego** i **Stefana Madeja**), osobno punktowany trawers, bania, czasówka na bacharze dostarczyły wielu emocji, a zaangażowanie niektórych startujących budziło szczery podziw obserwatorów. Jednak, by skutecznie zapunktować w zawodach, niezbędne było kreatywne przebranie się – jak co roku. Tym razem **tematem przebieranych zawodów** była nazwa skały lub góry. Czego to nie było... Był kilka Bab, Czarny Kot, Pik Lenina, Gasherbrum IV, Pytajnik, Ze Spadającymi Gwiazdami, Dziurki, Karkonosze, Żabi Koń, Młynarz i Młynarczyk, ze trzy Apteki, Okiennik

Wielki, Flaszka, El Capitan, Niebieska Turnia, Maczuga Herkulesa, Świnka i Świnica, Giewont, Słoneczna Turnia, Boniek, Nietoperzowe Skały, Monte Rosa, Marmolada, Lotniki, Turnia Motocyklistów, Psiklatka i wiele, wiele innych. Zarówno inwencja, jak i dopracowanie strojów zasługują na ogromne brawa.

Przebierańcy walczyli dzielnie na problemach, a liczni widzowie dopingowali i pilnowali dzieci. W szczytowym momencie obecnych było dobrze ponad 70 osób, a łącznie, przez całą imprezę, przewinęło się z pewnością sporo więcej. Wśród kobiet pierwsza trójka wyglądała następująco: III miejsce (Marmolada) **Agnieszka Cudna**, II miejsce (Flaszka) **Agnieszka Tyszkiewicz**, I miejsce (Baba) **Marta Czajkowska**. Wśród panów trzecie miejsce zajął **Mateusz 'Żulu' Mioduszewski** (Okiennik Wielki), II miejsce (Młynarz) **Paweł Fidryk**, a zwycięzył przebrany za Babę 14 letni **Piotr Białas**. Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

Podczas imprezy została przeprowadzona tradycyjna u nas w Klubie, aukcja na rzecz „Naszych Skał". Jak zwykle barwnie poprowadzili ją **Marek Kaliciński** i **Marcin Wernik**. Licytowano prawie wszystko, od uprzęży i spodni wspinaczkowych, przez kultowe koszulki z kultowych miejsc, stary szpej wyciągnięty ze ściany, książkę CLIMB Anatolija Burkiejewa z autografem autora, zdjęcia **Mirki** i **Jacka Patrzykontów**, korale babci **Wiki**, po chwyty wspinaczkowe. Pieniądze uzyskane z aukcji oraz zebrane w puszce krążącej po sali (ponad 1500 PLN), zostały uzupełnione o kwotę 1000 PLN przeznaczoną na ten cel przez zarząd **UKA** i wpłacone na konto „**Naszych Skał"**

NUKA im. Łukasza Wajsa AD 2011

Kapituła Nagrody w uznaniu sukcesów wspinaczkowych w roku 2011, jednomyślnie przyznała jedną nagrodę główną (600 PLN) i pięć wyróżnień (po 200 PLN):

Wyróżnienia:

1. Szymonowi Łodzińskiemu za bardzo dobre wyniki w skałach, na licznych zawodach oraz zdobycie tytułu Mistrza Polski Młodzieżowców w prowadzeniu.

2. Stefanowi Madejowi za „najbardziej równy" sezon skałkowy wśród członków Klubu oraz za wyraźne podniesienie poziomu w stosunku do roku poprzedniego (VI.6+).

3. Janinie Gmiter, w uznaniu sukcesów zarówno w skałach (8a+), jak i za zdobycie brązowego medalu Mistrzostw Polski Kobiet w prowadzeniu

4. Jakubowi Główce, za zdobycie Wicemistrzostwa Polski Mężczyzn w bulderingu

5. Rafałowi Burczyńskiemu, za bardzo udany sezon alpejski, a w szczególności za przejście Filara Freney na Mont Blanc.

Nagrodę Główną

Jakubowi Jodłowskiemu w uznaniu znakomitych startów w zawodach rangi PP i MP, w szczególności za zdobycie Pucharu Polski w bulderingu oraz za doskonałe przejścia skalne ukoronowane poprowadzeniem pierwszego **8c RP.**

KONKURS FOTOGRAFICZNY

Ogłoszenie zwycięzców **Konkursu Fotograficznego UKA odbyło się podczas imprezy wigilijnej**. Konkurs zrealizowany został w 3 kategoriach: wspinaczkowej (sponsorem była kolekcja **Terrex** firmy **adidas**), krajobrazowej i okołowspinaczkowej (nagrodami były albumy fotograficzne). Organizatorem konkursu był **Marcin Nowogródzki:**

Zdjęcia wspinaczkowe (patron – firma **adidas**)

I miejsce: **Michał Brzeziński** za zdjęcie „Stefan Madej na *Les Chacals* 8b"

II miejsce **Wojtek Ryczer** za zdjęcie " Agnieszka Cudna na *Niemytych duszach"*

III miejsce **Marcin Suchar** za zdjęcie „Jesienne klasyki"

Zdjęcia krajobrazowe

I miejsce **Marta Czajkowska** za zdjęcie „Adrspach"

II miejsce **Jakub Thiele-Wieczorek** za zdjęcie „Na grani"

III miejsce **Marcin Kłoniecki** za zdjęcie „Widok z Gokyo Ri"

Zdjecie okołowspinaczkowe

I miejsce **Dobrochna Comi-Fidryk** za zdjęcie „Mistrzowie Piachów"

II miejsce **Grzegorz Bajson** za zdjęcie „Powrót z buldów"

III miejsce **Joanna Kamer** z zdjęcie „Przedwspinaczkowy trening duchowy"

Rozmowa, czyli dzień z życia kasjerki

Marta Grzech

Czasy studenckie dobiegają końca i przyszła pora na znalezienie poważnego zajęcia. Jestem umówiona na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie „normalnej" pracy. Godzina spotkania: 9:00 sharp (czyli nie wchodzi w rachubę akademicki kwadransik). Miejsce spotkania: wieżowiec, piętro 50. Na szczęście są windy. Wsiadam do windy, wciskam guzik nr 50. Winda jedzie w górę, ale zaraz, zaraz. Nie zatrzymuje się tam, gdzie ją o to prosiłam. Po osiągnięciu piętra 25. zjeżdża w dół. Cholera. Spóźnię się. O co chodzi? Przepraszam, jak wjechać na piętro nr 50? Ach, proszę pani. Winda nr 1 jeździ tylko na piętra parzyste, nr 2 na nieparzyste, nr 3 kursuje od piętra 1 do 25, a 4 od 25 do 50. Ok. Wysiadam na upragnionym poziomie. Czekam przy recepcji. Zaraz przyjdzie *senior consultant* ds. kadrowych. Już jest. Serce uderza coraz mocniej. Bo idzie ich aż dwóch. Dwóch senior konsultantów, pod krawatem i z neseserami. Wchodzimy do małego pomieszczenia. Okrągły stolik, trzy krzesła.

I zaczyna się. Dotykać oparcia krzesła czy nie? Jak go nie odsunę, to nie usiądę. Dobra, odsuwam. Wymieniamy uścisk dłoni. Dają mi swoje wizytówki. 3, 2, 1… showtime.

Senior Consultant #1: Czy wie Pani, na jakie stanowisko prowadzimy nabór?

Ja: Oczywiście. Na praktyki w dziale X, w firmie o ugruntowanej pozycji na rynku.
(Jasne, prawdziwa gratka: 3 miesiące, 164 godziny w miesiącu, a to wszystko BEZPŁATNIE!).
S.C.#1: Świetnie. W takim razie proszę opowiedzieć mi o swoim poprzednim miejscu pracy.
Ja: A więc pracowałam na stanowisku recepcjonistki w centrum sportowym, a dokładnie w dziale wspinaczkowym.
(Boziu, nie zaczyna się od „a więc". Ratuj sytuację. Nie mów o biurku przed big wallem. Może lepiej jakiś „front desk".)
S.C.#2 (w tym czasie S.C.#1 obserwuje i notuje): A jaka struktura panowała w tej organizacji?
Ja: Taka nieskomplikowana struktura. Powiedzmy - struktura płaska.
(Kurczę, jedyne struktury to my mamy w kominie i na bulderach.)
S.C.#1: A może jakiś przykład inicjatywy z Pani strony?
Ja: Oczywiście. Z mojej inicjatywy została zmieniona aranżacja wnętrza.
(Inicjatywa… mam… może ten przykład będzie dobry: „ Szefie, coś mi się wydaje, że trzeba kupić koce na fotele, bo to welurowe obicie już żyje swoim własnym życiem" :)
S.C.#1: Co zajmowało Pani najwięcej czasu w pracy?
Ja: Kontakt z klientem, czasami trudnym klientem.
(Klient: Poproszę majtki rozmiar S i widełki.
Ja: Jakie widełki?
Klient: No tę świnkę, co ma dwa otwory. Z karabińczykiem.
Ja: To będzie 3 zł.
Klient: To ja zapłacę kartą.
Ja: Ale my nie mamy teminala.
Klient: A to, co to jest?
Ja: To jest do kart sportowych. A w ogóle to potrafi Pan asekurować?
Klient: Tak. To ja zrezygnuję z widełek i będę asekurował z ręki.
Ja: Nie można z ręki. Jak to z ręki?
Klient: No dobrze. To przydepnę linę butem dla większej kontroli. Aaaaa!)
S.C.#1: A praca biurowa?
Ja: Jednym z zadań biurowych było wypełnianie raportów.
(„Nie zgadza się znowu. Liczę i liczę. Klienci pewnie powstawiali krzyżyki po swojemu".
Ja: Halo, proszę Pana, czemu wstawił Pan krzyżyk przy KA, czyli Kupnie Abonamentu? Przecież płacił pan za wejście.
Klient: Bo ja na sekcję do Kuby Adamczyka.
Ok. Złapany na gorącym uczynku. Przeglądam listę. Znowu jakiś żartowniś wpisał się jako Baltazar Gąbka.)
S.C.#1: Jakieś inne zadania?
Ja: Logistyka związana z dysponowaniem przestrzenią naszego obiektu.
(Ja: Proszę, kluczyk dla pana.
Klient: Ja chcę parzysty i bardziej w głębi szatni.
Ja: A ten dla Pana.
Drugi klient: Ja nie chcę kluczyka.
Ja: Ale nalegam. Dzięki kluczykom wiemy ile jest osób na obiekcie.
Drugi klient: Czy Pani się z PRL-u urwała. Nie wezmę!)
S.C.#2: Czy jest pani gotowa do pracy w trudnych warunkach?
Ja: Mam w tym doświadczenie.
(Ooo, ktoś ma nowy model Miury, zielony. Pewnie z Italii przywieziony. Podejdę bliżej, obejrzę sobie dokładnie. Oooo kurczę. To się rusza!)
S.C.#2: Chciałem jeszcze zapytać, jak sobie Pani radzi z obsługą urządzeń biurowych?
Ja: Radzę sobie bardzo dobrze, w poprzednim miejscu pracy korzystałam z wielu narzę… znaczy urządzeń.
(„Martaaaaaa naładuj dwie szpaksiary, podaj klucz do chwytów, przynieś wiadra i wstaw zmywarkę!". Coś mi się wydaje, że nie o takie urządzenia im chodzi. O nie, patrzą na moje dłonie. Już dostrzegli brak odcisków od klawiatury. Nie martw się. Na pewno dostaniesz plusa od Senior Consultantki za interesujący biały french manicure. Nie ma to jak resztki magnezji za paznokciami.)*
S.C.#1: Dziękujemy. Mamy dla Pani ostatnie zadanie. Proszę opowiedzieć coś o sobie używając maniery chińskiej kurtyzany, stojąc na jednej nodze, prawą ręką licząc coś na kalkulatorze
Ja: ???

EPILOG:

Rozmowa wypadła pomyślnie. Bezpłatną pracę dostałam. Po trzech dniach zrezygnowałam. Na ściankę wróciłam. Na swoim ulubionym obrotowym krześle się pokręciłam. Znajomy zapach powitałam. I „normalną" pracę na jakiś czas pożegnałam.

Złomek trip

Bogusia *Busia* Burczyńska

Przez długi czas nosiliśmy się z zamiarem porzucenia roboty i wyjechania gdzieś na wspinaczkowy „trip". Zastanawialiśmy się nad transportem i oczywiście – gdzie? Było kilka opcji, w końcu wygrała wersja proeuropejska – wyprawa samochodem. No tak, tylko jakim, jak zmieścić graty na pół roku i jak to zrobić, żeby jeszcze w nim spać i jako tako posiedzieć w czasie deszczu.

Biszon miał dwieście pomysłów na minutę: jaki samochód najlepiej przerobić, jak maksymalnie wykorzystać przestrzeń i jakie ulepszenia wprowadzić. Koniec końców, udało nam się kupić już w pełni wyposażonego półkampera i dzięki Ci Boże za to. Zaoszczędziło nam to sporo czasu. Po miesięcznym remoncie „Złomka", robocza nazwa forda transita, wyruszyliśmy w podróż pod koniec maja.

Nagraliśmy sobie mnóstwo ulubionej muzyki, przed oczami stanęły nam wszystkie obejrzane filmy, drogi i marzenie stało się rzeczywistością.

Po trzech dniach jazdy okazało się, że wcale nie jest tak jak na filmach. Owszem toczymy się 50 mil na godzinę, ale po pierwsze przy otwartych oknach szum w samochodzie jest taki, że nie słychać muzyki, po drugie nie jaramy Lolków, więc nie jesteśmy wyluzowani, a po trzecie sama jazda jest nudna i wykańczająca. W dalszej części podróży doszedł jeszcze aspekt beznadziejnego atlasu, przy pomocy którego nie dało się niczego zlokalizować.

* * *

Mając taki wóz, myślisz sobie, że wystarczy go zaparkować gdziekolwiek i już można spokojnie iść spać. Oj nie! Tak różowo niestety nie jest. Parkingi przy drogach są zazwyczaj bardzo głośne, a spanie w środku miasteczka wiąże się z tym, że ja jako baba, nie mam gdzie iść za potrzebą. Biszonowi wystarcza jedno, jedyne drzewo rosnące na klombie. Moment podjęcia decyzji, gdzie spać jest zawsze skomplikowany.

Przed wyjazdem nastawiliśmy się na to, że poznamy mnóstwo nowych pozytywnych ludzi, ale nie wzięliśmy pod uwagę tego, że śpiąc „gdzie bądź" może niekoniecznie ich spotkamy. W Portugalii okazało się, że wspinaczy jest jak na lekarstwo, a ci, co się wspinają, nie znają żadnego obcego języka – ciężko się z nimi komunikować. Ogólnie pod względem wspinaczkowym Portugalia okazała się mocno rozczarowująca, za to jest to idealne miejsce do wypoczynku – przepiękne plaże i pogoda murowana.

Po wizycie w Portugalii zatrzymaliśmy się w Kraju Basków, który jest jednym ze wspinaczkowych rajów w Europie. Po pierwsze, co 20 km można znaleźć rejon o zupełnie odmiennym charakterze od poprzedniego, po drugie ludzie są mili i otwarci, a po trzecie znają języki obce i bardzo chcą się pochwalić swoim krajem. Właśnie dzięki takim entuzjastom trafiliśmy do Picos de Europa, zielonego górskiego zakątka.

Picos to wapienny masyw górski znajdujący się 40 kilometrów od oceanu. Moje pierwsze skojarzenie było takie, że znaleźliśmy się gdzieś w Szkocji. Jak okiem sięgnąć zielona trawa i stada krów, które następnie zamieniły się w stada owiec i kóz. Biwakuje się w namiocie pod schroniskiem, na wysokości prawie 2000 metrów, a pod nami, w dolinie rozciąga się morze chmur. Wspinanie na Picu Uriellu jest bardzo przyjemne, obite stany i spity w trudnych miejscach, a przede wszystkim widoki i nie za długie podejście pod ścianę.

* * *

Dwa wakacyjne miesiące mieliśmy spędzić w Mekce wspinania górskiego, czyli w Chamonix. Niestety pogoda w lipcu okazała się do bani i zamiast górskiej przygody odkrywaliśmy uroki wysokogórskiego bulderingu, jazdy na rowerach i spotkań towarzyskich.

I jak już kompletnie wszystko mieliśmy mokre, a „Złomek" zaczął przeciekać, uciekliśmy na chwilę do Orpierre. Potem szybka wizyta w Val di Mello, gdzie odbywał się obóz UKA, dzięki czemu mogliśmy trochę odpocząć od siebie nawzajem. Bo właśnie chyba to jest jedną z najtrudniejszych rzeczy na takiej wyprawie. Mieszkanie z kimś pod jednym dachem na tak małej przestrzeni i spędzanie z tym kimś czasu 24h/dobę. Razem się wspinamy, jemy, śpimy, a nawet czytamy razem książki, bo robię za żywy audiobook. Prowadzi to do nieuchronnych konfliktów i może się zakończyć rozwodem, więc tak sobie czasem myślę, że może lepiej jechać na wyprawę przed sformalizowaniem związku : .

* * *

W sierpniu wróciliśmy do Chamonix, gdzie pogoda okazała się być wyśmienita. Początkowo wspinaliśmy się w trójkowym zespole razem z Majkim, a potem chłopaki wspinali się razem – a ja objałam się troszkę. We wrześniu wróciliśmy do Polski. Odwiedzaliśmy znajomych, prowadziliśmy rodzinne życie i nie wiadomo kiedy, ruszyliśmy w stronę Fontainebleau. Październik w podparyskim lesie jest przepiękny, kolorowe żółto- czerwone drzewa, słońce i piknikowa atmosfera. Idealne miejsce na wspin z dziećmi. Niestety wizyta w Bleau skończyła się ospą u Biszona, którą długo odchorowywał.

* * *

Wreszcie w listopadzie trafiliśmy do Siurany i dopiero tu znaleźliśmy to wszystko, o czym myśleliśmy przed podróżą. Międzynarodowe towarzystwo wspinaczy-tułaczy, którzy znajdują się na różnych etapach swoich podróży. Jedni zaczynają, inni są w trakcie, jeszcze inni kończą. Większość mieszka w przystosowanych do tego celu samochodach. Wymieniają się książkami, filmami i muzyką, wszyscy marzą o ciepłym prysznicu i czystych ciuchach. W listopadzie ciężko jest korzystać ze słonecznego prysznica, wodę sobie można nagrzać, wrzucając plastikową butelkę z wodą do ogniska, a następnie trzeba myć się w misce, co jest średnio komfortowe. Rozkład dnia i tygodnia, u większości jest podobny: dwa dni wspinania, dzień restu. Na wspinanie wychodzimy koło jedenastej, w dzień restowy pranie lub zakupy, albo wyprawa na migdały i internet.

Biszonowa ospa ciągnęła się za nim i ciągnęła. Stał się przez to nieznośny, bo stracił formę i ciągle był zmęczony. Dlatego też znalazł sobie alternatywne zajęcie w formie chodzenia na ryby. Wędkę zakupiliśmy jeszcze w Portugalii, gdzie nie została złowiona ani jedna ryba. Po kilku nieudanych wyprawach z wędką Biszon wystrugał sobie łuk, z którego zamierzał mierzyć do karpi, jednak także i ten zamiar jest nadal tylko w fazie projektu. Biszon znalazł tu dla siebie również prawdziwy ogródek doświadczalny – odkrył nowy sektor, wyczyścił i obił nowe drogi.

W czasie tych kilku miesięcy podróży nie wydarzyło się w zasadzie nic niezwykłego. W Picos ratowaliśmy zagubionych turystów przed deszczem, a w dolinie Aosty staruszki. Nie spotkało nas nic szczególnego, a jednak myślę, że dzięki ludziom, których spotkaliśmy zyskaliśmy bardzo wiele. Biszon zaczął znowu rysować dla przyjemności, a ja wytwarzam rzeczy z wełny i filcu. Myślę, że dzięki tej podróży stajemy się coraz bardziej kreatywni – potrzeba jest matką wynalazków : .

Obecnie przemieszczamy się do El Chorro na jak długo, kto to wie? Na tyle ile wystarczy nam cierpliwości do siebie nawzajem. Zobaczymy jak długo jeszcze jesteśmy w stanie ze sobą wytrzymać : .

Kapitan

Jarosław Mazur

„Kapitan, który traci wiarę w siebie, przestaje być kapitanem"
Juliusz Verne

Między pasją a wspinaniem
fot. arch. J.Mazur

Kolejne zadanie postawione przez Naczelnego jest znowu trudne. Tym bardziej, że temat mimo dużej dowolności, ma być jednak ujęty we wspinaczkowe ramy. I co teraz? Mogę podnieść telefon i próbować namówić Kubę na dodatek motoryzacyjny do BUKI, na reportaż z klasycznego zlotu motocyklowego lub felieton pod tytułem *Parę uwag o świecie otaczającym.* Napisałbym wtedy o samochodach, które w filmach z ubiegłego wieku, zanim ruszyły spod świateł, stały w miejscu w chmurze spalonej gumy, a głównym zadaniem kierowców było dbanie o to, aby tył nie wyprzedzał przodu. Albo o zawodach w podjeżdżaniu motocyklami pod górę, gdzie maszyny zaliczają centralne strzały w drzewa, a tłum wiwatuje po okrzyku konferansjera, że jeździec jest żywy. Szukałbym analogii pomiędzy jazdą na motocyklu a lataniem. Powoływałbym się na amerykańskich instruktorów i publicystów motoryzacyjnych, którzy jazdę na motocyklu porównują z misją pilota nad wrogim terytorium. Odgrzebałbym obraz mężczyzny w skórzanej kurtce z naszywkami, ścigającego się na motocyklu ze startującym myśliwcem.

Poekscytowałbym się przez parę linijek zawodami Red Bull X Fighters, opowiedziałbym także historyjkę o chłopakach, którzy próbowali zajeździć żółte suzuki, a jak już nie mieli siły go podnosić, to kręcili moto na leżąco do odcięcia zapłonu. Napisałbym jeszcze o domówce na stacji benzynowej, podczas której młodzieńcy w starej „becie" starali się robić wrażenie na chichoczących dziewczynach, które dla odmiany nie potrzebowały żadnych gadżetów, żeby samą swoją obecnością wyprowadzać chłopaków z równowagi; odbyło się wtedy nocne sympozjum fachowców na temat stawiania sprzętu na koło. Oraz o teatrze celebrowanym podczas handlu samochodami, który kojarzy mi się z opowieściami o targach, na których sprzedawano i kupowano konie.

Opowiedziałbym o nocnych rozmowach z zapachem landrynek w tle, parę historyjek o leżącej niby na uboczu Polsce B. O ludziach spotykanych w barach, na parkingach i promach. O małych wioskach i miasteczkach. O deszczowej, późnojesiennej nocy i wejściu w stylu *Bez przebaczenia* do przydrożnego baru. A także o warszawskiej kapliczce przy Żwirki i Wigury róg Odyńca i o staruszce karmiącej gołębie w okolicy, z której nadaje radio Jutrzenka.

Wspomniałbym czasy, kiedy przyszłość jawiła się jako ocean nieograniczonych możliwości, a rola do odegrania w życiu miała być nieschematyczna i niepowtarzalna. Mógłbym pobajdurzyć o zderzeniu oczekiwań z życiem, które ma być rozsądne. O rozsądku przebijającym, dajmy na to, z funkcjonalności samochodu, który jeździ, jest niezawodny, jako tako przyspiesza, ale duszy i charakteru ma w sobie tyle co cienkopis BIC. O jego oryginalności świadczy fakt, że rozpoznaję go w rzędzie zaparkowanych aut po numerach rejestracyjnych. Nie mam wątpliwości, że dojedzie do Lizbony czy na North Cap, ale nigdy nie dowiezie mnie do Kapsztadu, Kinszasy, Władywostoku (to akurat dobrze) czy Ułan Bator.

Chciałbym również pisać o dzieciakach, które w latach osiemdziesiątych na Jelonkach marzyły o ekscytującym życiu, a doczekały tego, że mieszkania w blokach na przemysłowym Służewcu sprzedawane są jako ekskluzywne apartamenty na Mokotowie, a fajansowa stłuczka nosi dumną nazwę porcelany. Pisałbym o chłopakach, dla których przyjaźń i lojalność nie były pustymi słowami, o dzieciach, które mimo indoktrynacji wiedziały po której stronie barykady stoją dobrzy. O czasach, w których każdy w klasie znał te same dowcipy powtarzane z lubością bez końca. O czarnych okularach, które nie kojarzyły się z wyczekiwanymi wakacjami. O solówkach, pojedynkach pod trzepakiem i o chwili, kiedy starsi koledzy wprowadzili młodszych do klubu osiedlowego Yogi, gdzie w małej salce, podczas oglądania pirackiego video, okazało się, że z Ruskim można wygrać na pięści, nawet jak się jest niższym o dwie głowy. To naprawdę było coś. Po latach to my szliśmy środkiem Krakowskiego Przedmieścia, a oni stali przy krawężnikach. Z tarczami. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że rozkazy wydawali im „ludzie honoru", a życie niestety nie okazało się tak optymistyczne jak film.

O chłoptasiach, bezkrytycznych karierowiczach i ludziach uzależnionych od wpływania i władzy wspomniałbym tylko w odniesieniu do dużej polityki. Na razie nie jestem gotów do wyrażania wyważonych sądów. Natomiast instynktownie czuję, że działając na małej i dużej scenie można uniknąć spotwornienia, jeżeli zamiast woli niszczenia i autokreacji ma się wolę doskonalenia rzeczy wspólnej i obcowania z prawdą.

Na chwilę, żeby za bardzo nie jechać po bandzie, zahaczyłbym o mojego konika. Napisałbym o mijającym czasie, który rozdziela ludzi. O grobie, w którym spoczywa łączniczka Armii Krajowej i kierowca oficera Urzędu Bezpieczeństwa. O tym jak udało się pokazać odchodzącemu Dziadkowi motocykl podprowadzony zimą pod okno drewnianej chatki. Było to nasze pożegnanie i międzypokoleniowe przejęcie pałeczki. I o rozgrzewaniu, podczas tej drogi pod sklepem w Jadowie, zmarzniętych rąk na bloku silnika. O feriach szkolnych spędzonych z Dziadkiem w Starze i myciu się, po przyjechaniu do zajezdni, w wodzie spuszczanej na koniec zmiany z chłodnicy silnika. I o teraźniejszych przygodach związanych z robieniem prawa jazdy na ciężarówki.

zimowe moto

Na pewno napisałbym o podróży, która była inicjacją dorosłego życia, podczas której udało się zachować pasję młodości. O kajakowych wywrotkach w przybojach, atawistycznym zaklinaniu losu, rytuałach „na szczęście" oraz o umawianiu się z dziewczyną w kolejnych punktach wybrzeża i odnajdywaniu się bez telefonu komórkowego. O dziewczynie, która w trudnych morskich warunkach, na rozkołysanym pokładzie 5,5 metrowego jachciku, zmieniała żagle, kiedy ja stojąc przy sterze mogłem ją tylko podtrzymywać wzrokiem i zakochiwać się w niej coraz bardziej i o tym, jak po latach zgodziła się zostać w moim życiu.

Chciałbym pisać nie tyle o „zmianie priorytetów", co raczej o zmianie spektrum postrzegania i oceniania, jakie sprawy są WAŻNE, jakie NAJWAŻNIEJSZE, co jest ciekawe i pasjonujące oraz wreszcie, co jest tylko „przyruchem", który pozornie ważny, po latach okaże się jedynie pewnym zamkniętym etapem życia.

I tutaj jest szansa, aby zbliżyć się do tematu wspinania.

Niedługo minie rok od ukazania się poprzedniego numeru najlepszego pisma wspinaczkowego. Jestem zaszczycony i dziękuję za propozycję napisania tekstu do kolejnego numeru BUKI – publikacje w klubowym magazynie bardziej nawet cenię, niż zdjęcie w UP z niewyretuszowaną idącą od góry liną : Chciałbym tak jak w poprzednich numerach, pisać w sytuacji kiedy wiem, że mam coś ciekawego do powiedzenia, albo chociaż kiedy mogę powiedzieć coś w dobrych intencjach, co

jest dla mnie na obecnym etapie życia ważne i prawdziwe. Długo zastanawiałem się co jeszcze czuję, kiedy myślę o wspinaniu i czy mam jeszcze o czym na ten temat pisać. I wtedy przypomniała mi się rozmowa, podczas której powiedziałem, że wspinanie ma dla mnie aspekt relacyjno-krajobrazowy. Tak jest rzeczywiście. Czuję, że „jedynym prawdziwym luksusem są właśnie relacje międzyludzkie". A szeroko pojęty krajobraz? Jest chyba „tłem, na którym widać wyraźniej..."

Zdecydowałem się w końcu przytoczyć parę wspinaczkowych migawek, kiedy nie odwieszam się na stanowisku i nie oddaję inicjatywy „tym, którzy to zrobią lepiej". Mam na myśli sytuacje, w których poprzez relacje z partnerami oraz ich oczekiwania czuję powagę wspólnie przeżywanej przygody.

Leżymy w gorącym marcowym słońcu i czekamy na swoją kolej na wejście w drogę. Podeszliśmy w trójkowym zespole pod kilkuwyciągowy filar, którego podobieństwo do Filara Lechwora narzuca się samoistnie. Pod nami szumią biało-turkusowe kalanki. Patrzymy i próbujemy odgadnąć, w jakim tempie będą wspinały się zespoły przed nami. Na razie jest nieźle. Poza korkiem na pierwszym stanowisku i histerii idącej na drugiego dziewczyny nic szczególnego się nie dzieje. Leje się na nas żar i potoczyste, powtarzane bez przerwy „Roberto basta, basta Roberto por favore...." Szukając skrawka cienia obawiam się, że zemdleję. Janek zapomniał picia, nie chce mleka, którym go częstuję, całe szczęście pije wodę, którą oferuje mu Jakub. Postanawiam wypić wszystko co mam, żeby przynajmniej instruktor w zespole był na chodzie.

Dziewczyna z zespołu czekającego na swoja kolej, przysłuchuje się naszym rozmowom i pyta, jakiej jesteśmy narodowości. Poznała polski – język ojczysty swojej babci, która pochodziła spod Krakowa. Już parę chwil temu doceniliśmy jej nieprzeciętną urodę, ale dopiero teraz wszystko dopełniło się do schematu poznawczego, jakim operuje podróżujący po świecie Polak. Dziewczyna z chłopakiem rezygnują ze wspinania, a my wchodzimy w drogę. Omijam amok na stanowisku, robię przepad, łączę dwa wyciągi i skutecznie przesztywniam sobie linę. Jeszcze na dole słyszałem grzmoty dochodzące z drugiej strony skały, które kojarzyły mi się z przekraczającym barierę dźwięku odrzutowcem. Po kolejnym wyciągu zaczyna padać. Zastanawiam się co robić. Jak zjedziemy, to nic już dzisiaj nie zrobimy. Chłopaki z pewnością będą chcieli iść do góry. Jeżeli coś się jednak podczas wspinania wydarzy, to nie będzie nic do dodania. Wiadomo, specjalista od deszczowych lotów, szczęścia z zespołem w skałach nie szukał... Patrząc na niebo widoczne po

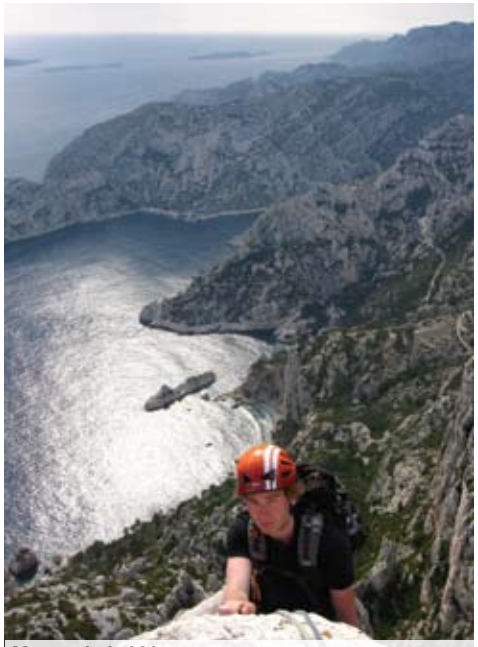

Morze skały i I bosman fot. Jarosław Mazur

drugiej stronie filara i coraz rzadziej padające krople, decyduję się kontynuować. Przestaje padać. Zleje nas dopiero przy zjeździe i pakowaniu.

Warkot śmigła nie pomaga podjąć decyzji o wyborze drogi. Podobnym żlebem do tego, w którym toczy się akcja, będziemy schodzić po wspinaniu. Zespół z uśmiechem i spokojną głową patrzy w przyszłość. „To co, Jarek, na co idziemy...?". „Na to". „Ok!J"

Innego dnia, późnym popołudniem stajemy pod skalną iglicą. Słońce zaszło chwilę przed dojściem do wierzchołka. Na pewno gdzieś tu można zbiec, trzeba tylko wiedzieć gdzie... Wchodzimy w zjazdy. Ciemność zapada po przełożeniu liny przez ostatnie stanowisko. Za chwilę wszyscy stoimy na ziemi. Siedząc nad wodą cieszę się, że tym razem nie musieliśmy realizować punktu pt. „odzyskiwanie zaklinowanej liny" lub „inne proste sytuacje awaryjne". Leżymy na otoczakach i jemy banany. Chłopaki są usatysfakcjonowani. Ja też.

Lina na tym wyjeździe zaklinuje się, jak na zmówienie, przy zjazdach innym razem. Program Panowie, program!

Stoję w Masone pod drogą i się wymądrzam. Zobacz z prawej będziesz miał chwyty, odstaw nogę.

Załoga fot. Jarosław Mazur

Załoga na końcu drogi fot. Jarosław Mazur

Śmiało, jesteś blisko przelotu. Widzę wszystko o czym mówię, daję dobre rady, jednak nie posuwa to sprawy do przodu. Seria bloków na drodze 5b, to nie jest to co podbudowuje zespół. Dobra, mówię w końcu, daj na dół, zobaczę co tam się dzieje. W jednym treku i drugim wielkim wspinaczkowym bucie ruszam do góry (na tamtym wyjeździe pod drogi podchodziłem w klapkach, a wspinałem się w opisanym zestawie, leczyłem nogi po wiosennym spacerze po śnieżku). Po paru ruchach nie dziwię się, że partner nie skorzystał z moich rad. Pchany do góry poczuciem godności osobistej dochodzę do łańcucha. Na dole , uważnie sprawdzam w przewodniku, na co wypuściłem kolegów. Po policzeniu dróg okazuje się, że zamiast spodziewanego 5b droga miała 6b...

Z kolejnych stanowisk na Colodri patrzę na zaparkowany pod campingiem samochód. Klasyczny kształt mercedesa W123 ładnie wypełnia miejsce parkingowe. Przypomina starego wiernego psa, czekającego pod drogą. Ma swoje lata, ale ciągle jest skory do harców. Lubię na niego patrzeć. Podczas jazdy czuję się w nim wyjątkowo. Naprawdę dobrze. Zdarza się, że dzieci machają nam na rondach lub stacjach benzynowych. Wszystko gra. Kolega poprowadził eksponowany wyciąg w trawersie, drugi idzie wpięty ekspresem w napiętą połówkę liny. Sytuacja ogarnięta, chyba wszyscy się dobrze bawimy.

Znowu wiosna tym razem w Hiszpanii. Postanawiamy wybrać się na długą skałkową drogę. Na wyrost martwię się o czas i postanawiam prowadzić wszystko. Jestem przekonany, że mimo mojego prowadzenia, można nasze wyjście podciągnąć pod „inne formy kształcenia". Idziemy do góry w „nieznane". Dookoła otwiera się coraz szersza perspektywa. Jesteśmy jedynym zespołem w okolicy. Na stanowiskach staram się panować nad zniecierpliwieniem. Partner nie spieszy się, podziwia widoki, delektuje chwilą. Ma rację. Ja natomiast na każdym wyciągu myślę o tym, że nie ma miejsca na moje błędy. Z jego obecnym doświadczeniem będzie kłopot, jeśli nieoczekiwanie z czymś wypadnę. Dochodzę do miejsca, w którym stoi obok siebie kilka sokolikowych Filarów Wiewiórek. Trawersuję pod nimi i proszę kolegę o szczególną uwagę i nierobienie filmowych ruchów z łapaniem na odciąg i strzepywaniem bułki. Po skończeniu drogi schodzimy via ferratką do żlebu. Robimy sobie zdjęcia na tle skały i rozmawiamy o drodze.

Innym razem stoimy pod drogą na nadmorskiej skale, którą codziennie oglądamy przy okazji śniadań i kolacji celebrowanych na tarasie naszego apartamentu. Partner wchodzi w pierwszy wyciąg. Powiedziałem wszystko, co wiem na temat poruszania się w kruchym

Na dziobie statku, w Verdon fot. arch J.Mazur

terenie. Podjąłem świadomie tę decyzję, poradziłem gdzie można założyć asekurację i staram się, aby z mojego głosu nie przebijało napięcie. Mam nadzieję, że dobrze ustawiłem poprzeczkę. Kolega na prowadzeniu zapewne o tym nie myśli. On wie, że skoro zaproponowałem prowadzenie, to przejdzie ten wyciąg. I o to chodzi. Wspinamy się, omijając ptasie gniazda. Gdzieś po drodze biorę blok i proszę o opuszczenie do póły. Ściągam linę, „ogarniam się" i przechodzę zaskakująco śliskie miejsce. Pocieszam się, że przynajmniej można w praktyce omówić styl RP. Kolejne prowadzenie jednego z partnerów. Tak możesz iść. Zobacz tam masz asekurację, a to wygląda na kluczowe miejsce wyciągu. Widzisz spita? Wepnij się tam koniecznie. Powodzenia. Dochodzi do miejsca z błyszcząca kalcytową żyłą. Ma bardzo ostrożne, zachowawcze ruchy. Mogłem przesadzić z omówieniem powagi wyciągu i przestraszyć partnera. Dobra. Podszedł, wyprostował się, za chwilę zrobi wpinkę. Jeszcze trochę i idę na drugiego obejrzeć stanowisko. Gra. Po kolejnym wyciągu teren robi się trochę „tajemniczy", więc ja prowadzę. Po parunastu metrach wiem, że poszedłem za bardzo w lewo, dobrze, że nie wpuściłem w to chłopaków. Na koniec wychodzimy po „tatrzańskich" trawach i przybijamy piątki.

Upalny dzień w Sokolikach. W programie kursu jest zrzutnia. Nie mam zamiaru walczyć w lesie z oponą. Nie było okazji poskakać przed kursem na ściance, więc trzeba to zrobić w terenie. Idziemy pod przewieszoną drogę na Sukiennicach. Opowiadam co i jak, wspominam, że nie byłem na tej drodze, więc mogę niespodziewanie odpaść, proszę żeby druga osoba trzymała linę za asekurującym i zaczynam się wspinać. Chwilę patentuję i dochodzę do stanowiska. Skaczę parę razy spod stanu opowiadając o tym, co się dzieje. Proszę o opuszczenie, odpoczywam i wstawiam się jeszcze raz. Asekuruje mnie kolejna osoba, przechodzę trudności, żeby zaliczyć sobie przejście, zziajany wpinam się w stanowisko. Informuję, że będę skakał wypinam linę ze stanu i lecę... głową w dół. W ferworze animacji nie wyjąłem nogi spod liny. Przyciskam brodę do klaty czekając na walnięcie potylicą w ścianę. Uderzam miednicą, cisza pod Sukiennicami, ktoś zaczyna niepewnie klaskać. Odwracam się głową do góry i kontynuuje wykład: czasem może się zdarzyć, że lider w ferworze walki nie zauważy, że ma nogę pod liną, wtedy może dojść do takiej niebezpiecznej sytuacji... Żeby nie zostawiać zespołu w stanie dysonansu poznawczego skaczę jeszcze parę razy. Potem na taborze ktoś pyta, czy specjalnie miałem nogę pod liną. Nie, nie specjalnie... Następnego dnia rano, przed zajęciami, chcemy się parę razy wspiąć. Idziemy z Markiem wieczorem ze śpiworami na taras pod Krzywą. Na miejscu proszę go, żeby obejrzał moje potłuczenia. Wymyślamy historię o tym, jak ja podczas obdukcji spadam pod Gorajskiego, a Marek wsiada w samochód i wraca do domu. Ciekawe, co by sobie o tym pomyślał Michał z Karoliną, którzy tę noc spędzają romantycznie na Sukiennicach?

Innym razem wspinamy się w jednym z hiszpańskich rejonów. Cisza, w dole miasteczko z zamkiem, samochód stoi przy źródełku wypływającym na terenie gaju oliwnego. Dwóch miejscowych chodzi pomiędzy skałami szukając, przelatującego przed chwilą, stada gołębi z kolorowymi, być może pofarbowanymi piórami. Jesteśmy jedynym zespołem w rejonie. W takich sytuacjach faktycznie można poczuć, że wspinanie to aktywność plenerowa realizowana z dala od zgiełku. W trakcie dnia okrążamy skały, podążając za przesuwającym się cieniem. W pewnym momencie słyszę: „Jarek tutaj jest fajna droga dla Ciebie". Chłopaki wpuszczają mnie w formację z moich koszmarów – lekko położoną płytę z fakturą jaką ma kuchenna tarka. Nie mają wątpliwości, że ją przejdę i chcą zobaczyć jak to się robi. Ja takiej pewności nie mam, ale staram się ich nie zawieść i w końcu z trzeszczącymi palcami udaje mi się przebyć to „cudo śródziemnomorskiego wspinania". Późnym popołudniem, w chylącym się ku zachodowi słońcu, robimy coś naprawdę ładnego. Cele szkoleniowe to ważna rzecz, ale, powtarzając za Wojtkiem, najważniejsze żeby zespół miał dobry dzień :

Parę lat temu wspinałem się z kolegą, który będąc wtedy młodym sportowcem, stawiał pierwsze kroki we wspinaniu tradycyjnym. Któregoś dnia stanęliśmy pod drogą, której wcześniej nie przechodziłem. Ładna formacja z trudnościami dużo, dużo poniżej możliwości partnera. Asekuracja wydawała mi się, w tamtym momencie, wymagająca. Przeszła mi przez głowę myśl, jak ja bym sobie tam dał radę. Po zaświtaniu takiej wątpliwości, za chwilę prowadząc sprawdzałem to empirycznie. Partner idąc na drugiego docenił linię, a ja wiedziałem jakiego podstawowego kryterium używać na przyszłość przy proponowaniu dróg.

Jakiś czas temu z tym samym kolegą wymyśliliśmy historyjkę o linie nieprzepiętej przez przeloty, która ginie pod stopami w chmurach i o nieprzyjemnie jadącej nodze na Filarze Himalajów. Późną jesienią powspinaliśmy się trochę z zimnymi łapkami, a wiało podczas tych weekendów jak w kieleckim na peronie. Partner w pięknym stylu poprowadził jedną, szczególnie ładną rysę i inną bardzo, ale to bardzo piaszczystą. To chyba wtedy wymyśliliśmy francuską wyprawę, której lider wyciąga ze złotego bębna kurtkę Asteriksa, zakłada ją na gołe ciało i rusza w kierunku szczytu. Zanim trójkolorowa flaga wjedzie na maszt i wybrzmią ostatnie nuty Marsylianki, on już zbiega z wierzchołka tuląc do serca kolejny sukces światowego himalaizmu.

Niekiedy podczas zajęć zawodnik spyta: „...Jarek, a jaka jest twoja życiówka?", „...a startujesz w zawodach? ...a dlaczego nie?" Ostatnio zmierzyłem się z pytaniem „...a jakie jest twoje hobby?" Zacząłem się zastanawiać. Myślałem, myślałem i wymyśliłem. Postawienie w 100% na jeden aspekt aktywności, najlepiej fizycznej i uczynieniu z niego fundamentu samooceny, może zaowocować trudnym charakterem na starość... Jest się czego baćJ.

Czasem, kiedy dla instruktora los jest szczególnie łaskawy, spotyka się z uosobieniem dobrych chęci, bezpretensjonalności i zaufania. Na jednym końcu liny jest ciekawość, spontaniczność i zaufanie, a na drugim troska, żeby tego zaufania nie zawieść. I wtedy zaczyna się przygoda ze wspinaniem.

Na koniec mam pytanie, które częściowo dotyka spraw, o których chciałbym pisać. Pytanie o delikatną różnicę pomiędzy człowiekiem i psami Pawłowa. Jest to pytanie o możliwość wpływania, manipulacji, jak również wstęp do rozważania na temat godności jednostki. Kompetentnie, mógłby na ten temat wypowiedzieć się Aleks lub Winston Smith. Moje pytanie, z zachowaniem proporcji do powyższych przykładów, brzmi: dlaczego bez względu na porę roku, miejsce na świecie oraz towarzyszące okoliczności, smak pomarańczy i mandarynki zawsze kojarzy mi się ze Świętami? Dlaczego?!

P.S.

Dziękuję znajomym za jesienny tatrzański weekend i przygarnięcie do zespołu. Po dniu dżdżystym i zapyziałym trawionym halową gorączką nastał, dzięki Wam, dzień słoneczny. Smak słodkiego upominku dopełnił atmosferę kolejnego tatrzańskiego wyjazdu z przyjacielem, a dołączona dedykacja więcej dla mnie znaczy niż blacha... Dziękuję.

Użytkownik programu życie : aplikacji wspinanie
Jarosław Mazur

100 km to jest to (fot. arch. autora

Mój biegowy sensei Łu-kasz-ka fot. arch. autora

Moje przygody z bieganiem AD 2011

Mateusz „Żulu" Mioduszewski

Ubiegły rok okazał się być dla mnie małym biegowym przełomem, choć by nie popaść w samouwielbienie, na wszelki wypadek nie zaliczam go do szczególnie udanych.

Do tej pory byłem biegaczem sezonowym. Wobec awersji do plastikowego wspinu bieganie pochłaniało mnie od późnej jesieni do wczesnej wiosny. W pozostałej części roku cała moja uwaga skupiona była na wspinaniu w janówkowych betonach. Taka sezonowa zmienność ruchowych zainteresowań nie prowadziła do super formy, jednak pozwalała na swobodne poruszanie się niewiele wolniej niż 4min30s na km w półmaratonie (na dłuższe dystanse nie startowałem) i powolne pogłębianie poszukiwań idealnego janówkowego VI.1+.

Pod koniec 2010 roku wiedziałem już, że ten układ treningowy w następnym roku nie pójdzie i trzeba będzie odstawić go do lamusa. W związku z zaplanowanym powiększeniem rodziny przewidywałem trudności w utrzymaniu przyzwoitej tygodniowej częstotliwości janówkowych podbojów. Pod tym pojęciem rozumiem 2-3 wypady do Janówka na tydzień. Wyliczone na podstawie dobrze znanego wszystkim szanującym się adeptom betoningu wzoru: PTC=(RKK-10%) /(ITR/2), gdzie PTC to przyzwoita tygodniowa częstotliwość, RKK – rekord Karola Kąckiego, ITR – ilość tygodni w roku.

Wyjście na bieganie pochłania o niebo mniej czasu niż wyjazd do Janówka. Dzięki możliwości biegania po nocy nie jest ono tak obciążające dla pozostałych członków rodziny. Postanowiłem więc, że rok 2011 będzie rokiem z przewagą biegania nad wspinaniem. Nie było to działanie w 100% zaplanowane, a raczej dzieło podświadomej modyfikacji mojej (jedynej w swoim rodzaju) koncepcji periodyzacji treningu biegowo – wspinaczkowego. Później okazało się, że o ile trening biegowy łatwiej połączyć z obowiązkami rodzinnymi, to już wyjazdy na dalsze zawody nie za bardzo. Pochłaniają one o niebo więcej czasu i energii niż byle weekendowy wypad w skały czy Taterki. Na szczęście moja idealna żona raz na jakiś czas pozwoliła mi zmasakrować się w ten przyjemny sposób.

Półmaraton w Warszawie fot. arch. autora

Jak każdy biegacz wie, a wspinacz dopiero się dowie, zawody biegowe są dla biegacza tym, czym droga o tłustej cyfrze dla wspinacza. Da się bez nich żyć, ale stanowią dobrą, choć najmniej wyrafinowaną motywację w arcytrudnej sztuce samodoskonalenia się. Wiedząc o tym przystałem chętnie na propozycję złożoną pod koniec grudnia przez Haraska. Trzeba wiedzieć, że jest on jednym z moich biegowych idoli, więc propozycja ta mile połechtała moje ego. Zaproponował byśmy razem zapisali się na Bieg Siedmiu Dolin (B7D). Bieg ten został zorganizowany po raz pierwszy w 2010 roku. Od razu okazał się super imprezą dla osób, które z braku czasu na długi urlop w górach, mają ochotę zaliczyć w ciągu kilkunastu godzin stukilometrowy spacer, dający możliwość podziwiania większości najciekawszych widoków Beskidu Sądeckiego. Niezwłocznie, po zapisaniu przelałem na konto organizatora niewielką kwotę za start i cierpliwie czekałem na potwierdzenie opłacenia jej przez Haraska. Niestety, okazało się, że łozowanie może mieć miejsce również na płaszczyźnie biegowej. Harasek okazał się podatny na wpływ żony (uroczej joginki Zuzanny). W związku z jej stwierdzeniem, że nie chce mieć męża zmasakrowanego i z kontuzją po stukilometrowej wyrypie, wycofał się z własnego pomysłu (tu młodzież drze pewnie łacha z chłopaka, jednak starszyzna wie, że gorsze jeszcze rzeczy można zrobić, gdy żona każe/prosi). Dodatkowo próbował jeszcze wpłynąć na mnie niebezpośrednio (i pozbawić mnie przelanej już za start kasy) poprzez dywersyjne działania zniechęcające moją połowicę do nieodwracalnie już podjętej przeze mnie decyzji. Na szczęście okazało się, że była to tylko próba charakteru, którą każdy ultras podobno musi przejść przed pierwszym startem. Zaraz potem otrzymałem z ust mego biegowego mentora naukę bym sprawdził, zanim porwę się na 100 km, czy przypadkiem już zwykły maraton nie jest dla mnie zbyt długim dystansem. Nie mogłem odmówić logiki temu pomysłowi i wiedząc, że największym szacunkiem darzy on Visegrad Maraton, postanowiłem tam właśnie uskutecznić debiut maratoński.

Bieg ten rozgrywany jest w Beskidzie Sądeckim (start na Słowacji w miejscowości Vyżne Ružbachy, a meta w Polsce w miejscowości Rytro), zatem przy okazji, już w czerwcu miałem szansę poznać około 3 ze 100 km czekających mnie we wrześniu podczas B7D. Dla osób, które nie biegają i gardzą (choć nie powinny) tym sportem, przytaczam trzy zgrabne porównania wspinaczkowe dla tej częściowej inspekcji trasy. Można to porównać do otrzymania od znawcy wszystkich górskich masywów w galaktyce poufnej informacji o ukrytym systemie zachodów szerokości 45 m w naszej wymarzonej, 1500 m przewieszonej ścianie lub do wcześniejszego sprawdzenia w zjeździe 90 cm fragmentu (kluczowy ruch lub dwa) 30 m skałkowej drogi. Na niwie bulderingu byłoby to równoznaczne

Pobiegniemy tędy i owędy fot. arch. autora

Finisz pod okiem zwycięzcy fot. arch. autora

z wyszczotkowaniem/obmacaniem około 15 cm fragmentu na 5 m głazie.

Początkowo przygotowania do startu w obu tych imprezach nie różniły się znacznie od normalnego przebiegu mojej zimowej aktywności. Od stycznia do marca biegałem jak zwykle bez żadnego planu treningowego robiąc po 120 – 130 km miesięcznie rozłożonych na około 10 treningów. Trzeba wiedzieć, że każdy porządny plan biegowy zakłada minimum 4 treningi tygodniowo, a przyzwoite przebiegi zaczynają się od 60 – 70 km na tydzień. Widać więc jak na dłoni, że moje przygotowania były mikre w stosunku do czekającego mnie dystansu. Można to w pewnym stopniu wytłumaczyć faktem, że podczas długich zimowych wieczorów i po całym dniu obowiązków biurowo – rodzinnych człowiek łatwo ulega pokusie lenistwa z kuflem w dłoni. Na szczęście, czasem, zanim wychyliłem zasłużone wieczorne piwko, miałem okazję przekonać się, że bieganie wcale nie jest nudne i męczące (jak błędnie myśli większość niebiegających osób czytających te słowa).

W tym czasie, podobnie jak w poprzednim roku, postanowiłem wystartować kontrolnie w 2 półmaratonach. Pod koniec lutego w Wiązownie oraz pod koniec marca w Warszawie. W Wiązownie dostałem pierwszą biegową naukę. W związku ze zbyt szybkim startem (tak przynajmniej pomyślałem podczas biegu), po kilkunastu kilometrach po raz pierwszy w życiu odcięło mi prąd i dalszą drogę do mety pokonać musiałem marszobiegiem (z przewagą marszu). Analizując nieudany występ doszedłem jednak do wniosku, że nie tylko zbyt szybki start był przyczyną mej porażki, ale również nieumiejętnie dobrane skarpety uciskowe. Te wredne onuce tak ścisnęły mi łydki, że w połączeniu z dziarskim tempem moje nogi zmieniły się w dwie nienadające się do niczego kłody. Nauka była i warto sobie ją zapamiętać, by samemu uniknąć takich błędów.

Miesiąc później w Warszawie obyło się już bez niespodzianek i na względnym luzie pobiegłem w okolicach mojego najlepszego wyniku na tym dystansie.

Zazwyczaj od kwietnia do października moje bieganie ograniczało się do kilku przyjemnościowych biegów na miesiąc. Jak pamiętacie, w zeszłym roku wkroczyłem w dziewiczy teren biegania całorocznego. Nie szukałem jednak swoich biegowych celów w zgiełku imprez masowych. Z racji kwietniowego powiększenia rodziny nie pozostawało mi bowiem wiele czasu, by wziąć w nich udział. W kwietniu biegałem mało (w sumie nieco ponad 100 km), ale jak na mnie szybko (sporo 4 km krosów po Lasku Bielańskim w tempie około 4 min/km). Za to w maju nabiłem na biegowym liczniku prawie 200km, głównie dzięki jednemu leśnemu startowi.

Imprezy na orientację znałem do tej pory tylko z doskonałych relacji, w tym naszej koleżanki klubowej Gogo (jest to moim zdaniem jeden z lepszych tekstów z zeszłorocznej BUKI). Wiele wspaniałych dziewiczych lasów w całej Polsce czeka tylko na zorganizowanie 50 lub 100 km biegu z mapą i kompasem w ręku. Zapał, z jakim zawsze pochłaniałem te relacje, pozwalał wierzyć, że kiedyś znajdę się w gronie startujących na podobnej imprezie. Gdy dowiedziałem się, że w sobotę 14 maja pod Warszawą mają odbyć się Mistrzostwa Polski w 50 – kilometrowych Pieszych Maratonach na Orientację, nie zastanawiałem się długo i postanowiłem wziąć w nich udział. Potraktowałem ten start jako długie wybieganie przed czekającym mnie czerwcowym maratońskim debiutem. Baza zawodów miała miejsce w miejscowości Sadowne nad Bugiem, około 90 km od Warszawy. Cytując klasyka chciałoby się powiedzieć: „Jest tylko jeden problem. Jak się tam dostać? Jak podpłynąć?" Zabranie samochodu żonie na weekend nie wchodziło w grę. Gorączkowo szukałem, na wszelkich możliwych forach, kontaktu do kogoś, z kim mógłbym w piątek po robocie zabrać się na miejsce. W końcu przypomniałem sobie, że Gogo też tam jedzie i może ma jakiś transport i będzie mogła polecić mnie właścicielowi auta. Jak się okazało miałem rację i otrzymałem telefon do jej koleżanki, która zgodziła się mnie przygarnąć. Niestety, gdy okazało się, że wystąpiły drobne trudności z wieczornym poskromieniem dzieciaków, nie była już skłonna poczekać, ani zmienić miejsca odbioru. Pomyślałem tylko, że to pewnie jakaś konkret zawodniczka i musi dobrze wyspać się przed startem. Jako że jestem koneserem starej szkoły podróżowania bezstresowo odpaliłem net i migiem wyczaiłem ostatnie połączenie z ulicy Wileńskiej do Sadownego. Kilkanaście minut przed odjazdem puściłem się z domu sprintem na autobus. Jako profesjonalny podróżny zakupiłem po drodze jedno piwko, które zawsze ułatwia wczucie się w specyficzną atmosferę podmiejskich PKS-ów. W autobusie z zaciekawieniem podsłuchuję rozmowy mieszkańców podwarszawskich miejscowości i chwilę przed 23.00 melduję się w biurze zawodów. Na sali gimnastycznej zwalam swoje bety obok Gogo i udaję się na szybki, choć krótki spoczynek. Na sali nocuje grubo ponad setka podobnych do mnie napieraczy.

Już od 5 rano zaczynają się przygotowania śniadaniowe, sprzętowe i te defekacyjne, najważniejsze z najważniejszych przed każdym startem. Sam bieg był czystą zwierzęcą przyjemnością sponiewierania się w pięknych okolicznościach przyrody. Największe wrażenie zrobiły na mnie komary, przy których ataki tych z Janówka można potraktować jako niewinne igraszki podlotków. Te z zabagnionych lasów wokół Sadownego uniemożliwiały zatrzymanie się w celu zorientowania mapy przez co odnalezienie niektórych punktów na trasie było nie lada wyzwaniem. Miły dla oka był widok ludzi biegających bez ładu i składu po lesie i sam w sobie wart jest wystartowania w podobnej imprezie.

Finalnie wylądowałem na 8 miejscu Mistrzostw Polski i jeszcze tego samego dnia wieczorem na miękkich nogach wróciłem do domu. Gdy sprawdziłem wyniki ze zdziwieniem odkryłem, że znalazłem się dwie pozycje za Łukaszem z KW Warszawa. Okazało się, że prawie w każdych zawodach, w których dane mi było wystartować w zeszłym roku, zawsze ktoś z konkurencji był przede mną. Pewnie była to forma pokuty za dawny nieprzepisowy atak na ich prezesa. Pokutę przyjąłem z pokorą, powtarzając sobie dodatkowo w myślach: „co oni mają porobione w Janówku".

Miesiąc później wyjazd na pierwszy maraton odbył się już bez problemów. Zapoznany na biegowym forum Marcin (właściciel auta) okazał się statecznym

Biegania maratonu najlepiej uczyć się od starszych fot. arch. autora

Skupienie na podbiegu fot. arch. autora

wykładowcą z Akademii Muzycznej. Oprócz mnie zabierał jeszcze Kazimierza – energicznego emeryta (notabene szybszego ode mnie), oraz Piotrka – jednego z szybszych biegaczy z ekipy ENTRE.PL (do której należą nasz klubowy kolega Jaszczurek wraz z małżonką). Przed biegiem zakwaterowani zostaliśmy w przyzwoitym pensjonacie na Słowacji, gdzie wieczorem odbyło się pasta party połączone z degustacją słowackich browarów. Niektórzy (przekupiwszy słowacką orkiestrę) kontynuowali imprezę do północy, jeśli nie dłużej. Ja jednak za namową kolegi Piotrka koło 21 udałem się na spoczynek. Jako że dzieliliśmy małżeńskie łoże, przed zaśnięciem uprzejmie uprzedziłem go o jedynym słusznym sposobie uciszenia mojego chrapania. Piotrek powiedział, że nie będzie kopał mnie po nocy. Nad ranem przyznał mi rację, że metoda jest sprawdzona i niezawodna. Sam bieg był niczym bułka z masłem. Zacząłem super wolno i nie dane mi było poznać, co to takiego ta sławna maratońska ściana.

Czas osiągnąłem przyjemnie emerycki, zresztą przez większość trasy nie bez wysiłku ścigałem się z niziutką 60 – letnią Evą ze Słowacji, która na zbiegach wyprzedzała mnie niczym mały motorek, a ja na podbiegach mozolnie doganiałem ją by wreszcie na ostatnich 3 km wypracować sobie 1,5 minuty przewa-

Co to za klub, co to za miejsce fot. Zyga

Trening mentalny – modelowanie fragmentu czekającej mnie trasy fot. arch. autora

Porządny trening nad morzem jest jak budowanie zamków na piasku fot. arch. autora

gi. Jak się okazało była to idealna impreza na maratońską inicjację, kameralna (niecałe 300 startujących) i z piękną trasą. Długi odcinek wbiegający i zbiegający z przełęczy Vabec prowadził świerkowym lasem, w tatrzańsko kojarzącym się, deszczowo – mglistym powietrzu.

Jeśli ktoś planuje kiedyś porwać się na ten dystans, to tylko na takiej imprezie. Bo jak to wyśpiewał pewien bard: „zawsze będzie ona, pierwsza maratońska trasa, którą przemierzałeś w adidasach".

Po biegu czułem się dobrze i już w następny weekend na Mazurach zaserwowałem sobie 3 dni pod rząd kontrolny rozruch po 12 km trasie na obrzeżach Puszczy Boreckiej. Po kolejnych 5 dniach przerwy nastąpił mój najlepszy biegowy dzień w zeszłym roku. Rano miałem zapakować małżonkę z dzieciakami i moją mamą do auta i wysłać je na wakacje. Miałem plan, by zaraz potem PKS-em pojechać na północne obrzeża Puszczy Kampinoskiej, skąd planowałem 40 – 50 km samotny bieg do Truskawia lub Dziekanowa Leśnego. Niestety, pakowanie wlokło się niczym flaki z olejem i gdy zajechaliśmy po moją mamę była już prawie druga po południu i przez najbliższe 2 godziny nie miałem żadnego sensownego połączenia z planowanym początkiem trasy. Nie zraziwszy się wcale, wynalazłem najbliższe połączenie PKP do Modlina i puściłem się dzikim pędem na Dworzec Gdański. Niezaplanowany bieg z Modlina przez Leoncin i Roztokę do Truskawia wyszedł wyśmienicie. Było w nim wszystko, co potrzebne jest człowiekowi na biegowym głodzie – niepewność czy wyrypa w ogóle dojdzie do skutku, euforia związana z wystartowaniem (porównywalna do euforii nastolatka udającego się na długo wyczekiwany melanż), obszczekanie przez dzikie psy na starcie i kilkusetmetrowa pogoń wściekłej gryzi – łydki w trasie („pan uważa, bo ten piesek lubi złapać za nogę"), bieg w deszczu pachnącą lipową aleją, dzikie tabuny komarów w trakcie przerw na zawiązanie buta, zmęczenie zmieniające momentami bieg w szybki marsz, piwko i herbata w barze tuż za półmetkiem, atak leśnych motocyklistów i zastawianie na nich pułapek (w postaci wyciągania wszystkich zwalonych konarów na środek szlaku), wreszcie oczekiwanie w deszczu i po ciemku na autobus w dygotach niczym z tatrzańskiego, niezaplanowanego kibla. Przebyta w niecałe 5 godzin trasa okazała się mieć dokładnie maratoński dystans. Jakby wrażeń było mało, dzień zakończyłem świętując 33 urodziny Dziedzica . Już pod koniec biegu czułem, że coś z moją nogą jest nie w porządku, ale dopiero następnego dnia obudziwszy się w nieznanym mieszkaniu z bolącą stopą, przekonałem się na własnej skórze, że nie należy biegać drugiego maratonu tak wcześnie po pierwszym.

Na szczęście kontuzja (prawdopodobnie uraz rozciegna podeszwowego) nie uniemożliwiała lekkiego biegania, więc śmiało na papierze rozpisałem sobie dwa obozy biegowe. Jeden na urlop nad Bałtykiem (ostatnie 2 tygodnie lipca) i drugi na urlop na Mazurach (ostatni tydzień sierpnia). Na pierwszym obozie, mimo początkowego dyskomfortu ze strony prawej stopy, udało się biegać codziennie, choć przebiegi tygodniowe były o połowę mniejsze od zakładanych (około 60 zamiast 120km).

Dodatkowo, z racji wesołego towarzystwa, uległem pokusie lekkiej alkoholizacji i nikotynizacji (około 40 piw i 20 papierosów podczas całego obozu). Jak się okazało było to najlepsze rozwiązanie, które pozwoliło na całkowite wyleczenie kontuzji. Szkoda tylko, że prawdopodobnie bez przyrostu formy. Ten fakt stał się dla mnie jasny, gdy Waldi poznawszy podsumowanie kilometrażu i ilości używek stwierdził, że skasowałem cały trening. Po prostu nie doszło do żadnego obciążenia kontuzjowanej stopy, a pozostał tylko zbawienny wpływ przeciwzapalny alkoholu i przeciwbólowy nikotyny.

Tu oczywistym staje się fakt, że znane powiedzenie „prawdziwy sportowiec pije, pali i ma wyniki" nie dotyczy przypadku ogólnego, lecz szczególnego. Dokładne jego brzmienie w starszej formie to: „prawdziwy sportowiec podczas kontuzji pije, pali i ma wyniki". W sierpniu już całkiem wyleczony zaliczyłem jedyny, porządny trening przed czekającym mnie głównym startem. Na Mazurach odbyłem dwa 30 km wybiegania i sporo szybkich krosów po polnych i leśnych morenowych pagórach (w sumie 120 km w ciągu tygodnia).

Wreszcie, 10 września nadszedł moment zmierzenia się z najdłuższym zeszłorocznym biegiem. Pomny doświadczeń odnośnie sposobu dotarcia na miejsce startu postawiłem na solowy transport kolejowo – autobusowy (PKP do Krakowa i PKS do Krynicy – Zdrój). W piątek 9 września, w miarę wcześnie zjawiłem się w biurze zawodów. Jako że start czekał mnie o 3 nad ranem, to po odebraniu pakietu startowego zająłem się głównie spaniem. W pokoju zakwaterowany zostałem z dwoma emerytowanymi wojskowymi przed „50"). Nocne przygotowania do startu przebiegały niczym do akcji rodem z „Czasu Apokalipsy". Przez mych kompanów, na wypadek kryzysu na trasie, zostałem zaopatrzony w kilka kapsułek Ketonalu. Po zaszyciu ich w rękawie i wygrawerowaniu na podeszwach sposobu użycia byłem gotów do startu. Sam marszobieg okazał się całkiem przyjemny.

W trasie po ponad 30 km fot. arch. autora

Średnie tempo 6,5 km/h fot. arch. autora

Niezapomniane wrażenie zostawiło kilkaset światełek wspinających się na Jaworzynę, dzikie zbiegi w świetle czołówki po kamieniach i korzeniach, nieznany do tej pory poziom zmęczenia organizmu, podziw dla starszych i dziewczyn wyprzedających mnie na trasie, zdziwienie odległymi pasmami, na których było się lub miało się być dopiero za kilka godzin, wreszcie sprint do mety po 100km i ponad 4km podejść i tyluż zejść; no i na koniec zaśnięcie w łóżku z długo oczekiwanym, otwartym i wypitym tylko w 1/3 piwkiem.

Ciężko nie przynudzać na temat biegania, bo nie jest to sport podobny do wspinania, gdzie łatwo można wymyślić mrożącą krew w żyłach historyjkę o mitycznym, najwyższym głazie świata, zagubionym gdzieś w Górach Chotomowskich, pod który dostać się można tylko z maczetami, wyrąbując sobie drogę przez nietknięte ludzką stopą łany kilkumetrowych pokrzyw. Jeśli jednak dobrnęliście do tego miejsca mej, przydługiej nieco opowieści, to powiem wam tylko, że to koniec i bomba, kto nie biega ten trąba.

Highlife

Krzysztof Kaczmarek

po czterdziestce

Pierwszego slacka pokazał mi nasz klubowy kolega Wernix po powrocie z Patagonii. Nie udało mi się wtedy zrobić nawet dwóch kroków, ale nie zniechęciło mnie to, a wręcz odwrotnie. Nie dałem za wygraną i szybko skompletowałem swój własny slacklinowy zestaw.

Koszmarek na Schweppesie fot. Desisława Paszkulewa

Po paru sesjach treningowych wreszcie osiągnąłem progres. Żona stwierdziła, że to niezły pilates (cokolwiek, by to znaczyło), a dla mnie był to zwyczajnie fajny dodatek do wspinania. Po jakimś czasie trafiłem na filmik z Dean Potterem chodzącym bez asekuracji po taśmie na wysokości 880 m w Yosemitach i film „The Line" z wrocławskim highlinerem Janem Gałkiem. Stwierdziłem – trudno, z czterdziestką na karku raczej mistrzem już nie zostanę, ale spróbować nigdy nie zaszkodzi. Trickline jakoś nigdy mnie nie kręcił, zaś longliny po jakimś czasie stały się po prostu nudne, no i wymagały sporej inwestycji w sprzęt, by można było naciągać coraz to dłuższe i dłuższe taśmy. A highline'y mają w sobie to „COŚ", co kocham najbardziej we wspinaniu.

Powiecie, że co to za problem, jeśli w parku na Obozowej chodzę po 110 m taśmie, to nie poradzę sobie z 30 metrową na wysokości? W końcu wspinam się już 25 lat i 40 metrowa przepaść nie robi na mnie wrażenia... I dokładnie tak samo myślałem sobie wbijając bolty pod mojego pierwszego highline'a. Jak ogromne było moje zdziwienie, gdy po zawiązaniu się do lonży, usiadłszy na taśmie, mój organizm odmówił współpracy. Nogi i zadek zrobiły się z ołowiu. Wszystko mi dygotało, nie mogłem nawet wstać, nie mówiąc już o chodzeniu. Przez głowę przemknęła mi straszna myśl: „Koszmar, chyba się do tego nie nadajesz..." Mimo wielu prób musiałem dać za wygraną.

Jednak porażki muszą być. Zmuszają nas do intensywniejszej pracy i właśnie dzięki nim nie spoczywamy na laurach, a rozwijamy się dalej i spełniają się nasze marzenia.

Przełomem dla mnie był koniec roku 2010, kiedy udało mi się pokonać w samotności mojego pierwszego „prawdziwego" 24 m highline'a (*Saturn 10*) w Bułgarii. Takiego uczucia radości i satysfakcji, jak tam doświadczyłem jedynie w górach po zrobieniu jakiejś drogi „z przygodami" na granicy swoich psychofizycznych możliwości. Uczucie to zostaje na całe życie.

Paweł Jarosiewicz na Kovarnym, OS fot. Krzysztof Kaczmarek

Koszmarek na Saturnie 10 fot. Paweł Jarosiewicz

W międzyczasie trenując w parku na taśmie, poznałem młodego Pawła J.(UKA), który jak ja pasję wspinaczkową połączył z zamiłowaniem do slacklina. W roku 2011 udało nam się zrealizować dwa wyjazdy do Bułgarii: pierwszy na majówkę – wspinaczkowo-slackowy i drugi już typowo highline'owy (Paweł miał kontuzję ścięgna, przez co nie mógł się wspinać) w sierpniu.

Przejdźmy do rzeczy.

...Nareszcie wolne. Pakuję do auta cały szpej wspinaczkowy i dwa wielkie wory ze sprzętem do slacka (w tym wiertarkę i 60 boltów). Paweł doleci za kilka dni samolotem. Ruszam i po 20 godzinach jazdy non-stop, pomijając oczywiście czterogodzinne stanie na granicy Serbsko-Bułgarskiej, jestem na miejscu.

Jak miło nie mieć przed oczami nudnego, płaskiego krajobrazu Mazowsza. : Po regeneracji sił i odwiedzeniu wszystkich znajomych zaczynam szukać miejsca na nowego highline'a. Mój wybór pada na jaskinię Devetaską. Ogromna grota z ośmioma dziurami w suficie o średnicy od 30 m do 80 m na wysokości do 60 m. Fenomenalne miejsce na haja (niestety ze względu na nietoperze zabroniona jest jakakolwiek działalność eksploratorska w okolicy). Trudno, one też mają prawo do spokoju. Udaję się więc do innej równie wielkiej jaskini Prochodna w miejscowości Karlukowo. Znajdują się tam 72 drogi wspinaczkowe z tego aż 55 powyżej 6c w tym jedenaście od 8a+ do 8b+ i pięć nad 8c. Miejsce to idealnie nadaje się do wspinania w gorące letnie dni i w czasie deszczu. Dobrze jest mieć ze sobą 70 m linę. Spać można spokojnie w namiotach na polanie przed wejściem. Jest też bieżąca woda, która ma dość dziwny smak, ale problemów żołądkowych nigdy po niej nie mieliśmy.

Po oględzinach obijam nowego highline'a *Schweppes* o długości 29.5 m. Pogoda zupełnie jak nie w maju – zimno i leje. Wreszcie dolatuje Paweł i od razu wracamy do Karlukova zmierzyć się ze ***Schweppesem***. W sumie ma tylko 46 m wysokości, ale ogromna czeluść tej groty potęguje doznania przestrzenne. Są święta wielkanocne i ilość turystów, wspinaczy oraz skaczących na bungee jest przerażająca. Mam wrażenie, że cała Bułgaria przyjechała nas oglądać, a to dopiero mój drugi „prawdziwy" highline, natomiast Pawła pierwszy. Niestety przechodząc taśmę nie potrafię się wyłączyć na otaczający świat i rozprasza mnie nawet dźwięk latającego gdzieś obok komara. Tutaj

Paweł Jarosiewicz robi trickasa na *Schweppesie* fot. Krzysztof Kaczmarek

zupełnie nie możemy się skupić. Trzy, cztery kroki i lot. Przynajmniej przetestujemy solidność stanowisk. Trudność też zwiększają 2,5 m taśmy stanowiskowe – wszystko jest bardziej chwiejne. Jednak nie poddajemy się, walczymy... przy oklaskach widowni i krzykach latających na bungee, w którejś próbie udaje nam się przejść. Uf! Co za koszmar, ale za to jaka ogromna satysfakcja. Następnego dnia już bez widzów przechodzimy go jeszcze parę razy i w ramach restu udajemy się na Vratzę – mojej wspinaczkowej mekki. Jest tu ponad 400 dróg od 20 m do 430 m o trudności 4–8c. Wspinamy się parę dni na miejscowych klasykach. Jest pięknie. Śpimy na kwaterze we wsi Zgorigrad u pani Kristiny. Niestety tą słodką idyllę przerywa totalne załamania pogody.

W poszukiwaniu suchej skały udajemy się na południe w okolice miasta Płowdiw. W skałach zwanych „Bryanovshtitsa" naciągamy highline'a *Saturna 10* i do znudzenia po nim łazimy. A jeszcze parę miesięcy temu nie byłem wstanie się na nim wyprostować. Następnego dnia rest czyli wspin. Uderzamy drogą, którą robiłem 23 lata temu. To tylko VI+ więc biorę tylko parę ekspresów. Kości i friendy zostają na ziemi. Pierwszy wyciąg, drugi...

– K..., czy ktoś tu w ogóle chodził przez te 20 lat? Jakaś rzadka i zardzewiała ta asekuracja, a w dodatku zaczyna padać.

– Wycofać się? – Napierać? Przecież nie będę sobie robił obciachu przed Pawłem na szóstkowej drodze.

Napieram. Wreszcie stan, ale tak jakby go nie było – dwa stare, pamiętające pewnie lata 50 „klincole" luźno siedzące w poziomej rysie. W życiu nie odważyłbym się ich obciążyć. Z nieba leje się woda. Ściągam Pawła i z duszą na ramieniu idę dalej. Wirtualna asekuracja, mokro... Nie wspinam się, a skradam, by przypadkiem się nie poślizgnąć. Jeśli zlecę, to pociągnę za sobą partnera. Po prostu koszmar! Z ogromną ulgą kończę wyciąg i drogę. Przyrzekam sobie w duchu, że już zawsze będę brał ze sobą przynajmniej komplet kości niezależnie od trudności drogi...

Pojawiam się ponownie w Bułgarii w połowie lipca. W oczekiwaniu na Pawła przygotowuję i przechodzę dwa nowe highline'y nad Morzem Czarnym – *Horizont* (18 m) i *Bastet* (31 m), cztery w okolicy Płowdiw *Skilas* (26 m), *Berenika* (27 m), *Wologes* (40 m) i *Kale* (27 m) oraz w Karlukowie obijam *Egzystencjalne zombie* (56 m). Oczywiście przygotowanie każdego z nich zajęło mi kilka dni. Trzeba znaleźć miejsce, dojść i wnieść cały sprzęt. Szczególnie we znaki dało mi się *Kale*, które robiłem w 40 stopniowym upale i *Bastet*, gdzie do upału doszło jeszcze noszenie sprzętu przez wodę i strasznie krucha skała, która pod obciążeniem wypluwała, z takim mozołem wbijane wcześniej Wernikowe, bolty.

Paweł tym razem przyjeżdża autobusem. Mimo 30 godzinnej podróży jest tak spragniony taśmy, że jeszcze tego samego wieczoru rozciągamy 84 m, a następnego ranka 113 m longa, którego on sieka OS. Po prostu „zombie". Następnie, czym prędzej udajemy się do Karlukowa, gdzie wspólnie obijamy kolejnego nowego haja *Bate Meczo*

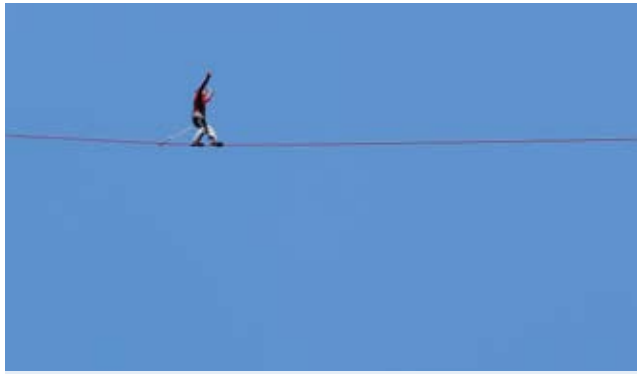

Koszmarek na *Bate Meczo* fot. Paweł Jarosiewicz

Highline *Skilaz* w tle Rodopy fot. Elena Kaczmarek

„Oczy Boga" w jaskini Prohodna fot. Krzysztof Kaczmarek

Highline *Bastet* – piękne miejsce, niestety krucha skała fot. Elena Kaczmarek

(40 m), którego Paweł przechodzi bez większych problemów.

Krótki odpoczynek w Sofii i ruszamy na południe w góry Rodopy. Udajemy się w okolice trackiej świątyni boga Sabazjosa, znajdującej się na skale zwanej Belantasz (położonej w kraterze wygasłego wulkanu), o którą w 15 r. p.n.e. kapłan i przywódca trackiego plemienia bessów – Wologes wzniecił powstanie przeciwko Rzymowi. Miejsce jest magiczne i trudno dostępne. Słynna bułgarska jasnowidz Baba Wanga przepowiedziała, że jest tu ukryty ogromy skarb: szczerozłoty rydwan Aleksandra Wielkiego oraz kilkaset kilogramów złota i srebra.

Po kilku godzinach marszu docieramy na miejsce i naciągamy *Wologesa* (40m), którego Paweł przechodzi OS. Następnie szukamy czegoś nowego. Powstaje niedostępna *Eurydyka* (34 m). Aby dostać się do jednego ze stanów, trzeba przewspinać się bardzo ciasnym przeryso-kominem, a do drugiego zjechać około 15 m. W tym roku powstało w rejonie kilkanaście dróg wspinaczkowych, niestety nie ma na razie żadnej informacji ile i o jakiej skali trudności.

Nostress, Paweł Jarosiewicz na *Bate Meczo* fot. Desisława Paszkulewa

Po paru dniach odpoczynku udajemy się na naszą kolejną miejscówkę Kale (co z języka tureckiego oznacza twierdzę), niedaleko miasta Płowdiw, gdzie mieściła się kiedyś rzymska warownia. Tu napinamy i przechodzimy highline'a o tej samej nazwie i w następnych paru dniach obijamy kolejne dwa *Kovarniat* (38,4 m), którego przechodzimy (Paweł jak zwykle OS) i *Gangrena* (54 m). Z powodu narastającego bólu zęba do *Gangreny* przystawiam się już bez większego entuzjazmu. Bardziej chce mi się wyć z bólu, niż slaczyć. Jeszcze trochę i rzucę się w przepaść. Paweł prawie przechodzi... Niestety ból zęba staje się nie do wytrzymania i musimy czym prędzej się ewakuować. Kilkanaście wizyt u dentysty oraz ból kręgosłupa kończy moją letnią przygodę z highlinem. Udaje nam się na pożegnanie naciągnąć i przejść 124 m longa w Sofii, a Pawłowi na do widzenia pomęczyć się na *Egzystencjalnym zombie* w Karlukowie.

Plany na ten rok mamy spore – przejść to, co nam się nie udało, obić parę nowych miejsc, które wypatrzyliśmy, ale nie starczyło już czasu oraz znaleźć coś nowego, możliwie wśród równie pięknej scenerii przyrody jak dotychczasowe highline'y. Oczywiście w dni restowe od slakowania zamierzamy trochę się powspinać i czerpać, jak najwięcej przyjemności z przebywania w górach.